



Weterynarze
są przepra-
cowani czy
nadwrażliwi?
►13

**Dylematy
zetek**
Czemu młodzi
nie mają
dzieci ►10



**Wszyscy
jesteśmy
Muminkami**
►17



FOT. MONTY RAKUSEN/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, JAANAKYLAMANEN/SHUTTERSTOCK

MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

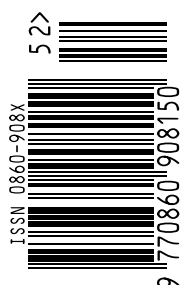
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

*Mniej rozliczeń,
więcej życzeń.
Zwłaszcza
pod choinką*

Państwu i sobie życzy
redakcja „Wyborczej”



RYS. JOANNA RUSINEK



Wtorek – piątek, 23-26 grudnia 2025 | Redaktorzy prowadzący Ewa Wieczorek, Sławomir Łopatyński | Cena gazety **14,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 297/298.11094/11095, 2 Nakład 109 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

REKLAMA

Kraj/3441232

Najpiękniejsze
ŚWIĘTA
wkruk.pl



W. KRUK
1 8 4 0

Stanowisko redakcji „Wyborczej”

Skandaliczne ataki na Wojciecha Czuchnowskiego

Wojciech Czuchnowski i jego rodzina są celem niebywalej fali nienawiści, której powodem jest tekst o kłamstwach szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomira Cenckiewicza w sprawie ankiety o dostępie do informacji niejawnych.

Imielski



W „Wyborczej” przyzwyczailiśmy się do personalnych ataków za nasze teksty, szczególnie w latach 2015-23. Wojciech Czuchnowski – autor wielu głośnych materiałów o rządach PiS – był jednym z najczęstszych celów i ówczesnej władzy, i jej propagandowych ośrodków takich jak TVP Jacka Kurskiego.

Jednak nigdy wcześniej nie spotkał się z taką nienawiścią jak po artykule „Leki szefa BBN. Wiemy, co w ankiecie bezpieczeństwa zataił Sławomir Cenckiewicz” z 15 grudnia br. Wojtek opisał w nim, jak jeden z najbardziej zaufanych ludzi prezydenta Karola Nawrockiego publicznie kłamał w tej sprawie.

Od dnia publikacji tekstu, który wywołał wściekłość Cenckiewicza i jego politycznych przyjaciół, Wojtek i jego rodzina są celem niebywalej operacji nienawiści, która wygląda na dobrze przygotowaną i zaplanowaną. Operacji o skali i intensywności, z którą nigdy wcześniej się nie spotkał.

To masa personalnych wpisów w portalach społecznościowych, w tym wprost nawołujących do przemocy fizycznej. To groźby śmierci nie tylko pod adresem Wojtki, ale też jego rodziny. To wreszcie anonimowe wiadomości SMS i dziesiątki głośnych telefonów dziennie, wykonywanych z zagranicy. Teoretycznie, bo pewnie użyty do tego został program generujący nieistniejące numery.

Wojtek złożył w tej sprawie na policji zawiadomienie o przestępstwie. Opowiedział, jaki koszmar przeżywa sam i jaki koszmar przeżywa jego rodzina. To już nie są czcze pogrozki – ta fala może zamienić się w fizyczną przemoc.



„Jak się bawicie? Na początek może być, nie? Nie martwcie się. Będzie lepiej. Dużo lepiej” – to jedna z wiadomości SMS od „Adam Nowak”, jaką dostał Wojtek. I dalej: „Ponoć nieostroźnie się zachowujesz na skrzyżowaniach. To nie-dobrze, bo można wtedy przez nieuwagę uszkodzić samochód”.

To wszystko odbywa się przy milczącej aprobachie Sławomira Cenckiewicza i Pałacu Prezydenckiego. Szef BBN mimo apeli Wojtki nie odciął się od akcji nienawiści i w mediach wciąż go znieważa.

Redakcja „Wyborczej” potępia tę skandaliczną i niebezpieczną falę nienawiści, jaką rozpętali zwolennicy Cenckiewicza, a on sam milcząco ją aprobuje.

Od służb domagamy się stanowczych działań wobec osób, które grożą Wojtkowi i jego rodzinie. Będziemy na naszych łamach informować, co się w tej sprawie dzieje.

Wojtek, redakcja „Wyborczej” stoi za tobą murem i będzie cię wspierał! ● Roman Imielski

Od służb domagamy się stanowczych działań wobec osób, które grożą Wojtkowi i jego rodzinie. Będziemy na naszych łamach informować, co się w tej sprawie dzieje



Dość tej hipokryzji! To tak, jakby ktoś podnosił z kałuży krwi człowieka bitego przez zbirów i domagał się wdzięczności

MAREK SAWICKI

poseł PSL w „Rozmowie o 7:00” w Radiu RMF24 o żądaniu prezydenta Karola Nawrockiego na konferencji z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, żeby Ukraina okazała Polsce więcej wdzięczności za pomoc

Oszustwo na „policjanta”

MILION ZŁOTYCH stracili 82-letnia kobieta i jej starszy o rok mąż. Fałszywy policjant wmówił im, że zabezpieczy ich pieniądze przed szajką złodziei grających na krakowskiej Krowodrzy. ► [Krakow.wyborcza.pl](https://krakow.wyborcza.pl)

Michaela „Michi” Benthaus Pierwsza w historii inżynierka na wózku inwalidzkim w kosmosie

To było najwspanialsze doświadczenie w życiu – mówiła tuż po wylądowaniu Michaela „Michi” Benthaus, 33-letnia niemiecka inżynierka lotnictwa i mechatroniki w Europejskiej Agencji Kosmicznej.

W 2018 r. kobieta uległa poważnemu wypadkowi na rowerze górskim, wskutek którego doszło do urazu rdzenia kręgowego. Od tej pory Michi porusza się na wózku inwalidzkim. Kobieta opowiadała, że to doświadczenie uświadomiło jej, jak bardzo „niedostępny jest świat dla osób z niepełnosprawnościami”. Nie poddała się jednak i dalej walczyła o realizację marzeń związanych z kosmosem.

W 2022 r. doświadczyła nieważkości podczas parabolicznego lotu samolotem, a w 2024 r. wzięła udział w dwutygodniowej symulowanej misji kosmicznej w Polsce. Teraz spełniła swoje największe marzenie.

– Zawsze chciałam polecieć w kosmos, ale nigdy nie brałam tego pod uwagę jako czegoś, co faktycznie mogłabym zrobić – powiedziała przed lotem w rozmowie z CNN.

Rakieta Blue Origin, na pokładzie której znalazła się Benthaus oraz pięcioro innych członków załogi, wystartowała w sobotę z zachodniego Teksasu w USA. Kobieta samodzielnie dostała się do kapsuły, korzystając z ławki wysuniętej z wylotu, a następnie sze-

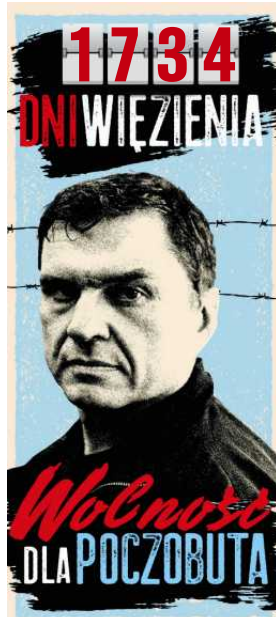


ścioosobowa załoga wleciała w kapsule na wysokość ponad 100 kilometrów i dotarła do tzw. linii Kármána, uznawanej za umowną granicę między atmosferą Ziemi a przestrzenią kosmiczną na wysokości około 100 kilometrów. Po krótkim pobycie w stanie nieważkości kapsuła powróciła na ziemię, lądując na pustyni w zachodnim Teksasie.

– Podobał mi się nie tylko widok i mikrogravitacja, ale też droga w górę. Każdy etap tej wyprawy był niesamowity – powiedziała po wylądowaniu 33-latką i dodała: – Nigdy nie należy rezygnować ze swoich marzeń, prawda? Czasami po prostu istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że się spełnią. Ja po prostu miałam ogromne szczęście. ●

Dominika Wantuch
• Więcej ► [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl)

Andrzej rysuje



Denis Johnson
- supermoc Ameryki

Cherezińska
o królu wyklętym

DWUMIESIĘCZNIK
GRUDZIEŃ 2025

wyborcza

KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

**Ursula K.
Le Guin**
SŁOWA DAJĄ
WŁADZĘ
NAD ŚWIATEM

**10 KSIĄŻEK
ROKU 2025**

W SPRZEDAŻY,
RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ
DO PACZKOMATU

Andrzej Dragan o AI:
jak zmieni się wszystko



Sponsorka
numeru:

**Hildegarda
z Bingen**

+

**MNÓSTWO
POMYSŁÓW
NA DOBRY PREZENT**

- ❄️ Podróż do legendarnej pisarki Ursuli Le Guin
- ❄️ Dlaczego troje najlepiej sprzedających się na świecie polskich pisarzy to fantaści?
- ❄️ Czego się można dowiedzieć, oglądając graficzną oprawę nowych książek
- ❄️ 10 książek roku 2025 oraz Superdycha 2025, czyli najlepsze książki roku dla dzieci i nastolatków
- ❄️ Pomysły na książkowe prezenty

Zamów magazyn z darmową dostawą na: [Prenumerata24.pl](https://prenumerata24.pl)

Więcej na: [Wyborcza.pl/ksiazki](https://wyborcza.pl/ksiazki)

Czy Kaczyński ma pomysł, jak zakończyć spór w PiS?

Na razie nie wykonuje gwałtownych ruchów, pozwala, by konflikt rozgrzał polityczny grudzień 2025 roku.

– I tak by to wybuchło, bo buzowało od dawna. Ale lepiej, że to dzieje się teraz, niż w grudniu 2026, na niecały rok przed wyborami – słychać w PiS.

Agata Kondzińska

Była narada ścisłych władz o sytuacji w PiS. Były wezwania, by wyciszać konflikt. Były też rady, by informacje nie wyciekały z partii do dziennikarzy. Wszystko na nic. Publiczność wciąż może śledzić kolejne odsłony konfliktu w największej partii opozycyjnej. I to nie tylko z doniesień medialnych, ale też z opowieści rozgrywających polityków.

Kurski outsider

Jednym z głównych aktorów przedstawienia jest chwilowo Jacek Kurski, szef TVP za rządów PiS, od dawna w opozycji do Mateusza Morawieckiego. Dziś Kurski przedstawia się jako „outsider z możliwością bardzo wnikliwej obserwacji”, który jak widzi „pewne fałszywe ruchy to po prostu interweniuje, bo taka jest jego rola”. – Była kwestia subordynacji Mateusza Morawieckiego, że ma się stawić na Nowogrodzkiej, to się stało i dlatego skasowałem swój wpis – wyjaśniał w zaprzyjaźnionej TV Republice, którą tworzą byli pracownicy TVP, gdy była pod jego rządami.

Kurski tłumaczył tam swój obszerny wpis, w którym atakował byłego premiera z PiS. Sugerował, że podszyty strachem Morawiecki realizuje jakiś własny plan bez upoważnienia partii, czym przekracza granice śmieszności. Były prezes TVP jednoznacznie zestawiał takie działanie z wypowiedzeniem posłuszeństwa Kaczyńskiemu. Namacalnym dowodem nieposłuszeństwa miało być niestawienie się przez Morawieckiego na naradzie władz partii – tego dnia wybrał spotkanie z wyborcami na Podkarpaciu, chociaż Kaczyński publicznie mówił, że czeka na niego w Warszawie. – Jednocześnie objawia demonstracyjną odmowę stawiennictwa na bardzo ważnym posiedzeniu władz PiS, akcją „Morawiecki na premiera” w socialach, organizacją konkurencyjnych imprez w kraju – oskarżał Kurski.

Przypuszczał, że Morawiecki być może jest pod jakimś wielkim naciskiem. I jeśli jest szantażowany, to partia powinna go chronić.

„W imię dobra prawicy”

Gdy Kurski analizował publicznie sytuację w PiS, lider partii udzielał internetowego wywiadu. – To wydarzenie niefortunne – tak Kaczyński podsumował wpis Kurskiego.

Były szef TVP poinformował zatem, że analiza odniosła skutek, więc ją kasuje. Ale z rozliczania Morawieckiego nie zrezygnował. W Republice wypominał mu współpracę z Donaldem Tuskiem sprzed lat w radzie gospodarczej przy premierze. – I miesiąc po tym, jak ścisłał się na wręczeniu tej nominacji z Donaldem Tuskiem, miesiąc później Tusk tymi rękami

• **Prezes PiS Jarosław Kaczyński i były premier Mateusz Morawiecki**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



ścisłał Władimira Putina nad zwłokami Lecha Kaczyńskiego, świętej pamięci prezydenta – wracał do katastrofy smoleńskiej z 2010 roku. Wyliczał, że na prawo od PiS jest 20 proc. ludzi „wygonionych z obozu zjednoczonej prawicy pewnymi decyzjami Morawieckiego, na które nie było mandatu PiS”. – Braun i Konfederacja to jest zasób, który w olbrzymiej większości kiedyś głosował na PiS i my tych ludzi musimy odzyskać – dowodził. I „w imię dobra prawicy” jest w stanie ogłosić, że nie ubiega się o funkcję prezesa telewizji. – Nie chcę być. Tego samego oczekuję od Mateusza Morawieckiego – mówił. I wezwał, by Morawiecki ustąpił przed kimś młodszym, kto mógłby być kiedyś premierem – tu przywołał Karola Nawrockiego. I proponował kogoś z pokolenia 30- i 40-parolatków, kto był na przykład wojewodą.

W tej puli są Przemysław Czarnek i Tobiasz Bocheński, którzy w PiS są we frakcji „maślarzy”, przeciwników Morawieckiego. Kurski przewidywał jeszcze, że z pewnymi starymi twarzami – w tym jego i Morawieckiego PiS nie zajędzie na pierwszą linię. – Możemy być w drugiej. Ja się umiem wycofać, tego samego oczekuję od Morawieckiego. Nie chcę słuchać „ja, ja, ja” – dodał.

Środowisko Morawieckiego na wpisy i wywiady Kurskiego odpowiedziało swoją akcją. Europoseł Waldemar Buda na X poinformował, że rozpoczęła się inicjaty-

wa zbierania podpisów o usunięcie Jacka Kurskiego z PiS „niezależnie od frakcji i różnic zdań w innych sprawach”. Przypomniał jeszcze losy Kurskiego w partii: „Przystąpił do PiS w 2001, zdradził w 2002, przystąpił do PiS w 2004, zdradził w 2011, przystąpił do PiS 2024, zdradzi w...” W poniedziałek w radiowych Sygnałach Dnia zapewnił, że wniosek o wyrzucenie Kurskiego złoży. – Jeżeli szeregowy członek atakuje kierownictwo, to muszą być tego konsekwencje. Prezes nazwał te medialne wybryki nieporozumieniem i musi podjąć decyzję w tym zakresie. My możemy tylko złożyć wniosek i to zrobimy – powiedział. Stwierdził też, że skoro jest przyczyna, to potem jest skutek. – Pierwsze były wypowiedzi, później były wpisy i reakcje. Proszę nie żyć w alternatywnej rzeczywistości, bo kryzys to dzisiaj ma rząd, ponieważ jego ocena jest dramatycznie niska, a wynika ona z nonszalancji polegającej na tym, że nie reaguje na problemy ludzkie – pouczył Buda.

Spór o doktrynę

Na razie Jarosław Kaczyński nie wykonuje gwałtownych ruchów, by wyciszyć konflikt w partii. Ostatnia narada kierownictwa nie dała rozstrzygnięcia, a raczej wskazania, by informacje nie ciekły do mediów, a politycy zwaśnionych stron pokazywali się częściej razem. Przykładem było spotkanie z Podkarpacia, na którym wspólnie z wyborcami pojawili się Beata Szydło i Mateusz Morawiecki, wcześniej niechętni wobec siebie. W piątek rano do mediów w obronie Michała Dworczyka, bliskiego człowieka Morawieckiego, wspólnie wyszli stronnicy byłego premiera i Przemysław Czarnek. Dworczyk tego dnia usłyszał zarzuty w związku z aferą mailową.

Takie wspólne występy mają uspokajać elektorat PiS, że politycy mimo różnic zdań są w stanie się porozumieć.

Jednak PiS wciąż stoi przed odpowiedzią na pytanie, w którą stronę pójść. – Toczy

się spór, czy odzyskać tych, którzy się na nas zawiedli i odpłynęli, czy szukać wśród nowych, którzy na nas jeszcze nie głosowali, ale są konserwatywni, umiarkowani – opowiada ważny polityk PiS.

Debatą o kierunku też stała się już publiczna. W Polskim Radiu 24 Piotr Müller, były rzecznik rządu Morawieckiego, a dziś europoseł PiS wyłożył swoją teorię, że PiS to partia prawicowa i taką powinna pozostać. – Natomiast w takim klasycznym tego słowa znaczeniu, czyli wolnorynkową, z tradycyjnymi przekonaniami, jeżeli chodzi o kwestie narodowe, kwestie życia społecznego, ale otwartymi również na kwestie wzmacniania Polski w Europie, w Sojuszu Północnoatlantyckim – definiował. Uznał też, że ściganie się z Braunem na hasła jest czymś niewłaściwym. – Niektórzy u nas w partii chcieliby się ścigać z Grzegorzem Braunem, uważam, że to ślepa uliczka – ocenił. Rozprawił się również z Jakiem Kurskim, który według niego powinien odejść z partii, szkodzi PiS swoimi wypowiedziami i nie ma żadnej korzyści z tego, że Jacek Kurski funkcjonuje w życiu politycznym.

Inaczej widzi to zaliczany do maślarzy Bocheński. W Radiu Zet ocenił, że akcja mająca na celu wyrzucenie Kurskiego, jest szkodliwa i niepotrzebna. Nie podpisze się więc pod takim, a byłby prezes TVP nie powinien w ogóle odchodzić z polityki.

Na korytarzach przy Nowogrodzkiej nie się też opowieść, by postawić na młodsze pokolenia. Tu przykładem mają być konfederaci: Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak.

Wybór drogi, którą pójdzie PiS, niewątpliwie przełoży się na personalia. Umocnią się ci, którzy wskazywali dany kierunek. Jeśli partia Kaczyńskiego zacznie się poszerzać o centrum, zatriumfują ludzie Morawieckiego, jeśli stanie się odwrotnie, pozycję wzmocnią maślarze i ziobryści. ●

Na korytarzach przy Nowogrodzkiej niesie się też opowieść, by postawić na młodsze pokolenia. Tu przykładem mają być konfederaci: Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak

Odroczenie posiedzenia w sprawie aresztu dla Zbigniewa Ziobry

Sąd odroczył do połowy stycznia posiedzenie w sprawie aresztu dla Zbigniewa Ziobry. Były minister sprawiedliwości i prokurator generalny jest podejrzanym w śledztwie w sprawie nieprawidłowości w wydawaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Ma postawionych 26 zarzutów.

Wojciech Czuchnowski

Posiedzenie w sprawie aresztu dla Zbigniewa Ziobry prowadzono w poniedziałek od godz. 10 przed Sądem Rejonowym dla Warszawy Mokotowa. Przed rozprawą prok. Piotr Woźniak, szef Zespołu nr 2 Prokuratury Krajowej, tłumaczył, że wniosek o trzy miesiące aresztu związany jest z surowym zagrożeniem karą oraz „ukrywaniem się podejrzanego przed organami ścigania”. – W takiej sytuacji Kodeks Postępowania Karnego nakłada na nas obowiązek złożenia wniosku o areszt – zaznaczył.

Z kolei Bartosz Lewandowski, pełnomocnik Ziobry, powtarzał, że jego klient deklaruje udział w czynnościach prokuratury w formie zdalnej albo za granicą na terenie polskiej ambasady.

Adwokat nie chciał powiedzieć, gdzie teraz jest Ziobro (ostatnio był w Budapeszcie), Lewandowski zasło-

nił się tajemnicą obrońcą. Z kolei na X Ziobro napisał, że jest w Brukseli, gdzie zamierza spędzić święta.

Wniosek o areszt dla Ziobry, rozpatrywał skład jednoosobowy. Orzeczenie wydała sędzia Agnieszka Prokopowicz. To sędzia z 20 letnim stażem. Dała się szerzej poznać, gdy jesienią 2024 r. uchyliła decyzję Prokuratury Krajowej o odmowie śledztwa w sprawie działań głównego rzecznika dyscyplinarnego Piotra Schaba i jego dwóch zastępców Michała Lasoty oraz Przemysława Radzika.

Jak pisało oko.press „Chodziło o przekroczenie uprawnień, nękanie i fałszywe oskarżenia, jakie Schab z Radzikiem za władzy PiS wytaczali masowo sędziemu Waldemarowi Żurkowi z Sądu Okręgowego w Krakowie.” Po decyzji Sądu Prokuratura będzie musiała ocenić, czy było to formą nękania niepokornego wobec władzy politycznej sędziego. W su-



• Zbigniew Ziobro

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

mie w czasach PiS Żurkowi zrobiono 23 postępowania dyscyplinarne. Gdy sędzia Prokopowicz wydawała swoją decyzję, Żurek nie był jeszcze ministrem sprawiedliwości. Został nim latem 2025 roku.

Po pół godzinie nastąpiła przerwa w obradach sądu. Stało się tak, gdyż obrona Ziobry złożyła wniosek o odroczenie posiedzenia. Ich zdaniem nie można mówić, że Ziobro się ukry-

wa i unika stawienia się w prokuraturze, bo „przebywa na terenie Unii Europejskiej”. Co do wniosku o odroczenie, ma on dotyczyć „braków i błędów” w stanowisku prokuratury oraz „nowych materiałów o charakterze niejawnym” z którymi sąd musi się zapoznać.

Ostatecznie sąd odroczył do 15 stycznia rozpatrzenie wniosku Prokuratury Krajowej o areszt dla Ziobry. Powodem takiej decyzji jest wniosek obrony byłego ministra sprawiedliwości. Jego pełnomocnicy twierdzą, że w materiałach prokuratury nie znalazły się ważne dokumenty. Jakże? Tego nie ujawniają, podając tylko, że „są kluczowe dla zarzutu o zakup systemu Pegasus dla CBA ze środków Funduszu Sprawiedliwości”. Sąd uznał, że musi się z tymi materiałami zapoznać.

Prokurator Piotr Woźniak przyznał, że prokuratura nie załączyła tych materiałów, ale „nie mają one znaczenia dla sprawy”.

Przypomnijmy, że Zbigniew Ziobro, były minister sprawiedliwości i prokurator generalny, jest podejrzanym w śledztwie w sprawie nieprawidłowości w wydawaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. 7 listopada Sejm

zgodził się na uchylenie immunitetu Ziobrze, a tydzień później prokurator skierował do sądu wniosek o jego tymczasowe aresztowanie.

– Jest to niezbędne dla właściwego toku postępowania – powiedział o wniosku aresztowym rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak. Jego zdaniem zebrane dowody wskazują na uzasadnione podejrzenia popełnienia łącznie 26 przestępstw. Dotyczy to m.in. założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą przez okres pięciu lat, ustawiania i ręcznego sterowania konkursami na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości i przywłaszczania pieniędzy uzyskiwanych w ten sposób.

Ziobro na początku listopada wyjechał z Polski. Prokuratura dysponuje dwoma jego zagranicznymi adresami do korespondencji – w Belgii i na Węgrzech. Pierwszy znajduje się w Brukseli, gdzie Ziobro mieszka wraz z rodziną, odkąd ponad rok temu jego żona Partycja Kotecka-Ziobro rozpoczęła pracę w Parlamencie Europejskim. Polityk także tam leczy się onkologicznie. Pełnomocnik Ziobry nie podaje adresu polityka na Węgrzech, ale przekonuje, że prokuratura go zna. ●

REKLAMA

Kraj/34411920

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Wielka zbiórka pamiątek jenieckich

związanych z żołnierzami przetrzymywanymi w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej.

Zbiórkę prowadzi Centralne Muzeum Jeńców Wojennych – jedyna w Polsce placówka wszechstronnie zajmująca się problematyką jeniecką. Muzeum czeka na przedmioty używane lub wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie i rzeczy osobiste. Dary zostaną zabezpieczone i zinventaryzowane. Dzięki temu zyskają długowieczność i staną się świadectwem jenieckiej historii dla przyszłych pokoleń.

Zainteresowanych przekazaniem pamiątek Muzeum prosi o kontakt telefoniczny, mailowy, listowny lub osobisty. Każda propozycja daru zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także ich zdjęcia w wersji cyfrowej.

Za zbiórkę odpowiada Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych, ul. Muzealna 4, 48-316 Łambinowice, tel. +48 77434 34 75, e-mail: zbiorkapamiatek@cmjw.pl



www.cmjw.pl

CENTRALNE
MUZEUM
JEŃCÓW
WOJENNYCH



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



SAMORZĄD
Województwa Opolskiego



ZNAK DZIEDZICTWA
EUROPEJSKIEGO



Centralne Muzeum Jeńców Wojennych jest instytucją kultury Samorządu Województwa Opolskiego, współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W nowej strategii bezpieczeństwa

Fiksat czy

Europejczycy nie uświadomili sobie jeszcze w pełni doniosłości amerykańskiego przekazu. Może ok

Kot

Treść strategii bezpieczeństwa USA nie powinna stanowić zaskoczenia dla kogokolwiek, kto uważnie obserwuje poczynania administracji Donalda Trumpa. Ale wbrew powszechnemu przekonaniu transakcyjność nie jest jedynym wyznacznikiem amerykańskiej polityki zagranicznej.

To, co powinno Europę martwić najbardziej, to nie tyle maksymalizacja amerykańskich interesów bez oglądania się na sojuszników, tylko systemowa rywalizacja, która może zapanować w relacjach transatlantycznych.

Obecny kształt Unii Europejskiej stanowi bowiem dla Białego Domu dowód na słabość Starego Kontynentu. Waszyngton widzi podłoże tej słabości w ideologicznych założeniach panujących w Brukseli. Ich eliminacja ma przyjąć zatem nominalnie charakter sporu o idee. W praktyce nie zabraknie walki z przejawami europejskiej solidarności.

Tektoniczna rewolucja USA. Przyzwyczailiśmy się już do retoryki, w której Stany Zjednoczone przymuszają Europę do większej odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo. Choć już dziś europejskie działania nabierają rozpędu, to mamy tu jednak do czynienia z pierwszym szokiem: perspektywa planistyczna Europejczyków skraca się przynajmniej o 3 lata. Z dotychczas powszechnie przyjmowanego w Europie roku 2030 do deklarowanego przez sekretarza wojny USA Pete'a Hegsetha – 2027. To wówczas Europa miałaby przejąć odpowiedzialność za konwencjonalne zdolności obronne NATO, umożliwiając Amerykanom inne rozlokowanie własnych wojsk na świecie.



• Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen oraz prezydent USA Donald Trump w klubie golfowym Trump Turnberry w Szkocji, 27 lipca 2025 r.

FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

Drugą, iście tektoniczną rewolucją, jest ideologiczne wyzwanie, jakie USA rzucają Unii Europejskiej. Jej obecny kształt uznawany jest przez Waszyngton za niepożądany. Narzędziem do osiągnięcia tych zmian miałyby być według doniesień portalu Defense One, opartych na niejawniej części Strategii, znana już z okresu pierwszej prezydentury Trumpa, dwustronność stosunków z poszczególnymi państwami europejskimi. Oznacza ona pominięcie Brukseli i preferowanie tych sojuszników, którzy traktowani są jako ideologicznie zbliżeni do dzisiejszego mainstreamu Partii Republikańskiej.

Z perspektywy europejskiej widać w tych celach rozbieżność. Trudno zakładać uzyskanie przez Europę większych zdolności obronnych przy jednoczesnym wywróceniu jej obecnego modelu integracji gospodarczej i politycz-

nej. Jednak z perspektywy Waszyngtonu sprzeczność jest pozorna.

Donald Trump: „daddy” zza oceanu. Europejczycy, wciąż spóźnieni w poszukiwaniu swojej geopolitycznej sprawczości, upatrują we współpracy między UE a europejskim filarem NATO mechanizmu, który miałby przyspieszyć proces wzmacniania własnych zdolności obronnych. Jednak amerykańskie naciski uległy ewolucji, podobnie jak europejska odpowiedź.

Przeszliśmy daleką drogę od początkowo niezrozumiałej fiksacji Trumpa na wysokich wydatkach zbrojeniowych do postrzegania go jako ojcowskiej postaci, której napomnienia płyną z drugiej strony Atlantyku. Określenie Donalda Trumpa przez sekretarza generalnego NATO Marka Rutte mianem „tatusia” w trakcie szczytu w Hadze było próbą

oswojenia skrajnie asertywnej postawy strony amerykańskiej. Tym próbom towarzyszyła dobra wiara Europejczyków, że sojusz przetrwa, jeśli wykazemy minimum sprawczości w podniesieniu wydatków na zbrojenia (najlepiej na rzecz samych Amerykanów).

Problem polega jednak na tym, że w drugiej administracji Trumpa widoczny jest nie tylko rys transakcyjny, często ujawniający się przy okazji negocjacji pokojowych w sprawie Ukrainy, ale i brak silnych przekonań ideologicznych.

Przykładem tego była przemowa J.D. Vance'a z początku 2025 roku w trakcie Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Piszząc z Monachium dla „Gazety Wyborczej” wprost wskazywałem, że przemówienie Vance'a ma charakter programowy wobec Europy. Wiceprezydent USA zbywał technokratyczne dążenie Brukseli do obłaskawienia Waszyngtonu podwyższaniem wydatków na zbrojenia, pytając, jakie mają one znaczenie, jeśli problem leży w zdefiniowaniu wspólnych transatlantycznych wartości, których należałoby bronić.

Obecnie to samo myślenie widzimy w Strategii i pomimo upływu 10 miesięcy od konferencji monachijskiej wciąż wzbudza ono szok w Europie.

„Upadające państwa narodowe” w Europie. Dla ideologicznego kursu drugiej administracji Donalda Trumpa obecny kształt Unii Europejskiej stanowi wyzwanie o charakterze systemowym, wykraczające poza europejskie ociąganie się w wydatkach zbrojeniowych. Bruksela, tak jak postrzegają ją dziś J.D. Vance czy twórca Strategii bezpieczeństwa – Elbridge Colby, nie tyle nie ma potencjału, co wręcz nie powinna stać się podmiotowym graczem geopolitycznym.

Wizja świata promowana przez Brukselę i Waszyngton jest nie do pogodzenia.

REKLAMA

Kraj/34411904

MASSIVE ATTACK — BJÖRK — GORILLAZ — PORTISHEAD — UNKLE

trip hop meets orchestra

2.03. GDAŃSK
3.03. POZNAŃ
5.03. RZESZÓW
11.03. KRAKÓW

F. CHOPIN
MATEUSZ DUBIEL MORPHING
CLASSIC IMPRESSIONS

11.02. RZESZÓW
14.02. KRAKÓW

ROYAL CLASSICAL BALLET
JEZIORO ŁABĘDZIE

11.01. WROCŁAW
13.01. OLSZTYN 14.01. GDAŃSK

CYKL KONCERTÓW
ARS CAMERALIS
słowo: Marek Dyżewski

9.01.2026 JANUSZ WAWROWSKI – skrzypce
MISHA KOZŁOWSKI – fortepian
6.02.2026 ZESPÓŁ WOKALNY JERYCHO

BILETY:
eBilet kup bilecik

ODWIEDŹ NASZE STRONY:
promusica.pl forumartis.pl

ZAMÓWIENIA GRUPOWE I PROMOCJE:
+48 502 654 876

Ciao Amore!
WŁOSKI WIECZÓR Z PASTA DIVAS

12.02. KIELCE
19.02. TORUŃ

Orkiestra Kameralna Kawalera de Saint-George pod batutą Radosława Dronia
G. GERSHWIN
Błękitna rapsodia
Tomasz Marut • fortepian
A. PIAZZOLLA
Cztery pory roku
Ida Pujanek • skrzypce Adam Pujanek • skrzypce

15.01. WROCŁAW

Artystom, Partnerom oraz Publiczności dziękujemy za wspólny rok!

Zapraszamy na kolejne wydarzenia!

PRO MUSICA FUNDACJA FORUM ARTIS IM. MARKA TRACZA

Chińskie samochody to szpie

Szpiegostwo za pomocą samochodu? Metoda stara jak świat, ale do tej pory wymagała siedzenia w aucie i próby nierzucania się w oczy. Dziś to znacznie prostsze.

Karolina Chojnacka

Zaczął się niewinnie. Pewne lotnisko w Chinach zakazało dłuższego parkowania właścicielom Tesli.

Powód? Tryb strażnika, zwany po angielsku Sentry Mode, który niejedną Teslę uchronił przed kradzieżą. Po jego włączeniu w zaparkowanym samochodzie aktywują się kamery i czujniki, które monitorują otoczenie wokół auta, nagrywając potencjalne zagrożenia, takie jak próby włamania, i powiadamiając właściciela.

W Chinach uznano, że ten system, zamiast do pilnowania samochodu, może zostać użyty do szpiegowania. I Tesla znalazła się na cenzurowanym.

Pojawiły się informacje, że samochodem amerykańskiej marki nie można było parkować w pobliżu jednostek wojskowych czy policyjnych,



• **18.11.2025 r., Warszawa, Ptak Warsaw Expo, Targi Elektromobilności. Chiński samochód elektryczny BYD Sealion 7**
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

a także pod rozgłościami radiowymi i telewizyjnymi.

Doszło nawet do tego, że Tesle nie mogły wjeżdżać na niektóre autostrady, bo prowadziły one obok ważnych obiektów przemysłowych i wojskowych.

Problem udało się rozwiązać. Produkowane w Szanghaju od 2019 r. auta amerykańskiej marki przeszły proces certyfikacji w 2024 r. – po serii chińskich testów bezpieczeństwa danych. I wyciągnięto z historii z Teslę wnioski.

Chińczycy boją się inteligentnych aut

„Chińskie organy państwowe wskazują na inteligentne samochody jako fundamentalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Akcentują przy tym ryzyko wycieku tajem-

nic państwowych, zbierania danych o infrastrukturze krytycznej i instalacjach wojskowych oraz transferu za granicę wrażliwych informacji o funkcjonowaniu gospodarki i społeczeństwa” – informuje Ośrodek Studiów Wschodnich (OSW), w raporcie „Smartfony na kółkach. Inteligentne samochody z Chin a cyberbezpieczeństwo Europy”.

Inteligentne samochody to pojazdy wyposażone w technologie łączności, które umożliwiają skanowanie otoczenia, geolokalizację, komunikację z infrastrukturą i zdalne usługi w czasie rzeczywistym. Mają one możliwość zbierania m.in. geoprze-strzennych i osobowych danych. Mogą monitorować otoczenie i przysyłać informacje o trasach, położeniu, a nawet otoczeniu pojazdu do zewnętrznych systemów.

Dane zebrane przez samochody potencjalnie można wykorzystać w działaniach wywiadowczych.

I tego właśnie obawiają się chińskie władze. Do głównych rodzajów ryzyka, związanego z inteligentnymi samochodami, zaliczają one:

- zwiększoną podatność na cyberataki (przykładowo zdalne przejęcie samochodów lub zakłócenie działania ich czujników mogłoby doprowadzić do katastrof w ruchu lądowym),

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34409381

RODZINA OSIOŁKÓW PO ŚWIĘTACH JEDZIE NA RZEŻ

Niusia i jej córeczka mają wyrok śmierci. Pomóż je uratować.

Pilnie potrzebna pomoc dla ośliczki Niusi i jej córeczki. Obie miały być świątecznym prezentem, handlarz kupił je na zamówienie.

Ale kiedy okazało się, że są tak przerażone, że nie chcą podejść, nie dają się dotknąć, zapadła decyzja: zaraz po świętach zostaną odwiezione do rzeźni i zabite.

Nusia drży na sam widok człowieka. Całym ciałem mówi, jak bardzo się boi. A obok niej stoi jej maleńka córeczka, wtulona w bok mamy, która nie wie jeszcze nic o świecie — poza tym, że mama jest wszystkim, co ma.

Jeśli nie zareagujemy natychmiast, stracą życie obie. Transport zaplanowany jest na pierwszy dzień po świętach. Potrzebujemy 4800 zł, by je uratować i zabrać do azylu, gdzie mieszka już blisko 160 ocalonych osiołków.

Twoja pomoc to jedyna szansa na życie dla Niusi i jej córeczki.

Prosimy, pomóż je ocalić, wyślij darowiznę z tytułem: „Ratuję Niusię i jej córeczkę” na konto numer:

23 1020 4027 0000 1102 1692 6564

Fundacja BENEK ul. Orzechowa 15, 63-004 Szewce

Organizacja Pożytku Publicznego KRS 0000794938

www.fundacijabenek.pl tel: Michał Bednarek 506 349 596

BARDZO DZIĘKUJEMY ZA KAŻDE WSPARCIE



blík 506 349 596



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34413532

NEWSLETTER

Komunikaty.pl

Dla przedsiębiorców, urzędników, zainteresowanych gospodarką.

ZAPISZ SIĘ

Wejdź na stronę komunikaty.pl lub użyj kodu QR



OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34413395



Wyciąg z ogłoszenia o organizowanym przetargu

Burmistrz Miasta Pionki informuje,

że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Pionki ul. Aleja Jana Pawła II nr 15 oraz na stronie www.bip.pionki.pl zostało podane do publicznej wiadomości ogłoszenie o organizowanym i ustnym przetargu nieograniczonym na sprzedaż prawa użytkowania wieczystego:

niezabudowanej nieruchomości położonej w Pionkach przy ul. Jana Protę, stanowiącej działkę nr 1464/553 o powierzchni 1,4488 ha wraz z udziałem w prawie użytkowania wieczystego działek nr: 1464/31, 1464/167, 1464/103, 1464/36, 1464/126, 1464/166, 1464/33. stanowiących drogi wewnętrzne, łączące tę nieruchomość z drogą publiczną.

Cena wywoławcza nieruchomości 440 000,00 zł (plus vat 23%)

Wadium: 45 000,00 zł (wniesione w pieniądzu)

Przetarg odbędzie się w dniu 26 lutego 2026 r. o godz. 10⁰⁰ w siedzibie Urzędu Miasta Pionki ul. Aleja Jana Pawła II nr 15 pok. nr 107.

Szczegółowe informacje o przedmiocie i warunkach przetargu można uzyskać w Wydziale Gospodarowania Mieniem Gminy Urzędu Miasta w Pionkach pok. nr 215 lub telefonicznie 790-286-060.

Pionki, dnia 17.12.2025 r.

Burmistrz Miasta Pionki
/-/ Łukasz Miśkiewicz

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34413363



WOJEWODA OPOLSKI

ul. Piastowska 14
45-081 Opole

IN.1.747.4.2.2025.MBA/KD

Obwieszczenie Wojewody Opolskiego o wydaniu decyzji o ustaleniu lokalizacji linii kolejowej

Zgodnie z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2025 r. poz. 1691), oraz art.9q ust. 2, 2a i 3 ustawy z dnia 28 marca 2003 r. o transporcie kolejowym (Dz. U. z 2023 r. poz. 602)

zawiadamiam,

że na wniosek PKP Polskich Linii Kolejowych S.A ul. Targowa 74, 03-734 Warszawa, działającej przez pełnomocnika Katarzynę Głodek oraz Janusza Pasierb w dniu 16 grudnia 2025 r. została wydana decyzja o ustaleniu lokalizacji linii kolejowej dla inwestycji pn.: „Budowa i przebudowa linii kolejowej nr C-E 30 (277) wraz z budową i przebudową infrastruktury towarzyszącej w związku z realizacją przedsięwzięcia pn. „Prace na linii kolejowej C-E 30 na odcinku Opole Groszowice – Jelcz – Wrocław Brochów”, dla odcinka: S01 Stacja Opole Groszowice od km – 1+261 do km 0+930.”

Ww. wniosek obejmuje linie kolejowe:

Lk 277 od km – 1+261 do km 0+930,

Lk 132 od km 94+443 do km 94+508

Na nieruchomościach lub ich częściach oznaczonych w ewidencji gruntów i budynków jako działki nr: 75, 89, 439, 801, 864, 453, 486, 890, 891, 889, 1449, 1465, 3045 zlokalizowanych w Opolu obręb Groszowice, projektuje się przeprowadzenie robót budowlanych oraz wycinkę drzew.

Działki nr: 439 i 864 zostaną podzielone na działki o następujących numerach: 439/1 i 439/2, 864/1 i 864/2.

Zgodnie z art. 9w ust. 1 ustawy o transporcie kolejowym przedmiotowej decyzji został nadany rygor natychmiastowej wykonalności.

Z treścią decyzji oraz dokumentacją sprawy zainteresowane strony mogą zapoznać się w Opolskim Urzędzie Wojewódzkim w Opolu przy ul. Piastowskiej 14, 45-082 Opole, po uprzednim kontakcie telefonicznym pod nr tel.: 77 45 24 130, 77 45 24 185.

Ponadto informuję, że treść decyzji została udostępniona na okres 14 dni, w Biuletynie Informacji Publicznej Opolskiego Urzędu Wojewódzkiego



Idą na kołach?

- zbieranie przez pojazdy wrażliwych danych o otoczeniu samochodu (np. dotyczących infrastruktury krytycznej),
- zbieranie przez pojazdy danych z wnętrza auta (np. rozmów czy danych biometrycznych kierowcy i pasażerów).

Obawy te zaowocowały kompleksowym systemem regulacji, który obejmuje m.in. zakaz przesyłania za granicę danych uznawanych za ważne dla bezpieczeństwa państwa oraz wrażliwych danych osobowych gromadzonych przez pojazdy poruszające się po chińskich drogach.

Jednocześnie Chiny zaczęły prace nad technologiami związanymi z inteligentnymi samochodami. I to z powodzeniem. Bo choć technologie te starają się rozwijać i wdrażać wszystkie koncerny samochodowe, to, jak zwracają uwagę badacze z OSW, globalnym liderem w tym obszarze staje się Chińska Republika Ludowa.

I reszta świata nie powinna tego faktu ignorować.

„Wprawdzie w istniejących regulacjach ChRL podchodzi do kwestii inteligentnych samochodów defensywnie, niemniej w przyszłości może wykorzystać ich potencjał, aby podjąć działania ofensywne” – ostrzega w raporcie OSW. I zaznacza:

„Na mocy art. 7 Ustawy o wywiadzie narodowym ChRL, a także w ramach nieformalnych mechanizmów, istnieje możliwość zobowiązania chińskich producentów samochodów do przekazania rządowi chińskiemu danych zgromadzonych za granicą”.

Polskie ulice i chińskie samochody

W ciągu jedenastu miesięcy br. producenci z Chin sprzedali w Polsce 39 340 samochodów.

– W tym roku razem z polskim biznesem zorganizowaliśmy wizytę studyjną do kilku chińskich miast, wizytowaliśmy chińskie fabryki samochodów i siedziby koncernów. Główne pytania, jakie sobie wtedy stawialiśmy – które pozostają ważne – dotyczyły źródeł chińskiej potęgi przemysłowej, zbadania czemu ekspansja chińskich samochodów w Europie jest tak żywiołowa – mówi Wyborcza.biz Jakub Jakóbowski, wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, a także kierownik Zespołu Chińskiego OSW.

I dodaje: – Na tym polu doszliśmy do wielu gorzkich dla nas wniosków, natomiast największym odkryciem była właśnie warstwa cyfrowa samochodu. Poziom integracji elektroniki, przetwarzania danych, zastosowania AI w chińskich samochodach jest bardzo wysoki. A biegłość w analizie danych, w tym chińskich władz – ogromna. Stąd w ogóle pomysł, by przyjrzeć się temu bliżej w raporcie. To dla nas wielkie i bardzo realne wyzwanie.

– Przede wszystkim sami Chińczycy uznają inteligentne samochody za fundamentalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa i obywateli. I wprowadzają tu silne, asertywne regulacje wobec zagranicznych firm – podkreśla Jakóbowski.

I tłumaczy: To, że zagrożenie istnieje, to więc po części własna ocena Chin. Argumenty podnoszone tam są moim zdaniem trafne – nowoczesny samochód ma taką liczbę kamer, sensorów i mocy obliczeniowej, że zbierane przez niego dane mogą stanowić tajemnicę państwową i zagrażać infrastrukturze krytycznej. Myślę, że na to powinniśmy zwracać największą uwagę. Szczególnie, że same Chiny myślą o tym bardzo dużo, a znając szerzej to państwo, przychodzi na myśl ryzyko, że mogą wykorzystać te podatności sami. Obok tego jest oczywiście szereg zagrożeń o charakterze komercyjnym, przemysłowym. Chińczycy robią dobre i tanie samochody, co stawia pod znakiem zapytania

Dane zebrane przez samochody potencjalnie można wykorzystać w działaniach wywiadowczych.

I tego właśnie obawiają się chińskie władze

naszą europejską konkurencyjność – podkreśla Jakóbowski.

I będą te samochody eksportować do Europy.

Europa powinna wyciągnąć wnioski

– UE wdrożyła cła na chińskie samochody elektryczne, zależnie od marki od kilkunastu do nawet 40 proc. Ale to wciąż za mało, by powstrzymać chiński pochód.

Unijne przepisy nie regulują funkcjonowania inteligentnych samochodów. Zdaniem autorów raportu Europa powinna wyciągnąć wnioski płynące z chińskich regulacji. „Wzorowanie się na chińskich dokumentach jako zbiorze dobrych praktyk dałoby

istotny argument w komunikowaniu władzom ChRL ewentualnej decyzji o wprowadzeniu ściślejszych regulacji dotyczących chińskich inteligentnych aut” – podkreślają w raporcie.

Zdaniem badaczy zastrzone regulacje, np. nakazujące przechowywanie danych w Polsce czy Europie i użycie lokalnych rozwiązań IT, mogłyby dodatkowo stać się skutecznym narzędziem polityki przemysłowej, zmuszającym chińskie firmy do lokalizacji wartości dodanej zaawansowanych usług w UE.

„Konieczność nadania ram regulacyjnych funkcjonowaniu inteligentnych samochodów w Europie staje się kwestią palącą ze względu na skokowy przyrost pojazdów z Chin na rynku UE” – podkreśla w raporcie OSW. ●

REKLAMA

Kraj/34412781

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

*Wesołych Świąt,
Szczęśliwego Nowego Roku!*

Z okazji nadchodzących Świąt
życzymy Państwu spokoju,
radosnych chwil w gronie najbliższych.
Niech ten wyjątkowy czas
przyniesie wiele inspiracji
oraz satysfakcji.

aluprof.com



FOT. WESTEND61 / UWE UMSTÄTTER / GETTY IMAGES

Po co mi DZIECKO?

Czy planuje pani zwiększyć potencjał obronny kraju?
– zapytał ginekolog Malwinę w trakcie badania wzniernikiem

Dawid Krawczyk

Malwina siedzi w sali konferencyjnej i ogląda prezentację na ekranie. Szklane ściany, a za nimi Mordor – warszawskie zagłębie korporacyjnych biurowców – pogrążony w listopadowej szarości. Na długim prostokątnym stole karafka z wodą, głośnik, otwarte laptopy – przy stole najwyższy szczebel menedżerski.

Niedługo minie dekada, odkąd 35-letnia Malwina zatrudniła się w tej firmie. Trzy lata temu dostała duży awans, poprawił nie tylko kondycję jej budżetu, ale i miejsce w korporacyjnym porządku. Kiedyś takie spotkania mogła podejrzeć przez szybę, dzisiaj siedzi w środku i podejmuje decyzje kluczowe dla firmy zajmującej się m.in. sprzedażą reklam i produkcją wideo.

Na tym spotkaniu wszystko na pierwszy rzut oka wygląda bardzo równościowo. Cztery kobiety, czterech mężczyzn. Jest jedno ale. Żadna z kobiet przy tym stole nie ma dzieci. Malwina to wie, bo pracują razem od lat, zna ich prywatne historie, czasem z kuchni, czasem z firmowych wyjazdów. Wszystkie są w okolicach czterdziestki albo tuż przed. Jedna od lat powtarza, że może kiedyś, druga ma za sobą trudny związek po którym skupiła się na pracy, trzecia nigdy nie mówiła dlaczego. A Malwina? Nie widzi siebie w roli matki. Nigdy nie widziała.

Menedżerowie przy tym stole są ojcami – ten ma jedno dziecko, tamten dwoje, kolejny właśnie wrócił z urlopu, na który zabrał swoją trójkę.

– Moim zdaniem kobiety naprawdę często stają przed wyborem... – słyszę od Malwiny w kawiarni na parterze biurowca. – ... albo skupiasz się na tym, co robisz zawodowo, budujesz pozycję, niezależność, albo decydujesz się na dziecko. I system jasno pokazuje, która ścieżka jest bardziej opłacalna.

Umówiłem się na rozmowę z Malwiną, bo Główny Urząd Statystyczny opublikował na początku listopada nową, eksperymentalną symulację demograficzną, która po raz pierwszy wprost pokazuje, co czeka Polskę, jeśli dzietność utrzyma się na dzisiejszym poziomie.

Według dokumentu w 2060 roku populacja kraju może spaść do 28,4 mln osób, czyli o 24 procent względem 2024 roku. Nawet w najbardziej optymistycznym scenariuszu – z nieco wyższą dzietnością – liczba ludności zmniejszy się do ok. 32 mln. Wszystkie warianty łączy jedno: malejąca liczba dzieci, kurcząca się grupa osób w wieku produkcyjnym i szybki wzrost liczby seniorów, szczególnie tych po osiemdziesiątce.

Z danych wynika jasno: w 2060 roku osoby w wieku produkcyjnym nie będą już większością społeczeństwa, a najmłodszych – dzieci i nastolatków – będzie zaledwie 12-16 proc. Jednocześnie grupa najstarszych (90+) się potroi. Trend spadkowy w dzietności trwa od 2017 roku.

Dają w szyję, wołają psiecko

Nowa symulacja tylko podwyższyła temperaturę debaty, dlaczego w Polsce rodzi się tak mało dzieci. I podobnie jak w poprzednich latach wciąż kręci się wokół „winy” kobiet, a nie wokół warunków, które realnie wpływają na decyzje prokreacyjne. Polityczne barwy mają w niej drugorzędne znaczenie.

Trzy lata temu Jarosław Kaczyński mówił w o „dawanu sobie w szyję”, sugerując, że to hulawczy styl życia Polek odpowiada za niską liczbę urodzeń. Donald Tusk w niedawnym wywiadzie dla brytyjskiego „Sunday Times” dorzucił kilka słów o uciekaniu od odpowiedzialności. Z kolei nacjonaliści z Młodzieży Wszechpolskiej przynieśli na tegoroczny Marsz Niepodległości transparent „Psiecko nie zastąpi dziecka”, jakby największym problemem demografii było to, że młodzi ludzie mają psy.

Porozmawiałem z osobami, które nie chcą mieć dzieci, nie mogą, lub odkładają decyzję o rodzicielstwie na później. Co spędza im sen z powiek? Co naprawdę wpły-

wa na ich decyzje? I jak czują się w kraju, który debatuje o ich decyzjach w sprawie potomstwa?

Czy będzie jakiś mały podchorąży?

Malwina nie przypomina sobie, żeby w pracy ktoś pytał ją, dlaczego nie ma dzieci. Chociaż to pytanie wraca do niej jak bumerang w najmniej oczekiwanych sytuacjach i formach. Ostatnio w osiedlowym warzywniaku.

Od czasu do czasu zdarza się jej zamienić kilka słów ze sprzedawczynią, są w podobnym wieku. Pytanie o plany reprodukcyjne padło między ważeniem ziemniaków, a wybraniem śliwek.

– A dzieci to kiedy będziesz mieć? – wałnęła prosto z mostu sprzedawczyni.

– Aaa, nie, nie planuję – odpowiedziała zmieszana Malwina. Wyszła z kilogramem ziemniaków, pół kilo śliwek i słowami sprzedawczyni, które dźwięczały jej w głowie: „Będziesz żałować. Nie wiesz, co tracisz”.

– To jest to, co mnie w tych pytaniach najbardziej wkurza, że słyszę to oczekiwanie, a czasem wręcz żądanie. Przymus poświęcenie, który ktoś mi wrzuca na barki jak plecak z kamieniami – mówi Malwina.

Innym razem miejsce było dość typowe dla pytania o dzieci, ale forma osobliwa. W prywatnym gabinecie ginekologicznym na Domaniewskiej, niedaleko pracy, białe ściany, automaty z numerkami przy recepcji, wszystko jak z ulotki. Malwina leży na fotelu ginekologicznym, w pozie nieszczerze komfortowej do rozmów. Lekarz bada ją wzniernikiem i w pewnym momencie rzuca: „Czy planuje pani zwiększyć potencjał obronny kraju?”. Próbuje być zabawny, bo w mediach od rana tamtego dnia wszyscy mówili o widmie wojny – na teren Polski spadły drony. Malwina odpowiada, że nie rozumie pytania, choć oczywiście wie, o co mu chodzi.

„No, czy jakiś mały podchorąży albo podchorąża będą?” – nie daje za wygraną lekarz.

„Aaa, nie, nie planuję”.

W domu z kolei nigdy nie usłyszała od rodziców wprost: „Kiedy dziecko?”. Mama pracowała jako nauczy-

cielka, wychowywała trójkę dzieci, zajmowała się scho- rowaną babcią, gotowała obiady, pomagała w odrabia- niu lekcji.

– Mama zawsze odkładała swoje potrzeby na sam ko- niec – mówi Malwina. – Podziwiam ją za to, jak to wszyst- ko ogarniała, ale widziałam też, jak bywała umęczona.

Uważa, że matka zawsze wzmacniała w niej niezale- żność. – Wychowała mnie w duchu: żyj inaczej, bardziej dla siebie. Zostałam zaprogramowana trochę tak, żebym mogła przeżyć takie życie, którego ona przeżyć nie mogła.

Dziś, kiedy patrzy na swoje życie, wypełnione pracą, zajęciami w szkole pływania, kinem, teatrem, wyjazdami jest przekonana, że nie chciałaby z niczego zrezygnować.

Pytam Malwinę, co uważa na temat diagnoz polityków na temat niskiej diety. Czy – jak sugerował Donald Tusk – nie ucieka po prostu od odpowiedzialności?

– Słyszałam tę wypowiedź i pobrzmiewa w niej takie narzekanie, że oto kobiety są leniwe, przewróciło im się od tego równouprawnienia w głowach. Ja uważam, że je- śli chcę żyć wygodnie, to mam do tego prawo. Bo faktycz- nie, chęć posiadania potomstwa u mnie nigdy nie była sil- niejsza niż chęć wysypiania się czy potrzeba rozwoju.

Gdybym zdecydowała się na dziecko, oznaczałoby to zmianę priorytetów i nigdy nie czułam się na to gotowa. Odkąd pamiętam, mam alergię na taką figurę umęczonej matki-Polki, która w imię odchowania potomstwa rezy- gnuje z tego, co przynosi jej satysfakcję i spełnienie.

W tym roku wzięła ślub z mężczyzną, z którym jest w związku od kilkunastu lat. Pod decyzją o braku dzieci podpisują się wspólnie. Ale Malwina mówi też: – Boję się, że przyjdzie dzień, w którym poczuję pustkę. Że już by- lam w tylu miejscach, tyle przeżyłam, a nie mam tej swo- jej małej wspólnoty, której czasem zazdroszczę innym.

Najwięcej lęku budzi w niej jednak wizja śmierci ro- dziców. – Jak odejdą, ta liczba osób do kochania bardzo się zmniejszy – mówi cicho. – I wtedy się zastanawiam, czy będę umiała być szczęśliwa bez takiej własnej rodziny w klasycznym rozumieniu.

Tomek jeszcze się nie mnoży

Wieś, 60 kilometrów na południe od Warszawy. 35-letni To- mek odwiedza rodziców. Wychodzi do ogródka przy domu,

w którym się wychowywał. Sąsiad, który wyszedł zagrabieć wyschnięte jesienne liście, przywołuje go ruchem dłoni. Nie zaczyna od cześć, dzień dobry, ani co słysząc.

– No i co tam, mnożycie się, czy się nie mnożycie? – wypala, jakby to była rozmowa o pogodzie.

Tomek myśli o córce tego sąsiada, czterdziestolatce z dwójką dzieci – wiecznie zmęczonej, wiecznie zalatanej. Robi karierę w warszawskiej korporacji, żeby utrzymać rodzinę, której właściwie nie ma kiedy widywać.

„Jak moje życie ma wyglądać tak jak u pana córki, to ja dziękuję” – obraca w głowie złośliwą odpowiedź, ale wybiera rozwiązanie pokojowe. – Na razie nie planuje- my – odpowiada krótko. Tomek skończył psychologię, ale pracuje w branży eventowej – kręci filmy z firmowych im- prez. Zdarza mu się filmować też wesela. Swoją ślub wziął kilka lat temu. Wynajmują mieszkanie w Warszawie.

– Tak się składa, że wszyscy znajomi, którzy mają dzie- ci, mają też swoje mieszkanie. Kupione przez rodziców albo po dziadkach. Ani ja, ani moja żona nie mieliśmy ta- kiego szczęścia – opowiada, kiedy spotykamy się, żeby po- rozmawiać o jego planach związanych z dziećmi.

Widzimy się w dniu, w którym podpisze umowę przedwstępnej na kupno mieszkania. – Wystarczy spoj- rzeć na naturę. Jak ptak ma rozpieprzone gniazdo, to nie składa jaj. Przecież my też jesteśmy zwierzętami. I żeby podjąć decyzję o dziecku, potrzebujemy podstawowego poczucia bezpieczeństwa – tłumaczy.

Kredyt powinni dostać za kilka miesięcy, a potem klu- cze do mieszkania, drobny remont i mogą żyć „na swo- im”. Czy to oznacza, że będą mieli dobre wieści dla wścib- skiego sąsiada? Tomek kręci głową: – Mieszkanie to jed- no, ale nie ukrywam, że noszę w sobie sporo wątpliwości.

Psychologia, którą studiował, nie pomaga w ich roz- wianiu. – Ludziom myślącym jest trudniej. Widzisz kon- sekwencje decyzji swoich i swoich rodziców. Widzisz swoje dzieciństwo: lepsze, gorsze, takie jakie było. I wtedy pojawia się pytanie: po co mi dziecko? – mówi.

On na razie nie ma gotowej, wyraźnej odpowiedzi na to pytanie: – Jak decydujesz się na dziecko, to w pewnym sensie podejmujesz decyzję za tego człowieka. Mówisz mu: chodź, zapraszam cię do tego gówna tutaj, które się dzieje dookoła.

Swojego własnego dzieciństwa nie idealizuje. – Nie by- ło biedy. Ale buty miałem po bracie. Na wakacjach z ro- dzicami byłem raz. Reszta to kolonie z zakładu pracy. Da się tak żyć, jasne. Ale jak myślę o swoich dzieciach, to chciałbym, żeby raz w roku pojechały na wakacje, żeby w weekend można było gdzieś wyskoczyć dalej niż do ga- lerii handlowej. I żeby wyjście do knajpy w trójkę nie było wydarzeniem raz na pół roku – mówi.

Tomek uważa, że opowieść o tym, że jego pokolenie nie chce mieć dzieci, mija się z rzeczywistością.

– Nie chcemy z automatu, bezmyślnie zakładać ro- dziny, to prawda, ale to nie znaczy, że w ogóle nie chce- my dzieci. Zanim się zdecydujesz na coś takiego, musisz przemyśleć setkę rzeczy, o których nasi rodzice nawet nie słyszeli. Wybór przedszkola, szkoły, wpływ środowiska. A jak coś pójdzie nie tak? – dzieli się wątpliwościami.

Obserwuje, jak wygląda publiczna edukacja na przy- kładzie bratanicy. Nie napawa go to nadzieją.

– Najpierw poszła do przedszkola prywatnego i było super: woda z cytryną, warzywa, sensowne zajęcia. A po- tem, ze względów finansowych, przenieśli ją do publicz- nego. Okazało się, że codziennie do jedzenia mają takie słodzone napoje gazowane, a przedszkolanki nie widzą w tym problemu – załamuje ręce Tomek.

Wątpliwości Tomka nie ograniczają się jedynie do szkoły, czy ekonomicznych trosk. Obawia się, że może mu nie starczyć cierpliwości do bycia tak wyrozumiałym ojcem, jakim chciałby być.

– A co jednak sprawia, że myślisz o tym, żeby zostać ojcem? – pytam.

– Usłyszałem kiedyś od przyjaciela, że nic nie uczy po- kory, tak jak dziecko. Nie ma dyskusji, po prostu przesta- jesz być najważniejszą osobą w swoim życiu, bo jest ten mały człowiek. Myślę, że dobrze by mi zrobiło, gdybym miał taki przymus. Tylko, że nie wiem, czy to jest dobra i wystarczająca motywacja – odpowiada.

Staranie na pełen etat: in vitro

Weronika, 36-letnia projektantka graficzna z Gdańska, też jeszcze nie wie, czy zostanie matką. Na razie dzień zaczy- na od otwarcia laptopa w swoim mieszkaniu. Sprawdza, co napisała firma z Irlandii, z którą teraz współpracuje. Na

REKLAMA

Kraj/34412751

GEDEON RICHTER POLSKA

Zdrowie jako gest troski

Świąteczny czas kojarzy się z troską i myśleniem o naszych bliskich. Wtedy, gdy tak wiele uwagi poświęcamy innym, coraz częściej pojawia się pytanie o to, jak dbamy o własne zdrowie. Profilak- tyka ginekologiczna pozostaje jednym z tych obszarów, które wiele kobiet odkłada – nie z braku świadomości, lecz z powodu emocji, napięcia i niepewności.

S iódma edycja kampanii „W kobiecym interesie” przypomina, jak ważne są spokój i empatia w gabi- necie lekarskim. Gedeon Richter od lat wsłuchuje się w potrzeby pacjentek i podejmuje działania, które pomagają kobietom dbać o siebie z troską i spokojem.

Jak wynika z raportu przygotowanego w ramach kampanii „W kobiecym interesie. Bez wyjątku”, aż 20 proc. Polek w wieku 18–29 lat nie było jeszcze nigdy u ginekologa. Młode kobiety rezygnują z wizyt u tego specjalisty m.in. z obawy przed bólem lub oceną, a także z powodu niepewności wynikającej z braku wiedzy o przebiegu badania. Co więcej, aż co czwarta kobieta dostrzega u siebie lub ma zdiagnozowane cechy neuro- atypowości, takie jak ADHD, spektrum autyzmu czy na- dwrażliwość na bodźce. Dla nich gabinet ginekologiczny bywa miejscem pełnym wyzwania, ze względu na nadmiar bodźców, co może skutecznie zniechęcać do badań.

Gabinet przyjazny zmysłom i emocjom

Stworzenie bardziej dostępnego gabinetu nie wymaga wielkich zmian. Wystarczą proste rozwiązania: przygaszone światło, cichsze otoczenie, zapewnienie prywatności podczas przygotowania do badania. – *Jeżeli chodzi o ko- biety neuroatypowe, to kluczowa jest tutaj wrażliwość na różnego rodzaju bodźce – zarówno sensoryczne, jak i te związane z dźwiękiem, światłem czy dotykiem. To są kobiety, które mają podwyższoną wrażliwość, więc różne rzeczy szybciej odbierają jako nieprzyjemne, po prostu „czują mocniej”* – wyjaśnia Zofia Małkowicz, badaczka społeczna i facylitatorka. – *Projektowanie gabinetu z myślą o takich pacjentkach to w gruncie rzeczy projektowanie z myślą o wszystkich kobietach* – dodaje ekspertka.

Empatia, która buduje zaufanie

Z badań wynika, że kobiety odkładają wizyty z powodu wstydu, lęku przed bólem czy braku wiedzy o przebiegu badania. Tymczasem to właśnie empatyczne, niewar- tościujące podejście lekarza oraz poczucie komfortu fizycznego i psychicznego mają kluczowe znaczenie.



W tym szczególnym, świątecznym czasie, kiedy uważność, spokój i troska nabierają wyjątkowego znaczenia, warto pamiętać, że dbanie o zdrowie to jeden z najcenniejszych prezentów. Kampania „W kobiecym interesie. Bez wyjątku” przypomina, że zrozumienie i otwartość w gabinecie ginekologicznym mają realny wpływ na komfort pacjentek i skuteczność profilaktyki.

– Od lat Gedeon Richter troszczy się o zdrowie kobiet. Nasza kampania „W kobiecym interesie” ma na celu zachę- canie wszystkich Polek do regularnych wizyt u ginekologa i szerzenie wiedzy na temat korzystania z prawa do rów- nego dostępu do podstawowych świadczeń zdrowot- nych, w tym ginekologiczno-położniczych – bez względu na wiek, status majątkowy czy miejsce zamieszkania. Jako firma wspierająca kobiety i ich zdrowie czujemy potrzebę realnego zaangażowania się w pokonywanie barier, które stoją na drodze kobiet do gabinetu ginekologicznego – mówi Aneta Grzegorzewska, dyrektor ds. Korporacyjnych i Relacji Zewnętrznych w Gedeon Richter Polska.

Raport dostępny jest na stronie:
<https://zdrowa-ona.pl/w-kobiecym-interesie/>
I po zeskanowaniu kodu QR:



¹Metoda badawcza: CAWI – ankieta internetowa – zrealizowana na panelu badawczym reaktorpinii.pl należącym do Instytutu Badań Pollster. Próba badawcza: reprezentatywna grupa kobiet w wieku 18–29 lat (zgodna ze strukturą populacji dostarczaną przez GUS w ramach spisu powszechnego). Struktura próby: kontrolowana ze względu na wiek, wykształcenie, wielkość miejscowości zamieszkania i region. W ramach badania przeprowadzono 659 ankiet w sierpniu 2025 roku.

dzis w planie ma wyeksportować kilka grafik na LinkedIna, zacząć projektowanie plakatu, jeśli nie utknę w mailach. Mniej więcej od roku zastanawia się na poważnie, czy chce zostać matką.

W lecie poszli z partnerem do kliniki sprawdzić, jak wyglądają ich szanse na zajście w ciążę. – To miało być łatwe. Chcieliśmy upewnić się, że z jajeczkami i spermą wszystko w porządku – mówi Weronika.

Badania krwi, hormony, morfologia, rezerwa jajnikowa i badanie nasienia. Kiedy zaczęły spływać pierwsze wyniki lekarz zaproponował obserwację cyklu, kolejne kontrole, w końcu drożność jajowodów.

Ostateczne wyniki: ani dobrze, ani źle. – Z tą płodnością jest tak, że nikt ci nie powie: „nie ma pani szans”. Ale nikt też nie powie: „będzie dobrze, proszę się nie martwić”. Ja mam mniej jajeczek, bo mam 36 lat, mój partner też nie ma idealnych parametrów, ale nie ma dramatu – opowiada Weronika.

Po tej niejednoznacznej diagnozie padła propozycja wejście w procedurę in vitro. Trzeba byłoby zgodzić się nie tylko na zastrzyki i wizyty, ale i na to, że od tej pory temat dziecka stanie się projektem na pełen etat. Na razie nie zdecydowali się zrobić tego kroku.

W czasie, kiedy badali płodność w życiu zawodowym Weroniki pojawiło się inne zobowiązanie: konferencja branżowa w Toruniu. Dostała zaproszenie, żeby wystąpić na jednej z ważniejszych imprez dla grafików. Lipiec i sierpień siedziała nad prezentacją: dopieszczała slajdy, opowieść, szukała własnego języka do opowiedzenia historii o projektowaniu. – Zwyczajnie skupiłam się na pracy. I tak to in vitro samo się odłożyło na później – mówi Weronika.

Czy to naprawdę tylko praca przesunęła tę decyzję w czasie? Kiedy o tym opowiada, szybko schodzi z konferencji na coś głębszego. Piętnaście lat inwestowała w swoją karierę, dzisiaj ma świadomość, że w jej branży kobiety z dziećmi pojawiają się rzadko na najwyższych szczeblach.

– Jak patrzysz na liderów tego rynku, to jeśli są tam kobiety, to zwykle bez dzieci. Dla mnie pytanie o dziecko to nie tylko pytanie o pieniądze, bo dalibyśmy radę. O raczej pytanie, czy chcę sobie zbudować dodatkowy szklany sufit na następne lata – dzieli się gorzką refleksją.

Dziesięć lat mieszkała w Londynie wśród znajomych singli, par hetero i niehetero, ludzi z dziećmi i bez. Decyzje o rodzicielstwie były jednym z wielu wariantów życia, nikt nie traktował ich jak testu z życiowej dojrzałości. Kiedy niedawno wróciła do Polski, poczuła, że temat dzieci jest tu znacznie bardziej obecny. Widziała, jak kolejne pary jej rówieśników ogłaszały w mediach społecznościowych ciążę, a potem narodziny.

– Dopiero po powrocie poczułam, że to „kiedys” zamienia się w „albo teraz, albo może wcale” – mówi Weronika.

Widzi widzi przed sobą dwie drogi. – Jeśli będę miała dziecko, to może być fajne życie – mówi. – Jeśli nie będę miała dziecka, też widzę dla siebie dobre życie, w którym będą inne projekty. Myślę, że każda z tych dróg koniec końców będzie satysfakcjonująca.

Na razie myśl o dziecku powoduje, że odczuwa mieszaninę różnych emocji. – Na pewno pojawia się nadzieja i radość. Ale też smutek, kiedy sobie uświadomiam, że coś wtedy muszę odpuścić. Z drugiej strony żal, że może nigdy nie poznam doświadczenia bycia matką.

Na razie wraca do listy zadań, grafik na LinkedIna, konferencji, plakatów i zleceń, które ma wpisane do kalendarza. Dziecko pozostaje w planach, ale bez deadline'u.

Azoospermia – wygooglował od razu

31-letni Filip wspólnie z żoną na myśl o dziecku długi czas odpowiadali zgodnie: jeszcze nie teraz. Najpierw powodem była niestabilna praca. Potem kawalerka, w której ledwo mieścili się we dwoje. Do tego chcieli nacieszyć się sobą po ślubie.

– Mieliliśmy mocno tradycyjne podejście, nie mieszkaliśmy razem przed ślubem – mówi Filip. – Znałem pary, które w takim modelu od razu po ślubie miały dziecko i miałem wrażenie,

że oni tak naprawdę w ogóle nie zdążyli się poznać. Nie chcieliśmy, żeby jedyną rzeczą spajającą nasze małżeństwo była wspólna opieka nad dzieckiem.

Niedawno poczuł, że życie wreszcie stało się dla nich przyjemne. Stała praca, większe mieszkanie, weekendowe wyjazdy na narty biegowe, pieczenie chleba na zakwasie, robienie domowego makaronu. – Miałem taki moment, że myślałem: kurczę, po co mi to teraz zmieniać? – wspomina. Zamiast rzemieślniczego makaronu miałby gotować kleiki.

Ale zarówno on jak i jego żona mieli coraz większe poczucie, że powoli dorastają do roli rodziców, a do tego słyszeli już, jak zegar biologiczny tykał. Argumenty „jeszcze nie teraz” zaczęły brzmieć dla nich samych coraz mniej przekonująco, a coraz bardziej jak wymówki.

– W końcu pomyślałem: „Dobra, już nie jest tak, że obiektywnie się nie da”. Teraz to bardziej kwestia odwagi niż warunków. No i zaczęliśmy się starać – opowiada Filip.

Lekarze powtarzali: dajcie sobie rok, zanim zaczniecie się diagnozować. Rok minął. Dziecka nadal nie było. Do gabinetu androloga szedł z przekonaniem, że to raczej formalność.

Kiedy dostał wyniki, to pomyślał, że to musi być błąd. Że coś źle zrobił, źle oddał próbkę nasienia, może pielęgniarka coś pomyliła.

– Wczytywałem się w liczby, które były na tej kartce. Jakies parametry, wartości, normy. Ale dopiero jak zjechałem wzrokiem na dół do tej ostatniej linijki, zobaczyłem słowo, którego wcześniej nigdy na oczy nie widziałem: „azoospermia” – relacjonuje Filip.

Wygooglował je od razu: „Brak plemników w ejakulacie”, „Brak możliwości naturalnego zapłodnienia”.

Według najnowszej symulacji GUS już za trzydzieści lat liczba mieszkańców Polski może spaść o jedną czwartą

Mówi: – Jakby w kilka sekund zmieniła się rzeczywistość – mówi. – Robiłem badanie z myślą, że to rutyna, wyjdę z informacją, że wszystko jest okej i próbujemy dalej. A okazało się, że... nie ma dalej. Przynajmniej w tym scenariuszu, który mieliśmy w głowie.

Najważniejsza była dla niego reakcja żony. – Strasznie się bałem, jak ona to przyjmie. Bo to był nasz wspólny plan na przyszłość, odkładany, ale jednak zawsze chcieliśmy mieć dzieci. A ona zareagowała z takim spokojem, że do dziś jestem jej za to niewiarygodnie wdzięczny. Powiedziała mi bardzo wprost: że to niczego nie zmienia w naszej relacji.

Planują adopcję.

Jajeczka zamrożone na zapas

Z Natalią, 40-letnią architektką spotykam się godzinę po jej wizycie u ginekologa w szpitalu na Karowej w Warszawie. Lekarka przejrzała badania, wytłumaczyła jej kolejne kroki na drodze leczenia niepłodności. Na końcu tej drogi jest cel: ciąża.

– Poczułam, że jeszcze mam jakieś szanse. Wyszedł z tego gabinetu, przytuliłam męża i poczułam nadzieję – mówi ze łzami w oczach.

Ginekolodzy już wcześniej doprowadzali ją do leż, ale rzadko były to lzy szczęścia. Dwa lata temu zapisała się do lekarza na USG. Prywatny gabinet na willowym osiedlu, starszy lekarz w białym kitlu. Na ekranie oglądał jej macicę i znużonym głosem skomentował: „Przećcież pani ma już prawie czterdzieści lat, nie ma co liczyć na cuda”.

Natalia: – Poczułam się jak jakaś zardzewiała maszyna, która spóźniła się na bycie matką. Jakbym usłyszała, że moja użyteczność właśnie się kończy. Chociaż znam sporo kobiet, które rodziły po 40-tce, to i tak ten jego komentarz mnie zabolął. Nieczuły, stary dziad.

Przez pół roku po tej wizycie nie miała siły nawet zadzwonić, żeby umówić się na kontro-

lę. – Jeśli chciał mnie w ten sposób popędzić, to osiągnął zupełnie odwrotny efekt – mówi.

Zawsze wiedziała, że chce mieć dzieci. Dostała w dużym, wielorodzinnym domu na północy Polski, przy granicy z Niemcami. Czternaście osób pod jednym dachem: na parterze babcia, wyżej ciotki i wujkowie z dziećmi, na drugim piętrze jej rodzice i brat.

– Widziałam narodziny co najmniej czwórki dzieci. Ciocie prosiły mnie czasem, żebym pilnowała kuzynów, bawiłam się z nimi. Trochę im matkowałam i zawsze myślałam, że kiedyś będę zajmować się swoimi dziećmi – mówi.

W pierwszej połowie swoich lat 20. skupiała się na studiach, w drugiej na pracy. W końcu przyszły 30. urodziny. Spędziła je na walizkach, między jednym a drugim wynajmowanym mieszkaniem. Zamykała właśnie za sobą burzliwy, kilkuletni związek i pierwszą dużą terapię, myślała wtedy: teraz to dopiero wszystko przede mną. W głowie miała prosty scenariusz.

– Wyobrażałam sobie, że jakoś w ciągu dwóch lat zbuduję dojrzałą relację i przed 35-tką spokojnie z tym dzieckiem zdążę – mówi Natalia. Minął rok, dwa, pięć, a kandydata na męża, a tym bardziej ojca nie było. Życie wypełniały jej pierwsze samodzielne projekty i randki. Z dzisiejszej perspektywy widzi, że wiele można było powiedzieć o jej relacjach, ale nie to, że były dojrzałe.

– Najdłuższa trwała może rok, a tak to po kilka miesięcy. Dużo wrażeń, skoków adrenaliny, dramatycznych rozstań i jeszcze bardziej dramatycznych powrotów. Tak wyglądało moje życie uczuciowe.

Marzenie o dziecku ciągle żyło w jej głowie, ale raczej jak sen albo kadr z filmu, a nie realny plan.

Trzydzieste piąte urodziny spędziła z przyjaciółmi. Świętowała, cieszyła się z ich towarzystwa, ale czuła jednocześnie coś niewygodnego.

– Zaczęła migać mi w głowie taka pomarańczowa lampka. Koleżanki wchodziły w relacje, zakładały rodziny. A ja? Znowu na jakimś zakręcie, znowu czekałam aż jakiś gość z aplikacji odpowie mi na wiadomość.

Wtedy rodzice zaproponowali jej nieoczekiwany prezent: zamrożenie komórek jajowych.

– Wiedzieli, że chcę mieć dzieci, ale widzieli też, że nie wychodzą mi związki – opowiada Natalia. W klinice leczenia niepłodności usłyszała, że dałoby się to zrobić. Chociaż nie jest to do końca zgodne z polskim prawem.

– Jeśli jesteś zdrowa i nie masz medycznych wskazań – np. nie planujesz leczenia niepłodności, nie masz choroby, która zagraża płodności, itd. – nie możesz legalnie zamrozić jajeczek na zapas – tłumaczy.

Lekarka mówiła półgłosem o możliwości naciągnięcia diagnozy, o drobnych lukach w systemie, który można omijać dla dobra pacjentki.

– W praktyce musiałabym kogoś poprosić o sfalszowanie dokumentów, żeby zabezpieczyć sobie przyszłość. Nie, dziękuję, nie lubię takich akcji – mówi.

Mężczyznę, który został jej mężem poznała dwa lata temu. O dziecku porozmawiali szybko: po miesiącu randkowania.

– Usiadł ze mną przy stole i powiedział: „Zakochałem się w Tobie. Chcę się z tobą spotykać. Pogadajmy od razu o ważnych rzeczach. Jeśli chodzi o dzieci, to w przyszłości pewnie chciałbym je mieć, ale nie wcześniej niż za jakieś dwa lata. A ty?” – relacjonuje Natalia.

Zamieszkali razem i do rozmowy wrócili po niecałych dwóch latach. Pierwszy raz w jej życiu, wizja dziecka stawała się czymś rzeczywistym. I wtedy zaczęła się bać.

– A co jeśli się nie uda? A jeśli dziecko zamieni naszą codzienność w jakąś udrękę? Dopiero co ułożyłam sobie fajne życie: praca, wyjazdy, wspólne wieczory. Czy ja chcę znowu wrzucać bombę do tego wszystkiego? – wyrzuca z siebie serię pytań, które wtedy kołatały w jej głowie.

Dali sobie pół roku. Bez decyzji, bez aplikacji do śledzenia dni płodnych. Mieli żyć tak jak dotychczas, pozwolić, żeby wizja dziecka ułożyła się im w głowach.

Ułożyła się. Dzisiaj robią wszystko, żeby zająć w ciążę. Przysnaje, że czasami wciąż łapią ją lęki. Jednego dnia potrafi przerazić ją to, że prowadząc jednoosobową działalność gospodarczą odprowadza niskie składki, co oznacza niskie dochody w czasie urlopu macierzyńskiego. Innego, że może ich starania nie skończy się powodzeniem. Może rzeczywiście jest za późno.

– Nie wiem, ile razy słyszałam od starszych osób, że „Nigdy nie ma idealnego momentu na dziecko. Gdyby ludzie czekali na niego, dzieci by się w ogóle nie rodziły” – mówi Natalia. – Trochę mi zajęło, ale chyba wreszcie zrozumiałam, że nie ma co dłużej czekać.

Boimy się starości

Katastrofa. Kryzys. Zapaść. To tylko kilka z mocnych określeń, które pojawiają się w dyskusji o demografii. Zapytałem socjolożki Katarzyny Krzywickiej-Zdunek, współtwórczyni strony socjologii.pl, czy rzeczywiście mamy powody do paniki.

– Oficjalny współczynnik dzietności to dziś około 1,099. Ale trzeba pamiętać, że GUS liczy go, biorąc pod uwagę również kobiety mieszkające za granicą. One są rezydentkami naszego kraju, ale ich dzieci rejestrowane są w kraju narodzin.

Eurostat ma inną metodę – wyliczając współczynnik dzietności bierze pod uwagę kobiety rezydujące w Polsce, bez Polek mieszkających zagranicą, ale za to imigrantki mieszkające w naszym kraju co najmniej rok. Przy takiej metodzie wyliczenia wskaźnik rośnie do około 1,2. Wciąż mało, ale to już nie wygląda jak demograficzna zapaść – tłumaczy Krzywicka-Zdunek.

Socjolożka zwraca uwagę również na to, że w Polsce jest po prostu coraz mniej kobiet w wieku rozrodczym: – Jeśli spojrzymy na piramidę demograficzną, widać, że kobiety 50–60-letnie tworzą „koronę drzewa”, a każdy młodszy rocznik jest coraz węższy. Z rezerwą podchodziłabym do tej tezy, że Polki nagle nie chcą mieć dzieci. Tych, które mogły te dzieci urodzić, jest zwyczajnie mniej.

Nie trzeba długo szukać, żeby znaleźć wypowiedzi, które jednak obwiniają Polki za niską dzietność.

– Cała ta wizja, że wszyscy młodzi wychowują psy i koty zamiast rodzić dzieci, to jest jakiś wielkomiejski mit. Faktem jest za to wzrost świadomej bezdzietności, ale dotyczy on zarówno kobiet, jak i par. Z niedawno przeprowadzonego przez nas badania wynika, że akceptacja dla różnych wyborów odnośnie dzieci jest duża: 88 procent Polek deklaruje, że każdy ma prawo zdecydować, czy chce mieć dzieci – mówi Krzywicka-Zdunek.

Straciłszy zainteresowanie rodziną? Kapitalizm po 1989 roku nie zachęca? Kościół katolicki, tradycyjnie prorodzinny, stracił na znaczeniu?

– Tak naprawdę obserwujemy zmianę społeczno-kulturową, która zaczęła się dużo wcześniej, niż nam się wydaje. Wcale nie w latach 90. – mówi socjolożka.

Ostatnio spędza czas na studiowaniu archiwów z lat 70., czyli epoki Gierka, i właśnie tam szukałaby źródeł zmian, których efekty obserwujemy dzisiaj. – Kobiety już wtedy pisały, że macierzyństwo jest trudniejsze, niż się spodziewały; że łączenie ról jest przerastające; że oczekiwania mężów są za duże. Brzmi znajomo, prawda? – uśmiecha się badaczka.

I zauważa jednocześnie, że wtedy łatwiej było o żłobki i przedszkola, nawet przyzakładowe.

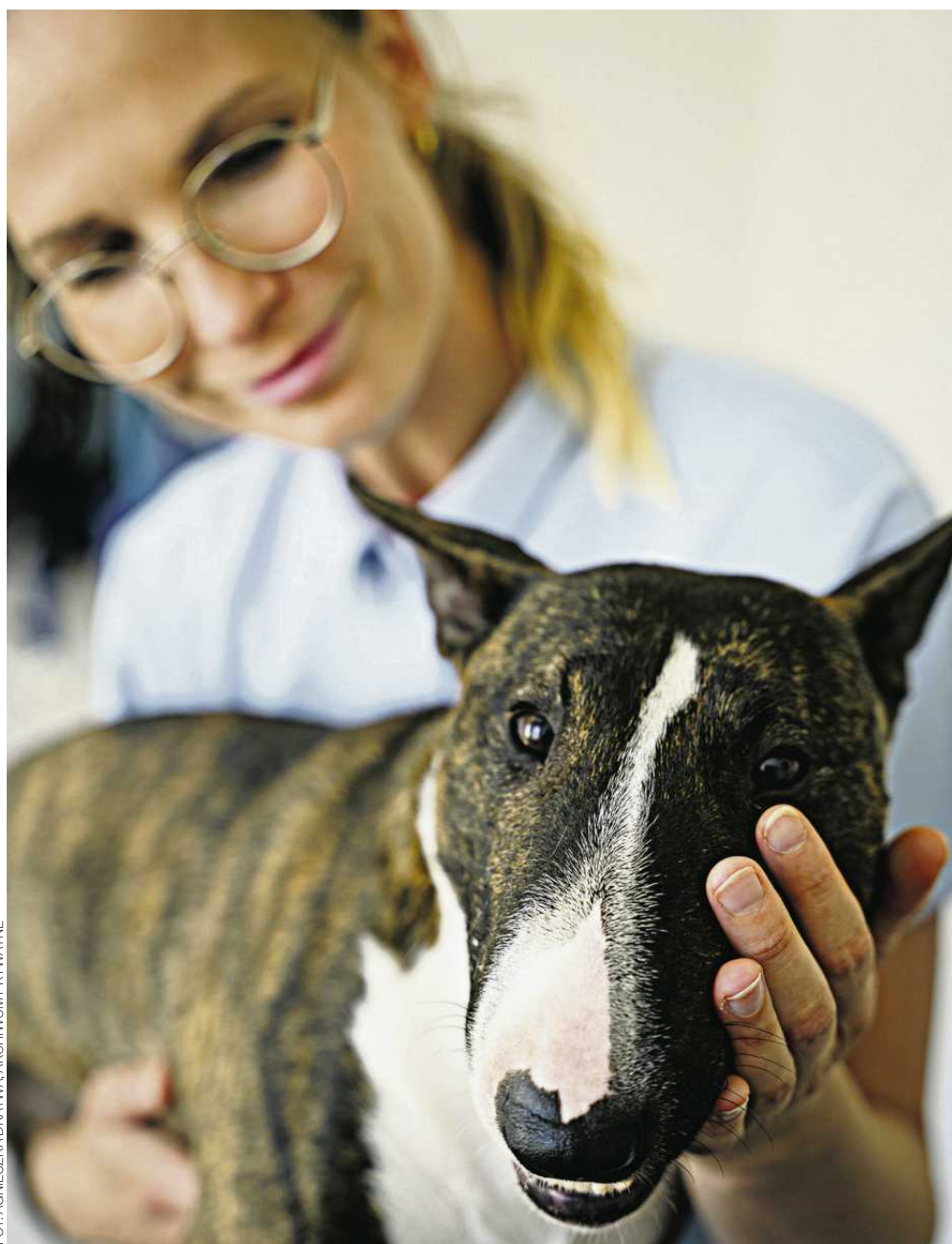
– Po transformacji te instytucje zniknęły, a presja zawodowa wzrosła. Dzisiejsze kobiety są bardziej wyemancypowane, ale presja, zarówno zewnętrzna i ta, którą same sobie nakładają, jest bardzo podobna.

Na koniec pytam, czego tak naprawdę boimy się w związku ze spadkiem dzietności.

– To nie jest lęk o „koniec ludzkości”, tylko lęk o system opieki, o funkcjonowanie państwa w przyszłości. Myślę, że można sprowadzić je do pytania: kto się nami zajmie, kiedy będziemy starzy. – odpowiada. ●

WETERYNARZE NA SKRAJU ZAŁAMANIA NERWOWEGO

Miałam męczące, powtarzające się, weterynaryjne sny: poczekalnia pełna pacjentów, jakieś zwierzę mi się wykrwawia, nie działa mi komputer.



• **Natalia Strokowska:** Pracuję jako kontraktowy lekarz w Szwecji. Dzielę obowiązki i dbam o swoje zasoby, aby ponownie się nie wypalić



• **Kacper Guzowski** prowadzi swój gabinet w miasteczku Łatowicz, 70 kilometrów od Warszawy. - Zajmuję się tu wszystkim – od chomików po konie.

Monika Redzisz

Wiele osób sądzi, że wypalenie zawodowe to domena starszych weterynarzy, tymczasem w naszym zawodzie wypalenie dotyka głównie młodych. Ambitni i pełni ideałów rzucamy się w wir pracy i błyskawicznie zderzamy się ze ścianą. Uświadamiamy sobie, że codziennie spotykać się będziemy z sytuacjami, kiedy mimo najlepszych chęci, oddania i kompetencji komuś nie pomożemy, kogoś nie zadowolimy i zostaniemy zmieszani z błotem. Niektórzy z nas w jakimś

stopniu się na to uodparniają, inni tego nie wytrzymują – mówi Bartosz Matyja, 33-letni lekarz weterynarii z Częstochowy.

– Ja poważny kryzys miałem po trzech latach pracy. Zastanawiałem się wtedy nad zmianą zawodu. Zważywszy na moją konstrukcję psychiczną, nie byłem pewny, czy wytrzymam. Wyszedłem z domu rodzinnego z przekonaniem, że muszę poświęcić siebie, żeby innym było dobrze, bo inaczej ktoś mnie osądzi, ktoś będzie mną zawiedziony.

Wracałem z pracy zestresowany, zastanawiając się, czy na pewno zrobiłem wszystko dobrze i czy jutro nie usłyszę czegoś nieprzyjemnego. Cierpiałem na zaburzenia snu, bruksizm, nadmierną potliwość, tiki nerwowe.

Co jakiś czas docierała do mnie informacja, że kolejna osoba ze środowiska popełniła samobójstwo. Ja sam regularnie miałem myśli

autodestrukcyjne. Nie chciałem już dalej żyć. Dałem radę dzięki farmakoterapii i psychoterapii. I w dużej mierze także dzięki niemu. – Wskazuje głową psa śpiącego na kanapie. – Adoptowałem psa. Czasem myślę, że gdyby nie on, już by mnie nie było.

Zatrważające wyniki badań

W styczniu 2019 roku amerykańskie CDC (Centers for Disease Control and Prevention) opublikowało pierwsze szeroko zakrojone badanie śmiertelności wśród weterynarzy w USA.

Prawdopodobieństwo popełnienia samobójstwa przez lekarzy weterynarii okazało się trzy i pół razy większe niż w populacji ogólnej; najbardziej narażeni są weterynarze specjalizujący się w leczeniu zwierząt domowych.

– Kiedy zaczęłam analizować literaturę światową na ten temat, byłam w szoku – mówi

dr hab Alicja Gałązka, psycholożka i psychoterapeutka, profesor Uniwersytetu Śląskiego, która od lat pracuje terapeutycznie z lekarzami weterynarii. – Wiedziałam, że obciążenie psychiczne w tym zawodzie jest ogromne, spotykałam na warsztatach młode lekarki w naprawdę fatalnym stanie psychicznym. Ale nie spodziewałam się, że jest aż tak źle.

W Polsce Krajowa Izba Lekarsko-Weterynaryjna opublikowała niedawno wyniki badania przeprowadzonego od kwietnia 2023 do lutego 2024 roku na grupie 783 weterynarzy. Są zatrważające. Aż 60 proc. badanych miało myśli samobójcze, w tym około 4 proc. podjęło próbę samobójczą.

55 proc. zna osoby, które odebrały sobie życie. 16 proc. w przeszłości próbowało się samokałeczyć, 2 proc. robi to obecnie. 25 proc. leczyło się lub leczy psychiatrycznie, 45 proc. ko-

rzystało z pomocy psychologa – najczęstsze diagnozy to stany depresyjne, lękowe i zaburzenia odżywiania. 40 proc. cierpi na zaburzenia snu. 66 proc. obserwuje u siebie syndrom wypalenia zawodowego, 70 proc. jest sfrustrowana swoim zawodem, 20 proc. „pracuje resztkami sił”.

– Dlaczego jest aż tak źle? – pytam.

– Przyczyn jest bardzo wiele – mówi dr Alicja Gałązka. – I bardzo trudno jednoznacznie określić, czy większą rolę odgrywają predyspozycje osobowe czy skumulowany spłot czynników zewnętrznych.

Od małego chciałam leczyć zwierzaki

A wszystko zaczyna się tak pięknie.

– Wszyscy wiedzieli, że nie ma dla mnie innej opcji niż weterynaria – opowiada Anna, stomatolożka z jednej większych klinik weterynaryjnych w kraju.

– Przygarniałam wszystko, co się dało. Przemycalam pod bluzką bezdomne koty; rodzice dopiero w nocy się orientowali, że coś miauczy w moim pokoju. Pół lodówki wynosiłam, żeby dokarmiać szczenięta. Jako nastolatka pasjami oglądałam dokumenty na Animal Planet o klinikach weterynaryjnych w Anglii.

Pochodzę z niewielkiego miasta, gdzie w latach 90., czyli w czasach, kiedy byłam dzieckiem, wciąż pobrzmiwały echa poprzedniej epoki: pies miał pilnować domu i nikt się specjalnie nie skupiał na jego leczeniu. W końcu doczekałam się własnego psa, ale żył tylko siedem miesięcy. Minęło 20 lat, a ja dalej nie wiem, dlaczego umarł. Nikt nie zaproponował moim rodzicom szerszej diagnostyki, możliwości zrobienia sekcji. Postanowiłam, że jak dorosnę, będę leczyć zwierzęta i walczyć o to, by nie były leczone w ciemno.

– Od małego chciałam leczyć zwierzaki. Ledwo nauczyłam się pisać, a już diagnozowałam „zapalenie buca” u kota. Chodziło mi o płuco – mówi Marta Folmer, właścicielka przychodni Lovet w Gliwicach. – Miałam przemocową matkę, a te zwierzaki były moją ucieczką, moim azylem. Wiedziałam, że ze strony zwierząt nie mam się czego obawiać.

– Tak, ja też poszłam na weterynarię z wielkiej miłości do zwierząt. Zupełnie nie wiedziałam, na co się piszę – mówi Zuzanna Luniewska. – Dla większości z nas studia były jak zimny prysznic. Uczyliśmy się non stop, a i tak oblewaliśmy kolokwia czy egzaminy. Z każdym rokiem czułam, że wiem coraz mniej i że ta wiedza w żaden sposób się ze sobą nie łączy.

– Pierwszy rok był olbrzymim zderzeniem z rzeczywistością – opowiada dr Natalia Strokowska. – Tempo nauki było olbrzymie, a musiałam dodatkowo pracować, żeby się utrzymać. Najgorszy był przewlekły stres, chroniczne zmęczenie i niedosypianie. Byliśmy też w przykry sposób traktowani przez profesorów. Nie przez wszystkich, ale wystarczą dwie, trzy toksyczne osoby, żeby młody człowiek się załamał. Tym bardziej że weterynarię wybierają często wrażliwcy z misją ratowania świata.

Na pierwszym roku wystartowałam w konkursie Miss SGGW, co przysporzyło mi problemów na lata. Profesorowie sugerowali mi, że powinnam się zastanowić, czy nie wolę chodzić po wybiegu. Jeszcze 15 lat później, kiedy miałam już tytuł specjalisty i kończyłam doktorat, słyszałam, jak ktoś z nich czasem mówi pod nosem: „O, modeleczka przyszła”.

Na trzecim roku miałam kliniczny epizod depresji. Trafiałam do psychiatry i dostałam leki – w porę poprosiłam o pomoc. Tylko połowa z nas dotrwała do końca studiów. Wielu kończyło je już z czymś na kształt wypalenia zawodowego. Część nie zdecydowała się na pracę w zawodzie.

Jak pobrać krew kotu?

Jak opowiada lekarz weterynarii Kacper Wochowski, uniwersyteckie podejście i program studiów stawiają przede wszystkim na wiedzę teoretyczną o wielu gatunkach, a w mniejszym stopniu – na przekazywanie umiejętności praktycznych. Mimo że większość studentów wiąże swoją przyszłość z le-



• **Marta Folmer: Marząc w dzieciństwie o weterynarii, nie pomyślałam o naprawę fundamentalnej sprawie - że te zwierzaki mają opiekunów**

czeniu psów, kotów i małych ssaków, zajęć przygotowujących do pracy w miejskiej lecznicy jest jego zdaniem zdecydowanie za mało.

– Kiedy zacząłem pracę, oczekiwano ode mnie umiejętności praktycznych, których na studiach nas w ogóle nie uczono – opowiada Bartosz Matyja. – Na przykład: jak pobrać krew kotu? To potrafi być wyzwaniem. Jeden kot musi być trzymany na rękach właściciela, drugi przez kogoś obcego, trzeci musi być zawinięty w koc, czwarty mieć tylko głowę pod kocykiem, a piąty – założony kaganiec.

Dzisiaj, po ośmiu latach pracy, wiem, jak przytrzymać zwierzę i o co poprosić jego właściciela. Na studiach żądano od nas przygotowania teoretycznego, ale nawet stuprocentowe przygotowanie teoretyczne nie gwarantuje dobrej praktyki ani dobrej komunikacji z klientem. Bo nie każdy klient chce lekarza, który wie wszystko; niektórzy chcą lekarza, który zrobi to, co mu każą.

Miałem na szczęście oparcie w starszych koleżankach i mogłem je poprosić o pomoc. Ale to pompowało we mnie syndrom oszusta, a brak pewności siebie powodował, że klienci we mnie wątpili. Długo miałem poczucie że nady, kiedy ktoś zwracał się do mnie per „panie doktorze”.

Po dwóch latach zmienił pracę, trafił do małego gabinetu w Warszawie.

– Najpierw zostałem namówiony do założenia jednoosobowej działalności gospodarczej. W zamian miałem dostać wyższe wynagrodzenie niż przy umowie o pracę, ostatecznie było niższe. Początkowo byłem tam jedynym lekarzem oprócz właścicielki, ale więcej do powiedzenia miała recepcjonistka – jej bliska znajoma, która wobec klientów zachowywała się rasistowsko, homofobicznie, a wobec pacjentów, z dała od oczu ich opiekunów – czasem wręcz sadystycznie. Zgłaszałem to kierownicze, ale szybko zostałem sprowadzony do parteru, że albo się z tym pogodzę, albo mogę zmienić pracę. Odtąd ja także musiałem znosić bardzo nieprzyjemne zachowania z jej strony.

Praca w weekendy i w święta

– Na studiach spotkałam ludzi takich jak ja – którzy świata nie widzą poza leczeniem zwierząt i chcą być najlepsimi. Profesorowie powtarzali nam, że co najmniej połowa z nas odpadnie, więc zaczął się wyścig. Uczyliśmy się po nocach, do upadłego – opowiada Anna. Po IV roku pojechała w czasie wakacji na praktyki do Warszawy, do jednej z większych całodobowych klinik w Polsce. To okazało się przepustką do jej kariery.

– Tomograf, rezonans, skomplikowane operacje na rdzeniu kręgowym. Nie chciałam stamtąd wychodzić – opowiada. – Nie chciałam iść spać, żeby nie ominął mnie jakiś cieka-

wy przypadek. Do tego dałam się poznać jako ta, która nie boi się przytrzymać dzikiego kota czy agresywnego psa. Czułam, że mam to we krwi. Zostałam więc zauważona.

Zaproponowano jej, żeby po studiach wróciła do nich na staż absolwencki, a po stażu poleceno ją w kilku warszawskich klinikach.

– Krążyłam od jednej kliniki do drugiej. Dojazdy zajmowały mi po kilka godzin dziennie, nie miałam czasu na jedzenie ani na odpoczynek, ale nie czułam tego. Byłam na jakimś turbodoladowaniu. Wiedziałam, że te pierwsze lata po studiach są dla lekarza najistotniejsze, chciałam zdobyć jak najwięcej doświadczenia.

Po trzech latach dostała propozycję pracy w znanej klinice, ale w innym mieście. Jej szef, znany lekarz, zapewniał ją, że będzie miała wysoką pensję, dobry sprzęt i każde szkolenie, jakiego zechce. Przyjęła propozycję. Zbudowała własny zespół. Sprowadzała sprzęt. Wyjeżdżała na specjalistyczne szkolenia za granicę.

– Pracowałam w weekendy i w święta, w Sylwestra i podczas majówki. „Czy kiedykolwiek będziemy mieć święta bez twojego dyżuru?” – pytał mnie mąż. Nawet podczas urlopu nie potrafiłam się wyłączyć, bo ciągle myślałam o pacjentach albo ktoś dzwonił z lekarzy z kliniki, by się poradzić. Czułam, że w głowie mam jeden wielki kołowrotek. No i mijały lata, a ja nie mogłam zająć w ciąży.

Weterynaryjne sny

Raport Krajowej Izby Weterynaryjnej jako pierwszą przyczynę złej kondycji psychicznej lekarzy wymienia przeciążenie pracą. 82 proc. lekarzy twierdzi, że działa pod dużą presją czasu, 66 proc. – że pracuje za dużo, 57 proc. – że nie ma równowagi pomiędzy pracą a życiem prywatnym. 82 proc. zaniedbuje posiłki, 80 proc. – aktywność fizyczną, 79 proc. – swoje zainteresowania, 76 proc. – relacje z przyjaciółmi, 59 proc. – kontakt z rodziną, 18 proc. – nawet higienę osobistą.

Do tego 68 proc. uważa, że ich wynagrodzenie nie jest adekwatne do nakładu pracy.

Wynagrodzenia oczywiście się różnią w zależności od miejsca pracy i specjalizacji, ale wielu lekarzy musi pracować od rana do nocy, żeby na B2B związać koniec z końcem.

Marząc w dzieciństwie o weterynarii, nie pomyślałam o naprawę fundamentalnej sprawie: że te zwierzaki mają opiekunów

Najlepiej zarabiają specjaliści. Chirurgia, okulistyka, stomatologia, ortopedia, neurochirurgia są najbardziej dochodowe. Daleko im jeszcze do zarobków lekarzy medycyny, ale nie jest już tak źle jak jeszcze kilka lat temu. W 2015 roku młody lekarz na stażu zarabiał tylko 800-900 zł miesięcznie, wiele osób wyjeżdżało więc zaraz po studiach na kontrakty za granicę.

Zuzanna Luniewska razem z mężem, też świeżo upieczonym lekarzem weterynarii, dostali pracę w małym miasteczku w południowej Anglii. Po roku przenieśli się na staż do jednego z wiodących szpitali referencyjnych w Wielkiej Brytanii, gdzie odsyłano bardziej skomplikowane przypadki z okolicy. Chcieli się uczyć od najlepszych.

– Najgorsze było tempo pracy – mówi Zuzanna. – W ciągu 10 godzin przyjmowaliśmy 30 pacjentów – na każdą wizytę mieliśmy maksymalnie 15 minut. Żeby się jakoś przygotować, specjalnie przychodziłam wcześniej i czytałam karty zapisanych pacjentów. A kiedy przyjeżdżał jakiś nagły przypadek albo któryś z lekarzy nie pojawił się w pracy, to było już czyste szaleństwo. Taki system pracy nas wykończył.

Zdecydowaliśmy się więc na pracę na krótkie kontrakty: trzy miesiące intensywnej pracy w Anglii, miesiąc odpoczynku w Polsce.

W tym trybie funkcjonowaliśmy przez siedem lat, ale z roku na rok coraz trudniej to znosił. Zaczęły się problemy zdrowotne: bóle brzucha, problemy z jedzeniem i ze snem.

Miałam męczące, powtarzające się, weterynaryjne sny: poczekalnia pełna pacjentów, jakieś zwierzę mi się wykrwawia, nie działa mi komputer, chodzę po klinice i nikogo nie poznaję. Zupełnie już nie czułam radości z tej pracy.

Pół emerytury za leczenie kota

Kiedyś liczyła się głównie weterynaria zwierząt gospodarczych. W zawodzie dominowali mężczyźni. Ponieważ jednak w ciągu ostatnich lat diametralnie zmienił się nasz stosunek do zwierząt towarzyszących, zmieniła się także weterynaria. Mamy dziś w Polsce 6 milionów kotów i 7 milionów psów domowych.

Traktujemy je niemal jak swoje dzieci i jesteśmy skłonni słono zapłacić, żeby o nie odpowiednio dbać. Weterynaria rozwija się więc w zawrotnym tempie. W zawodzie jest coraz więcej kobiet. W 2019 roku wśród 19 tysięcy lekarzy weterynarii z aktywnym prawem wykonywania zawodu było już ich 52 proc. Dziś jest ich jeszcze więcej, bo kolejne roczniki na studiach zdominowane są przez dziewczyny. Stanowią co roku 80 proc. absolwentów weterynarii, przeważają też już wśród młodych doktorów czy adiunktów. Brakuje ich już tylko na samej górze – w Krajowej Izbie Lekarsko-Weterynaryjnej na 30 członków jest tylko 5 kobiet.

– Zabiegi w naszej klinice są kosztowne, a nasi klienci mają bardzo duże wymagania – opowiada Anna. – Jeśli zapłacili za operację 5 tysięcy, to oczekują, że musi się udać. A my niestety nie możemy dać nikomu gwarancji, że operacja pójdzie zgodnie z planem i że nie będzie powikłań. To medycyna. Zawsze jest ryzyko i mam obowiązek poinformować o tym opiekuna przed zabiegiem.

Wtedy czynią ją się rozmowy. Że to jest jego dziecko i musi żyć. Że jeśli zwierzę nie przeżyje, to sobie coś zrobią. Opiekunowie, kiedy się dowiadują, że ich zwierzę jest nieuleczalnie chore, są zdruzgotani. Zanoszą się płaczem. Zdarza się, że mdleją. Mamy totalny rollercoaster emocjonalny w tym zawodzie...

W klinice spotykam zwykłe ludzi, dla których pieniądze nie stanowią problemu, ale pracowałam również kiedyś w małym gabinecie weterynaryjnym. Pamiętam starszą panią, która oddawała chyba pół swojej emerytury za leczenie przewlekłego chorego kota. Traktowaliśmy ją ulgowo, płaciła tylko za leki.

Ja wiem, co oni czują, też mam swoje zwierzaki. Ale opieka nad tym zrozpaczonym człowiekiem jest dla nas ogromnym obciążeniem. Nie mamy żadnego przeszkolenia psychologicznego na studiach, nie wiemy, jak poradzić

sobie z ciężarem jego emocji. Naszym pacjentem jest przecież zwierzę, ale okazuje się, że w pakiecie jest i jego opiekun, którym trzeba się zająć.

– Opiekunowie są czasem przewrażliwieni na punkcie swoich zwierząt – uważa Zuzanna. – Często rasy miniaturowe, takie jak np. chihuahua, trzymane na kolanach, sklejone ze swoim właścicielem, nie dają się dotknąć – od razu warczą i gryzą.

Zdrowy pies powinien o własnych siłach stać, chodzić i przede wszystkim mieć kontakt z innymi psami. A ich właściciele często biorą je na ręce, jak tylko widzą większego psa na horyzoncie. Zabierają im pewność siebie. Bałam kiedyś wyjątkowo spokojną chihuahua i byłam zdziwiona, bo mogłam z nią zrobić dosłownie wszystko. Okazało się, że wychowuje się z labradorem i biega z nim po łąkach. Jest traktowana jak pies, a nie jak przytulanka.

Felczer! Konował! Kto ci dał dyplom?

Według raportu 79 proc. lekarzy czuje, że klienci przekraczają ich granice, a 70 proc. zeknęło się z ich roszczeniowością.

– Marząc w dzieciństwie o weterynarii, nie pomyślałam o naprawdę fundamentalnej sprawie: że te zwierzaki mają opiekunów – mówi Marta Folmer.

– Wystarczy 10 minut opóźnienia i już w poczekalni jest zamieszanie. „Ile można czekać!” – krzyczą i walą w drzwi. Ja dla każdego pacjenta mam 30 minut, ale zwierzę nie zawsze współpracuje. Czasem się okazuje, że to, z czym przyszedł, to wierzchołek góry lodowej. Nie wyrzucam go z gabinetu, staram się go jak najlepiej zbadać. Naprawdę są takie dni, że nie mam czasu skorzystać z toalety, o jedzeniu już nie wspominając.

Ludzie nie żalują złych słów, a rzadko kiedy dzielą się dobrem. Przyjeżdżam czasem do pacjentów w niedzielę i nie pobieram dodatko-

wych opłat. Rzadko słyszę: „Dziękuję!”. Oczywiście, mam też panią, która raz w roku regularnie przynosi mi kwiaty w dniu, w którym uratowałam życie jej suczki. Ale więcej jest takich, którzy walą pięścią, że oni chcą tu i teraz, bo jak nie, to pożałuję. Raz, kiedy psa nie udało mi się uratować, usłyszałam od opiekuna: „Jak on nie ożyje, to ja panią zabiję!”.

– Potrafią być bardzo nieprzyjemni – twierdzi Bartosz. – Moja znajoma Joanna Gontarz została przez klienta pobita. Mnie wielokrotnie zdarzały się sytuacje, że klienci krzyczeli, machali rękami; byli o krok od rękoczynów.

Kobiety zazwyczaj grożą złymi opiniami. Potrafią powiedzieć wprost, że wystawią mi opinię nieprawdziwą. Zdarzało mi się, że klientka splunęła na moje buty. Dlaczego? Bo odmówiłam tego, czego żądała. To moją rolą jest wybranie odpowiedniej diagnostyki i leczenia, a oni naczytają się w internecie i uważają, że wiedzą lepiej.

Sztandarowy przykład to klient, który domaga się antybiotyku dla psa, bo kaszle. Z kilkunastu możliwych przyczyn kaszlu zaledwie jedna, infekcyjna, kwalifikuje się do leczenia antybiotykiem. „Felczer! Konował! Kto panu dał dyplom? Chyba w chipsach go pan znalazł!” – krzyczą.

Od chomików po konie

Równolegle wciąż są inni opiekunowie. Kacper Guzowski prowadzi swój gabinet w miasteczku Latowicz, 70 kilometrów od Warszawy. Tu lekarz traktowany jest z większym szacunkiem, ale za to częściej zdarzają się zaniedbane zwierzęta.

– Jak przyjdzie ktoś z takim Burkiem, któremu w ranach zaległy się już muchy, mam ochotę zgłosić go na policję i oskarżyć o znęcanie się. Ale zawsze się zastanawiam, czy to było intencjonalne. Mentalność na wsi jeszcze niedawno była taka, że pies miał być przy bu-

dzie. Więcej praw miała krowa, bo z niej były pieniądze – mówi. – Tak zaniedbane zwierzę wymaga zwykle dłuższego leczenia, a na to często ludzie po prostu nie stać. Wtedy robię, co mogę: ograniczam liczbę wizyt do minimum, stosuję tańsze leki, rezygnuję ze swojej marzy lub ją obniżam. Czasem proponuję też eutanazję. Bo co mam zrobić?

Dzwonię po fundacjach, żeby go przejęły, ale najczęściej same nie mają środków. Jeśli zwierzę cierpi, można to podciągnąć pod skrócenie cierpienia.

Gorzej, kiedy ktoś przychodzi ze zdrowym psem i prosi, żeby go uspić, twierdząc, że jest agresywny wobec dzieci. To taki wytrych, bo agresja wobec ludzi jest jednym z trzech powodów, dla których można w Polsce przeprowadzić eutanazję.

Ale i tak widzę ogromną zmianę. Zaczynając tu pracę, myślałem, że będę zajmował się tylko zwierzętami gospodarskimi, bo w tym się specjalizuję, a okazało się, że także na wsi ludzie zaczęli dbać o swoje psy. I nie są to już tylko kundelki podwórkowe, jest dużo rasowych.

Zajmuję się więc tu wszystkim – od chomików po konie. A to dwa zupełnie różne podejścia. W weterynarii małych zwierząt leczymy konkretnego pacjenta; przy dużych zwierzętach leczymy stado. Bo w stadzie jest jak w przedszkolu – jak jedna krowa złapie jakąś chorobę, to zaraz mają ją wszystkie.

Na wsi brakuje weterynarzy. Nikt dziś nie chce pracować ze zwierzętami gospodarskimi mimo lepszych pieniędzy. Chciałem zatrudnić chirurga, żeby przyjeżdżał chociaż raz w tygodniu. Zero odzewu. To też sprawia, że czuję dużą presję; cały czas mam z tyłu głowy, że nie mogę niczego spartolić, bo temu zwierzęciu nikt inny w okolicy nie pomoże, a moi klienci niejednokrotnie mają problem, żeby zawieźć psa 20 km dalej, do Mińska Mazowieckiego.

Weterynarz ma pracować za darmo

– Bardzo daleko posunięty jest ostracyzm społeczny wobec lekarzy weterynarii, którzy chcą godziwie zarabiać – skarży się Bartosz. – Patrzy się na nas jak na osoby, które z miłości do zwierząt mają obowiązek poświęcić wszystko. A przecież my też musimy płacić rachunki, a dodatkowo gigantyczne pieniądze za szkolenia, bo mamy przecież obowiązek doskonalenia zawodowego.

– Ja w tej chwili jestem na dwóch specjalizacjach – opowiada Marta. – Jeden semestr gastroenterologii kosztuje mnie 16 tysięcy, a specjalizacja trwa dwa lata. Semestr specjalizacji z nefrologii to 7 tysięcy. Staram się też jeździć na różne szkolenia zagraniczne – pięciodniowy kurs w popularnej europejskiej szkole weterynaryjnej kosztuje mnie około 15 tysięcy.

Do tego dochodzą koszty sprzętu. Nowoczesna diagnostyka to ogromne pieniądze.

– USG kosztowało nas 290 tysięcy. Endoskop – 400 – wylicza Marta. – Przychodnia na to wszystko musi zarobić. Siłą rzeczy wizyta u mnie jest droższa niż u doktora, który ma mały gabinet przy domu, więc nie musi płacić nawet czynszu, i daje trzy zastrzyki w ciemno, bo zawsze któryś pomoże. Kastracja suczki u nas potrafi kosztować 800-900 zł, a gdzie indziej 350. Efekt jest taki sam, ale co się dzieje w międzyczasie, gdy opiekun nie patrzy? On widzi tylko kwotę końcową na paragonie.

Kiedyś dostałam pracę u doktora, o którym ludzie pisali: „Aniol! Tak mało bierze!”. Rzeczywiście było tanio. Ale szybko zrozumiałam dlaczego. Oszczędzał na wszystkim. Po godzinie 20, kiedy zamykano drzwi i spuszczano rolety w oknach, musiałam myć jednorazowe pojemniki do badania kału, igłą wygrzebywałam resztki!

Wszystko musiało być na szybko. Zdarzało się, że w tym samym pomieszczeniu trwała wizyta szczeniaczka i eutanazja starego psa. Nie

W SOBOTĘ W „WYBORCZEJ”

TOMASZ SYGUT, SZEF TVP

TVP przestała być obciachowa

LEA YPI

Unia Europejska zamieniła się w autoteliczną biurokrację

SPECJALNY DODATEK MAGAZYNU KSIĄŻKI

- Dlaczego elity bratają się z ludem?
- A co, jeśli naprawdę nikt cię nie lubi?

WYSOKIE OBCASY

50 ŚMIAŁYCH 2025 ROKU



Wydanie
sobotnie „Wyborczej”
możesz kupić

OD SOBOTY
DO CZWARTKU!

Szukaj w punkcie
sprzedaży prasy.

zapomnę pierwszej eutanazji w tym gabinecie. To był potężny dog niemiecki. Tłumaczyłam opiekunce, jak to będzie, kiedy wszedł doktor. „Co tak długo? Dlaczego ten pies jeszcze nie jest uspiony?” – zapytał i podał mu lek usypiający bez zakładania wenflonu, wkluwając się igłą do żyły brzeżnej ucha. Pies mu się wyszarpał, więc dostał tylko część leku. Jeszcze oddychał, kiedy pakowano go do worka...

– Klienci w Polsce skarżą się, że usługi weterynaryjne są drogie, ale będą jeszcze droższe – mówi Natalia. – W Szwecji większość lecznic jest w rękach korporacji, które podnoszą ceny. Nie przekłada się to jednak na pensje lekarzy i pielęgniarzek, tylko zarządu i menedżerów.

Są badania wskazujące na to, że stabilizacja cen jest tym większa, im więcej praktyk pozostaje w rękach prywatnych. U nas ten proces jest w trakcie – korporacje właśnie wykupują praktyki. Opiekunowie nie podolają finansowo bez ubezpieczeń dla zwierząt, tak rozwiniętych jak w Wielkiej Brytanii czy Szwecji. Ich sumy i tak już powoli przestają wystarczać, gdy zwierzę wymaga specjalistycznego leczenia lub musi być dłużej hospitalizowane.

W totalnej ciszy słyszałam telefon

Anna: – Kiedy przyszła pandemia, zaczęły się cięcia. Byłam zatrudniona na B2B. Zabrali nam stawki godzinowe, został tylko procent od pacjenta. Wcześniej przyjeżdżali do nas ludzie z całej Polski, teraz przestali. Odwoływali zabiegi. Opiekunowie przychodzili ze zwierzakiem do weterynarza tylko w ostateczności.

A ja miałam już kredyt na dom i leasing na samochód. Straciłam poczucie bezpieczeństwa. Zaczęły mi się silne bóle brzucha przed wyjściem do pracy, bóle i zawroty głowy. Zdecydowanie gorzej zaczęłam znosić stresujące sytuacje; nawet zwykła rozmowa z opiekunem wydawała mi się wyzwaniem. W klinice każdy był w podobnym stanie, więc wszyscy na siebie warczeliśmy, zamiast się wspierać. Potem pojawiły się stany lękowe. Ręce mi się wciąż trzęsły. W totalnej ciszy słyszałam telefon służbowy.

Mimo to odwlekałam wizytę u psychiatry i psychologa; w moim zawodzie rzadko sięgamy po pomoc. Po co mamy ludzkiemu lekarzowi opowiadać o naszych problemach? I tak nie zrozumie. Przecież to tylko leczenie zwierzątek.

W 2022 roku pandemia przygasła. Niby powinno być stabilniej, a ze mną było coraz gorzej. Ktoś wystawił mi opinię, że jestem „najgorszym weterynarzem na świecie”, bo nie udało mi się uratować jego zwierzaka. Chwilę potem uczestniczyłam w drogim i skomplikowanym zabiegu. Pojawiły się komplikacje. Zwierzę przeżyło, ale ja się rozsypałam.

Wylądowałam u psychiatry, dostałam leki i trzy miesiące zwolnienia. Prawie nie wstawiałam z łóżka. Plakałam non stop. Wiedziałam, że już nie wrócę do tej pracy i był to dla mnie koniec świata. Nigdy przecież nie miałam innego planu na życie.

Moja pierwsza eutanazja

83 proc. badanych lekarzy wskazało, że ma dostęp do leków używanych do znieczulenia i eutanazji zwierząt, które mogą być również wykorzystane przez człowieka do popełnienia samobójstwa; 65 proc. – że taki dostęp jest łatwy. Blisko 25 proc. brało to pod uwagę.

– Każdy lekarz zna ich działanie, widział efekty ich użycia i w pewien sposób oswoił się ze śmiercią – mówi Kacper Wochowski. – Umieranie staje się dobrze znaną, technicznie osiągalną procedurą. Trzeba jedynie zmniejsić dawkę.

– Myślę, że każdemu z nas w momencie kryzysu wybrzmiewa w głowie to zdanie, które używamy tak często w pracy: „On już nie cierpi” – mówimy. „Już go nie boli”. Tak wiele razy obserwowaliśmy, jak nasi pacjenci po prostu „zasypiają”. Dlaczego nie posunąć się do tej tak dobrze znanej metody, kiedy nas dopada wypalenie, depresja, hejt, gdy nie widać sensu życia? – mówi Anna. – Sądzę, że dostęp do leków do eutanazji i to „oswojenie ze śmiercią” spr-

wiają, że w momencie załamania wielu z nas posuwa się do ostatecznego kroku szybciej niż w innych zawodach.

Czy można oswoić się ze śmiercią? 95 proc. badanych lekarzy twierdzi, że czuje stres moralny z powodu wykonywania eutanazji. 90 proc. doświadczyło presji, by uśmiercić zwierzę bez obiektywnych wskazań medycznych, a 70 proc. nie może sobie z tym poradzić emocjonalnie.

Anna: – Rozmowy o eutanazji są najtrudniejsze. „Czy to już ten moment?” – pytają mnie klienci. A ja mam ciągle dylematy w głowie. Bo to nie jest zero-jedynkowe.

Zuzanna: – Niektórzy opiekunowie chcą za wszelką cenę przedłużyć życie. Zrobią każdą operację, radioterapię, chemioterapię. Inni mówią: „Nie, absolutnie mu tego nie zrobię. Nie chcę go męczyć”.

Nie zapomnę mojej pierwszej eutanazji. To był bardzo stary, schorowany golden retriever. Cała rodzina się zebrała, żeby go pożegnać. Patrzyli mi na ręce i płakali, a biednemu psu przy wkłuciu i próbie założenia wenflonu pękały po kolei wszystkie żyły. To trwało bardzo długo i było koszmarnie stresujące.

Marta: – Dla mnie to też bardzo trudne. Wielokrotnie płacząc razem z opiekunem. Ale ekstremalna rozpacz zdarza się w gabinecie rzadko. Najczęściej obserwuję takie spowolnienie emocji – człowiek jak gdyby pauzuje, zawiesza się, lzy płyną wolniej, szlochanie trochę ustaje. Pochyliamy się razem nad tym zwierzęciem. To jest taki moment, kiedy awantury w poczekalni przestają mnie obchodzić.

Opinia na Google'u: Jestem morderczynią

Marta: – Wtedy, w listopadzie 2021 roku, wszystko się tak nawarstwilo. Poniedziałek, 9 rano. Przyszła pani, która przyjeżdżała do mnie ze swoim psem od lat. Byli zapisani na 12, ale chciała, żebyśmy przyjęli ich natychmiast, bo pies od piątku wymiotował. Wyjaśniłam jej, że mamy innych pacjentów, a nie jest to stan nagły. Poprosiłam, żeby poczekali do 12.

Mamy dziś w Polsce 6 milionów kotów i 7 milionów psów domowych

Obrazila się i wyszła. Nie pojawiła się na wizycie i nie odbierała od nas telefonu. Po jakimś czasie na Google'u pojawiła się opinia: „Dr Folmer nie przyjęła psa w stanie nagłym, który umierał, bo miał guza w brzuchu”. To było dla mnie bardzo bolesne. Nie mam szklanej kuli, żeby widzieć wszystko. Pies stał na własnych nogach i machał ogonem. To była decyzja właścicielki, że nie poczekała tych 3 godzin, ale to na mnie przeleża żal, że zabiłam jej zwierzę.

Nie minęło kilka dni i przyszła niezapisana pani z pieszkiem, który nie umiał zrobić kupki. Koleżanka ją przyjęła, zrobiła USG, badania krwi i RTG kręgosłupa. Była tam zmieniający rodniowie, więc zapisała leki przeciwbólowe i umówiła go za cztery dni na kontrolę. Przed wizytą pani zadzwoniła, że nie przyjdą, bo pies przestał chodzić i czekają na tomografię w innej przychodni.

Nie minął tydzień, jak pojawiła się opinia, że przegapiłyśmy guza na pół ciała i skazałyśmy psa na cierpienie. Okazało się, że pies miał nowotwór rdzenia kręgowego. Nie był widoczny i nie dało się go wymacać! Zdiagnozowano go tylko i wyłącznie dzięki tomografii. U nas pies jeszcze normalnie chodził, miał tylko problem z wypróżnieniem.

Naprawdę wkładałam całe serce w swoją pracę, a jak tylko gdzieś się potknę, od razu wylewa się na mnie fala jadu i niechęci. Czulałam ogromną bezsilność. Odezwały się stare traumy. W głowie dzwięczały mi słowa mamy,

że jestem do niczego, że nie powinno mnie być na tym świecie.

Dostępność tabletek była dla mnie w tamtym momencie tak kusząca...

Zaczęłam pisać list pożegnalny, żebyśmy byli dla siebie lepsi. Pisałam, płakałam i przyjmowałam kolejne tabletki. Kiedy mąż wrócił z pracy, byłam już nieprzytomna.

Zetki zmieniają ten zawód

– Znałam osobiście dziewięć osób, które odebrało sobie życie. Wszystkie cierpiały na depresję lub chorobę afektywną dwubiegunową i przechodziły poważny kryzys związany z życiem prywatnym, który był bezpośrednią tego przyczyną.

Znane są pojedyncze przypadki na świecie, kiedy triggerem faktycznie był hejt internetowy, ale zwykle jest nim co innego, nie opiekunowie. Ja też miałam trudne interakcje, ale uważam, że człowiek ze wsparciem rodziny, przyjaciół, psychoterapeuty, hobby, zdrowy, wysypiający się, dobrze odżywiający się z takimi kryzysami sobie poradzi. Lekarz chory, który zaniedbuje swoje potrzeby, nie da rady – uważa Natalia Strokowska.

„Do czynników, które potęgują ryzyko popełnienia samobójstwa, z pewnością należą predyspozycje osobowościowe. Wśród lekarzy, w tym lekarzy weterynarii, często mamy do czynienia z osobowością anankastyczną i paranoiczną. Osobowość anankastyczną cechuje dążenie do perfekcji. Główne dysfunkcje dotyczą stylu działania – nadmierne oddanie się pracy i produktywności, brak delegowania zadań na innych. (...) Z kolei osoby z paranoicznym zaburzeniem osobowości (...) w zwyczajnych uwagach doszukują się ukrytych znaczeń i intencji” – pisze prof. Agnieszka Gałązka w „Magazynie Weterynaryjnym”. I dalej:

„Ponadto często występującymi są: niska samoocena, poczucie winy oraz nadmierne poczucie odpowiedzialności (tzw. kompulsywna triada), a także upór, sztywność emocjonalna i sztywność przekonań tworząca specyficzne schematy poznawcze (na przykład »trzeba za-

wsze być lepszym niż konkurencja«), niezdolność do dzielenia się odpowiedzialnością oraz perfekcjonizm. Pewną ironią jest to, że im bardziej lekarz weterynarii jest perfekcyjny i skuteczny, tym jest to bardziej pożądane dla jego pacjenta, ale zarazem bardziej wyniszczające dla niego samego”.

O sytuacji weterynarzy dużo się już mówi, pojawiają się programy pomocy, Izba Weterynaryjna alarmuje. Ale sytuacja się nie zmienia. Marek Mastalerek, prezes Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej, wypowiedział się ostatnio z niezadowolaniem, że lekarze wykorzystują z miesiąca na miesiąc więcej godzin bezpłatnych spotkań online z psychologiem.

A przecież miała to być tylko pomoc doraźna. I że nie po to powstał program, żeby sponzorować lekarzom darmową dwuletnią terapię. Niektórzy lekarze reprezentujący izbę sugerują, że żeby poradzić sobie z hejtem internetowym, wystarczy nie czytać postów.

– W decyzyjnych organach związanych z weterynarią jest bardzo mało młodych lekarzy i brakuje rotacji na stanowiskach. – Kiwa głową Bartosz Matyja. – W społeczeństwie nadal pokutuje pogląd, że mężczyzna musi być zawsze silny. Ja nie mam siły być zawsze silny. Czasami jestem słaby i chciałbym wtedy, żeby ktoś mnie wsparł tak, jak ja staram się wspierać innych. Mam nadzieję, że zetki dokonają przełomu w tym zawodzie...

– Na studiach wciąż nikt nie tłumaczy, jak wykonywanie tego zawodu wpływa na psychi-

kę – mówi Kacper Wochowski, założyciel fundacji VetCare. – Rozmawiamy z samorządem i uczelniami, żeby wreszcie stworzyć system psychologicznego wsparcia dla lekarzy i lekaerek, a nie tylko reagować doraźnie. Środowisko przypomina sobie o tej potrzebie zwykle wtedy, gdy wydarza się tragedia. Czas przerwać ten cykl. Chcemy także stworzyć sieć wsparcia dostosowaną do męskiego świata. Wielu starszych, doświadczonych lekarzy, wciąż działa według zasady: „zaciśnij zęby i nie narzekaj”. A potem nagle przychodzi moment, gdy coś w nich pęka. Potrzeba odwagi, by w porę nazwać emocje i podzielić się z nimi. Ale tylko wtedy będzie można usłyszeć od kolegi: „Stary, znam to, mi też bywa ciężko. Jeśli będziesz potrzebował, dzwoni o każdej porze dnia i nocy”.

Najchętniej leczyłabym bezdomne zwierzaki

Bartosz Matyja: – Po sześciu latach pracy w Warszawie przeprowadziłem się z powrotem do Częstochowy. Dopiero dziś, kiedy słyszę „panie doktorze”, czuję, że to zasłużony tytuł. Postawiłem na szczerość – jeśli widzę, że coś przekracza moje kompetencje, mówię to klientowi wprost.

Potrafię też powiedzieć, że nie widzę możliwości naszej współpracy. Nie muszę się poświęcać, żeby zadowolić innych. To jest ta moja asertywność, nad którą pracowałem wiele lat. Wydałem kilkadziesiąt tysięcy złotych na psychoterapię, żeby się tego nauczyć, ale bez stawiania granic już dawno byłbym wypalony.

Zuzanna Luniewska: – W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że nie muszę pracować klinicznie, i poczułam olbrzymią ulgę. Skończyłam The Coaching Academy w Londynie; pracuję z lekarzami i technikami weterynarii, łącząc moje dotychczasowe doświadczenie weterynaryjne z narzędziami coachingowymi. Zaczynam również pracę w badaniach klinicznych. Mąż także się przeniósł, pracuje jako behawiorysta psów i kotów. Mieszkamy w Warszawie. Mamy roczne dziecko.

Kacper Guzowski: – Jednego dnia wszystko jest fajnie, a drugiego dnia tak jak dziś. Cielila się krowa. Miałem skończyć pracę o 19, ale krowa miała skręt macicy i trzeba było ją przewracać przez grzbiet na ziemi. W czterech chłopa to robiliśmy. Mimo że miałem kombinzon, fartuch i rękawice, byłem upačkany od góry do dołu. Krowę udało się uratować, ale cielę zmarło. Zanim się umyłem, była 22. W takich chwilach sobie myślę, że jednak trzeba było zostać w Warszawie.

Natalia Strokowska: – Pracuję jako kontraktowy lekarz w Szwecji. Prowadzę firmę Vetno-limits świadczącą usługi edukacyjne dla branży weterynaryjnej, gdzie pełnię także funkcję trenera. Dzięki przebytym psychoterapiom, coachingowi, psychoedukacji i wiedzy szkoleniowej jestem nadal w tym zawodzie i czerpię z niego przyjemność. Dzielę obowiązki i dbam o swoje zasoby, aby ponownie się nie wypalić. Lubię moją pracę, ale nigdy nie wybrałabym tych studiów ponownie.

Kacper Wochowski: – Pracuję w korporacji farmaceutycznej. Wspieram także lecznice i lekarzy marketingowo i biznesowo oraz prowadzę fundację VetCare.

Anna: – Aktualnie pracuję tylko jeden dzień w tygodniu, wykonując wyłącznie zabiegi stomatologiczne. Mamy małe dziecko. Na pewno nigdy nie wrócę już do trybu, w jakim pracowałam kiedyś.

Marta Folmer: – Trafiłam do wspaniałego psychiatry. Zdiagnozował u mnie zespół PTSD. Przepisał leki i terapię EMDR, która niebawem mi pomogła. W 2024 roku, w wieku 40 lat, urodziłam syna, w 2025 – córkę. Wcześniej nie mogłam zająć się ciążą.

Wciąż prowadzę moją przychodnię, ale nie pracuję już tak dużo jak wcześniej. Wypracowałam sobie pancierz, w którym staram się chronić. Gdybym drugi raz miała wybierać, nie wiem, czybym wybrała ten zawód... Pewnie tak, bo wciąż go kocham. Ale najchętniej leczyłabym bezdomne zwierzaki. Świat zwierząt jest zdecydowanie lepszy niż nasz. ●



FOT. C.G. HAGSTROM/EASTNEWS

My name is Bulka

• Rok 1992. Pisarka i malarka Tove Jansson (1914-2001) w swojej pracowni w kamienicy przy ulicy Ullanlinnankatu 1 w Helsinkach. W tym atelier tworzyła od 1944 roku aż do śmierci

Nowa wystawa poświęcona najważniejszej fińskiej pisarce jest jak podróż w głąb marzeń o wolności i ucieczce do świata, w którym każdy ma swoje miejsce.

Michał Olszewski

KORRESPONDENCJA Z FINLANDII

Pamiętacie piec z „Zimy Muminów”, w którym Muminiek znalazł Przodka? Przodek miał trudny charakter, łatwo wpadał w irytację, a zagniewany rzucił kiedyś do Muminka „Snadaff umuh”, co w języku trolli może oznaczać coś bardzo nie milego. Finowie zrekonstruowali piec na wystawie „Pako Muumilaakson” („Ucieczka do Doliny Muminów”). Można otworzyć drzwiczki, zajrzeć do wnętrza i zobaczyć połyskujące w ciemności białka oczu. Dla tych, którzy Muminów nie znają (są tacy?), wizyta w Muzeum Architektury i Designu może być wstępem do wielkiej przygody i świata, który mimo upływu lat nadal zachowuje moc przyciągania. Dla miłośników sagi o trollach wyprawa do Helsinek powinna zaś być obowiązkowym

punktem najbliższych podróży. Nie tylko dlatego, że można spojrzeć w oczy Przodka. Są tu sprawy równie ważne: wystawa odsłania tajniki pracy Jansson, nakładając topografię z baśni przez nią napisanych na geografię Finlandii, ale przede wszystkim pokazuje, że mit, zbudowany dzięki sadze o trollach, nadal jest tak samo żywy i równie potrzebny, jak tuż po wojnie, kiedy ukazywały się jej pierwsze tomy. I pozwala rozpoznać jego składowe.

Jedną z nich jest katastrofa. Jansson powiedziała kiedyś, że najbardziej interesują ją sztormy i katastrofy – ten cytat, obecny zresztą na wystawie, stanowi jeden z kluczy do zrozumienia tej opowieści. U prapoczątków, w książeczce „Małe trolle i wielka powódź”, opublikowanej w 1945 r., kiedy jeszcze nie ucił huk dział, a Muminiki miały wąskie nosy i mniej tkanki tłuszczowej, stworzenia pró-

bują wyjść cało z klęski żywiołowej, płynąc na fotelu w poszukiwaniu schronienia. W „Komicie nad doliną Muminów” uciekają przed apokalipsą, czyli uderzeniem komety w ziemię. W kolejnych książkach zmagają się ze sztormami, jeszcze jedną powodzią, wielką zimą, w końcu z kryzysem rodzinnym, depresjami, głębokim lękiem. Przez karty skromnych książeczek przeciągają tabuny stworzeń, dla których dolina Muminów jest miejscem schronienia przed światem, który często mallowała Jansson – pejzażystka: nieprzychylnym, trudnym, chłostanym wiatrem.

Zapewne dlatego przewodnikiem po wystawie jest Jani Toivola, syn Kenijczyka i Finki, gej otwarcie opowiadający o swojej orientacji, eksperytyk Zielonych. Toivola opowiada o trudnym dorastaniu na blokowisku, odmienności, prawie do życia, które toczy się poza wyjeżdżonymi koleinami i poszukiwaniu własnego miejsca. – Moje otoczenie było

pod wieloma względami niestabilne i niepewne – wspomina. Podobnie jak świat Muminów i świat Jansson, która mimo obowiązującego do 1971 roku zakazu homoseksualizmu przez 50 lat żyła w jawnym związku z graficzką Tuulikki Pietilä. Dla Toivoli to symbol odwagi i konsekwencji.

– Podróż przez jej życie upewniła mnie w przekonaniu, jak ważna jest wierność samemu sobie przy jednoczesnym otwarciu na świat w całym jego pięknie i bólu – opowiada.

Z opowieści fińskiego celebryty wylania się zamysł większy niż kolejny zbiór cennych artefaktów. Jansson staje się patronką stworzeń, które w poszukiwaniu ładu dryfują przez pełen niebezpieczeństw świat, niewidzialni i bez głosu niczym leśny drobiazg. – Ostatnio dużo myślałam o zabawie i wolności. Walka to nie wszystko, ważne, żeby mieć miejsce, w którym możemy czuć się wolni.

Jansson sprawia wrażenie, jakby stworzyła sobie dom zarówno w sensie mentalnym, jak i materialnym: sanktuarium dla siebie i dla sztuki. Wygląda, jakby żyła w harmonii z nieprzewidywalnością egzystencji i potrafiła odnaleźć radość pośród niepewności.

I zapewne dlatego jednym z najważniejszych symboli, jakie patronują wystawie, jest namiot. Namiot Włóczykija był obiektem zazdrości i podziwu Muminów oraz leśnych stworzeń, miejscem ucieczki i absolutnej wolności, choćby była to wolność w mikrop przestrzeni. Namiot Tove Jansson, w którym mieszkała, do złudzenia przypomina kształtem schronienie Włóczykija.

Na szczęście od katastrofy silniejsze pozostają piękno i wrażliwość na szczegóły świata. Saga o nigdzie-miejscu ma swoją precyzyjną mapę, która w części szczegółów pokrywa się z prywatną geografią autorki.

Słynna Too-tiki to nic innego, jak hold złożony Tuulikki (na ilustracjach widać wyraźne podobieństwo); Paszczak przypomina podobno partnera z młodości; Topik i Topcia to podobno echo młodzieńczego związku Jansson z córką prezydenta Helsinek; planetarium, do którego zmierzają trolle, żeby dowiedzieć się, kiedy uderzy kometa, wzorowane jest na helsińskim obserwatorium Ursa, a jaskinia, gdzie chronią się w ostatniej chwili, jest podobna do tej, którą lubiła odwiedzać autorka.

Po co Muzeum Architektury i Designu wraca do Muminów? Czy jest coś, czego o Dolinie jeszcze nie wiemy?

– Tove Jansson udało się stworzyć historie, które są jednocześnie uniwersalne i ponadczasowe. „Muminki” są zakorzenione w specyficznym kontekście kulturowym, a jednak przemawiają ponad granicami i pokoleniami – tłumaczy Jutta Tynkynen, kuratorka wystawy. – Poruszają fundamentalne ludzkie doświadczenia: potrzebę przynależności, konfrontację z niepewnością i zmianą oraz poszukiwanie radości i bezpieczeństwa. Dlatego nawet 80 lat po pierwszej książce o trollach twórczość Jansson wciąż wydaje się niezwykle współczesna. Nie tylko ze względu na poruszane w niej wątki środowiskowe i społeczne. Jansson zaprasza nas do konfrontacji z nieznanym i robi to z empatią, wyobraźnią i delikatnym poczuciem humoru. Witalność jej twórczości jest po prostu niesłychana.

Podróż śladami Muminów można kontynuować po wyjściu z budynku przy Korkeavuorenkatu 23. Tuż za rogiem, w ścianie kamienicy przy Ullanlinnankatu 1, wmurowana jest tablica z rzeźbą twarzy 14-letniej Jansson, wykonaną przez jej ojca Viktora. To tu, w atelier z widokiem na Helsinki, artystka tworzyła od 1944 aż do śmierci.

Tropów związanych z Jansson w Helsinkach i Finlandii jest bez liku. Tym razem nie dałam rady popłynąć na wyspę Halvarun, na której pisarka z Tuulikki Pietilä spędziła niemal trzydzieści letnich sezonów, głównie łowiąc ryby i pływając. Gmina Pellinge, która administruje tym obszarem i pomaga w znalezieniu łodzi, uznała, że morze jest już zbyt



FOT. MICHAŁ OLSZEWSKI / GAZETA WYBORCZA

▲ Muzeum Muminów w Tampere. Centrum i prawdziwy skarb wystawy: dwumetrowy model domu Muminów, który Tove Jansson budowała z przyjaciółmi i matką przez trzy lata, dodając coraz to nowe elementy

▼ Muzeum w Tampere. Rysunek Tove Jansson do książki „Magiczna Zima” (1957). Muminiek budzi się w środku zimy (a powinien spać) i odkrywa nowy krajobraz: śnieg, ciszę, samotność oraz spotyka Małą Mi i Too-tiki



FOT. MIARI KUUSENAHO



FOT. PAAVO LEHTONEN

niespokojne na taką wyprawę. Szkoda, bo Halvarun pozwala z pewnością zrozumieć, jak wyglądała wyspa, na której wylądowały trolle w „Tatusiu Muminie i morze” – przedostatniej części sagi, prawie tak niepokojącej, jak „Dolina Muminów w listopadzie”.

Podczas pracy nad „Tatusiem Muminem” Jansson nie mieszkała na wyspie, nie ma tam też latarni: jeśli szukać pierwotów, to na wyspach opustoszałych Bredskar i Kummelskar oraz Bredskar, gdzie znajduje się latarnia. Jest jednak widok na Zatokę Fińską, pustka i bliskie obcowanie z żywiołem.

No i jest miejsce, w którym można po prostu rozbić namiot, a potem schować się do środka i słuchać, jak na zewnątrz szumi wiatr. – Na archipelagu nic nie było okazałe ani ostentacyjne; wszystko zaprojektowano tak, aby umożliwić swobodę i życie blisko ziemi – opowiada Toivola. – Domek to przestrzeń, w której nie można uniknąć konfrontacji z własną małością wobec natury. Morze otula swoją miękkością, a potem staje się niebezpieczne i nieprzewidywalne. Potrafi uwięzić, odcinając dostęp do stałego lądu, dopóki nie nadejdzie nowy, spokojny poranek i przejście nie otworzy się znowu. A kiedy w końcu nadarzy się okazja do opuszczenia wyspy, człowiek zdaje sobie sprawę, że przywiązał się zarówno do niebezpieczeństwa, jak i spokoju.

Nie ma tego złego. Najpierw poszedłem do Helsinki Art Museum, które przechowuje część spuścizny po autorce, w tym pierwsze akty i ostatnie, migoczące od kolorów i detali plansze wykonane dla przedszkola o nazwie „Kapelusz Czarnoksiężnika” w Pori.

Pokazywana jest tam też rzecz absolutnie wyjątkowa – dwa freski wykonane w 1947 r. dla restauracji Kaupunginkellari, znajdującej się w podziemiach helsińskiego ratusza. „Fest pa landet” („Zabawa w plenerze”) i „Fest i staden” („Zabawa w mieście”) to dwie sceny rodzajowe: pełne erotyzmu, splecionych rąk, delikatnych gestów, muzyki i kwiatów. A kto spostrzegawczy, dojrzy, że zabawie przyglądają się schowane w gąszczu detali trolle.



◀ Muzeum Architektury i Designu w Helsinkach. Jedną z sal wystawy „Pako Muumilaakson” czyli „Ucieczka do Doliny Muminków”. Dla miłośników sagi obowiązkowy punkt programu w czasie wizyty w Helsinkach

▼ Jansson mimo obowiązującego w Finlandii do 1971 roku zakazu homoseksualizmu przez 50 lat żyła w jawnym związku z graficzką Tuulikki Pietilä. Na zdjęciu: obie w domu na wyspie Halvarun, gdzie zwykle spędzały lato



Dalej ruszyłem ścieżkami, które wydeptywała Jansson od dzieciństwa. W rozkopanym parku Katajanokka pod katedrą Uspienską nie spotkałem na szczęście Paszczaka – strażnika, jednej z najmniej przyjemnych postaci sagi. Gdyby nie samochody, można by pomyśleć, że z drzwi w Luotsikatu 4 wybiegnie mała, zadziorna dziewczynka z perkatym nośkiem, żeby pobiec do szkoły przy Korkeavuorenkatu 23 czy na lodowisko Halkolaitauri.

A potem pojechałem do Tampere – mekki miłośników Muminków, przez krajobraz tak szary, jak dolina Muminków w listopadzie, przez śnieg i jeziora pokryte cienkim lodem.

W sobotnie przedpołudnie muzeum Muminków w Tampere wygląda, jakby przyjechało tu pół Finlandii. Trzeba rozpychać się łokciami, na szczęście tłumy z dziećmi zmiernają w stronę wielkiej Sali koncertowej. Muzeum tonie w mroku, oświetlenie wyławia tylko poszczególne punkty.

O ile wystawa w Helsinkach opowiada o tęsknocie do wolności i poszukiwaniu schronienia, Tampere to przekrojowa, chronologicznie poprowadzona oryginalnymi ilustracjami autorki opowieść o narodzinach baśniowej potęgi, której początkiem był Niu-chacz – wcale nie zabawny, często poirytowany zimny troll z rysunków satyrycznych wykonywanych przez Jansson dla magazynu „Garm”. Niby to nie powinno mieć znaczenia, ale jednak gardło się ściska na widok oryginałów rysunków, które ogląda się ponad 40 lat.

Warto przemierzyć kawałek Europy, żeby zobaczyć niezwykle artefakt, centrum wystawy i prawdziwy skarb. W sercu dolnej Sali wznosi się ponaddwumetrowy model domu Muminków. Jansson budowała go z przyjaciółmi i matką przez trzy lata, dodając coraz to nowe elementy. To dom jak ze snów, dom – marzenie zbudowane na marzeniu. Nie przypomina on bowiem siedziby rodu, jaką możemy obejrzeć na rysunkach Jansson. Zmienił się w wielopoziomową konstrukcję, z latarnią morską na szczycie, poddaszem,

gdzie mały Homek Toft czyta książkę i hoduje w swojej głowie wielkiego stwora, z Gapsą (a może Buflą?) krzątającą się po kuchni, z mikroświatem Tatusia, podobnym do rufy galeonu, i Włóczykijem, który opowiada zapewne jakąś historię podróżną zapatrzonym w niego stworzeniom. To w pewnym sensie nieskończona, nadal oczekująca na dalsze części historia, która rozrasta się, otwiera kolejne tajne przejścia, zaprasza do zabawy.

Dla Polaka magia jest tym większa, że zewsząd rozlega się jeden z najbardziej tajemniczych języków Europy. Nie ma Homka, Przodka, Włóczykija, Ryjka, Paszczaka, Małej Mi, Filifionki. Są Tuhto, Esi-isa, Nuuskamuikkunen, Nipsu, Pikky Myy, Hemulit, Vilijonkka.

Nie ma też Buki, która w dzieciństwie, za sprawą mrocznej ekranizacji Muminków studia Se-Ma-For, budziła moje przerażenie. W oryginale nazywa się równie obco – Mörkö. W Tampere można obejrzeć symboliczną Bukę, wyrzeźbioną z kamienia. Swoją drogą, bolesna tajemnica tej postaci, która nocami krąży wokół Doliny Muminków w poszukiwaniu ciepła, pozostaje nierozwikłana.

– W Finlandii dziedzictwo Muminków pozostaje żywe i przechodzi z pokolenia na pokolenia. Dla większości dzieci pierwszym kontaktem z Muminkami są pluszowe zabawki lub słynny animowany serial. Jednak później dzieci dorastają i odkrywają książki Tove Jansson o Muminkach, dowiadują się, w jaki sposób jej biografia przeplatała się z twórczością – opowiada Virpi Nikkari, kuratorka z muzeum w Tampere. I wskazuje, że Jansson jest uznawana za ikonę queer, nie tylko w Finlandii, ale na całym świecie.

Muminki są przykładem udanego mariażu wyobraźni i komercji. W Muzeum Architektury i Designu uchwycony jest moment, kiedy wyruszają na podbój świata konsumpcji: to 1956 rok, kiedy położony w centrum fińskiej stolicy słynny dom towarowy Stockmanna zamawia u artystki witrynę z trollami. Część wystroju zachowała się do dzisiaj: Panna Mi-

gotka zamiata złotą grzywą, Muminek próbuje tańczyć, podnosząc lewą nóżkę. W Londynie można kupić Muminki pluszowe i marcepanowe. Komiksy o trollach, które Jansson maszynowo rysuje dla „Evening Express”, czytają miliony ludzi na całym świecie. Muminki wdzierają się do masowej wyobraźni i zostają w niej na stałe.

– Atrakcyjność Muminków wykracza daleko poza ich wartość komercyjną – dodaje Virpi Nikkari.

Te produkty prowadzą do historii, a historie przypominają, by cieszyć się życiem, pielęgnować ciekawość świata i żyć z otwartością i ciepłem. Czyli tak, jak Muminki.

Kuratorka wystawy z Helsinek Jutta Tynkynen z Muzeum Architektury i Designu zwraca uwagę, że Muminki osiągnęły ceną równowagę: dobrze funkcjonują w komercyjnym świecie, a jednocześnie pozostają autentycznymi, emocjonalnie rezonującymi postaciami. – Część tego sukcesu wynika ze sposobu, w jaki Tove Jansson je ukształtowała. Nie są nieskazitelными ikonami, ale złożonymi osobowościami. Mają swoje ujmujące dziwactwa, słabości i mocne strony. Dlatego zarówno dzieci, jak i dorośli, odnajdują się w tych postaciach i nawiązują z nimi autentyczną więź. Kubki, nadruki, a nawet tatuaże z Muminkami to nie tylko produkty, ale drobne sposoby na zaproszenie Muminków i tego, co symbolizują, do swojego życia.

Zatem w 2025 roku mała Mi uśmiecha się ironicznie z butelki napoju gazowanego, Włóczykij sprzedaje pastylki z ksylitolem zamiast cukru, a Muminki miętowe landrynki i żelki. Muminki są na zeszytach, skarpetkach, czapkach, torbach, talerzach, przywieszkach do kluczy, kubkach i wazonach, w Helsinkach można kupić bluzę z Hatifnatami.

A jednocześnie mit się nie starzeje. Z namiotu Włóczykija, a może Tove Jansson, bije światło, czasami dobiegają stamtąd dźwięki harmonijki. Rozpaczliwie spragniona ciepła Buka przesuwa się po horyzoncie. Too-Tiki przygotowuje letni domek do zimy. Mimbla czesze spokojnie włosy, jakby świat nie istniał.

Skąd ta siła po 80 latach? Odpowiedź znajduję w Helsinkach i opowieści o wyspie, o której wszyscy śnią, choć dociera do niej niewielu. I w Tampere, gdzie w szklanej gablocie można zobaczyć przeniesiony z ilustracji do świata lalek jeden z najpiękniejszych rysunków Jansson, ten z „Doliny Muminków w listopadzie”.

Małe, niepewne siebie, milczące stworzenia, siedzą na werandzie, każde osobno, każde we własnej traumie, wypatrując nieobecnej, mitycznej rodziny Muminków – ostoi spokoju i szczęścia w czasach katastrof i niepewności. ●

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



AMERYKA
UWIODŁA
MIOJCA

Nie zostało mi już wiele czasu. Dobrze by było, gdybyśmy zdążyli się zaprzyjaźnić – mówi tata przez telefon, kiedy proponuje mi podróż do Stanów. Niedawno skończył sześćdziesiąt lat. Jest zdrowy, rześki, energiczny, ma aktywne konto na TikToku i wie, że obecnie wypada nosić spodnie o szerszym kroju. Mimo to dziwne byłoby, gdyby w jego wieku nie myślał o takich sprawach.

– Zawsze chciałem to zrobić. Wynajmiemy samochód, kupimy latarki i śpiwory, pojedziemy w dal, zobaczymy trochę kraju. A jak będziemy chcieli nocować nad jeziorem, to rozłożymy się fotele.

– Jak dla mnie okej – mówię. Dla mnie większość rzeczy jest okej. Nic mi nie przeszkadza, tym bardziej jeśli się nie wydarzy. Polecimy do Stanów, ale mam pewność, że nie będziemy spać w żadnej guszy. Miło o tym fantazjować, ale jesteśmy na to obaj zbyt wygodniccy.

Przeglądamy mapę, rozmawiamy o możliwych trasach, dzielimy się zadaniami – ja zamawiam adaptery do amerykańskich gniazdek, tata podstawowe leki. Kupujemy bilety tak, by wylądować czwartego lipca o siedemnastej i zdążyć jeszcze na wieczorne fajerwerki z okazji Dnia Niepodległości.

Miesiąc później jesteśmy na warszawskim lotnisku. Zamawiamy rzeczy z grilla, mimo że jest dziesiąta rano. Możliwe, że pod wpływem ekscytacji podróżą strefy czasowe już zaczęły nam się mylić. Poza tym to męski wypad, co innego moglibyśmy zjeść?

– Wszyscy zawsze mówili, że jesteś dobrym obserwatorem – tata zaczyna komentować moje opowiadanie, które niedawno ukazało się w książce. – Pamiętam, że nawet w przedszkolu panie mówiły, że ten Maciek to taki baczny obserwator. Mnie też zawsze mówili, że jestem dobrym obserwatorem. Więc myślałem, że masz to po mnie. Że to geny.

Kiwam głową, zastanawiając się, dokąd zmierza ta historia.

– Ale potem pomyślałem, że przecież ja jestem dobrym obserwatorem, bo miałem ciężko za dzieciaka. Cały czas coś na mnie czyhało.

I zrozumiałem, że na ciebie też. Jak byłeś mały i czuleś się inny. Bales się, że ktoś to może zauważyć, że ktoś cię może skrzywdzić – widzę, jak tata robi się czerwony, sytuacja zmierza do wybuchu – i zrobiło mi się przykro, że jak byłeś mały, to musiałeś się tak bać – gdy tata wypowiada słowo „bać”, jego głos się łamie. Zalewa się łzami. Nie płacze, szlocha. Po jego policzkach spływają łzy duże jak groch, trzęsie się w ramach prywatnych turbulencji. Dookoła ludzie na zmianę snują się od nadmiaru czasu i spieszą na samoloty.

– Możesz mieć rację – odpowiadam zaskoczony, jak lodowato brzmi mój głos. Milczę, zachowuję spokój.

Może dlatego, że nie chcę wchodzić w łatwe ścieżki samowspółczucia, szczególnie że moje życie do tej pory nie było specjalnie ciężkie. Może dlatego, że nie chcę do tego wracać. Nie chcę pamiętać, że jestem inny.

Wpatruję się w tatę, nadal się trzęsie, potrzebuje jeszcze chwili. Myślę: czyli tak będzie wyglądała ta podróż do Stanów? Psychodrama dwadzieścia cztery godziny na dobę? Zaległa terapia? Dwanaście dni, w trakcie których powiemy sobie wszystko, czego nie powiedzie-

liśmy przez trzydzieści lat? Nie wierzę w takie rozwiązania.

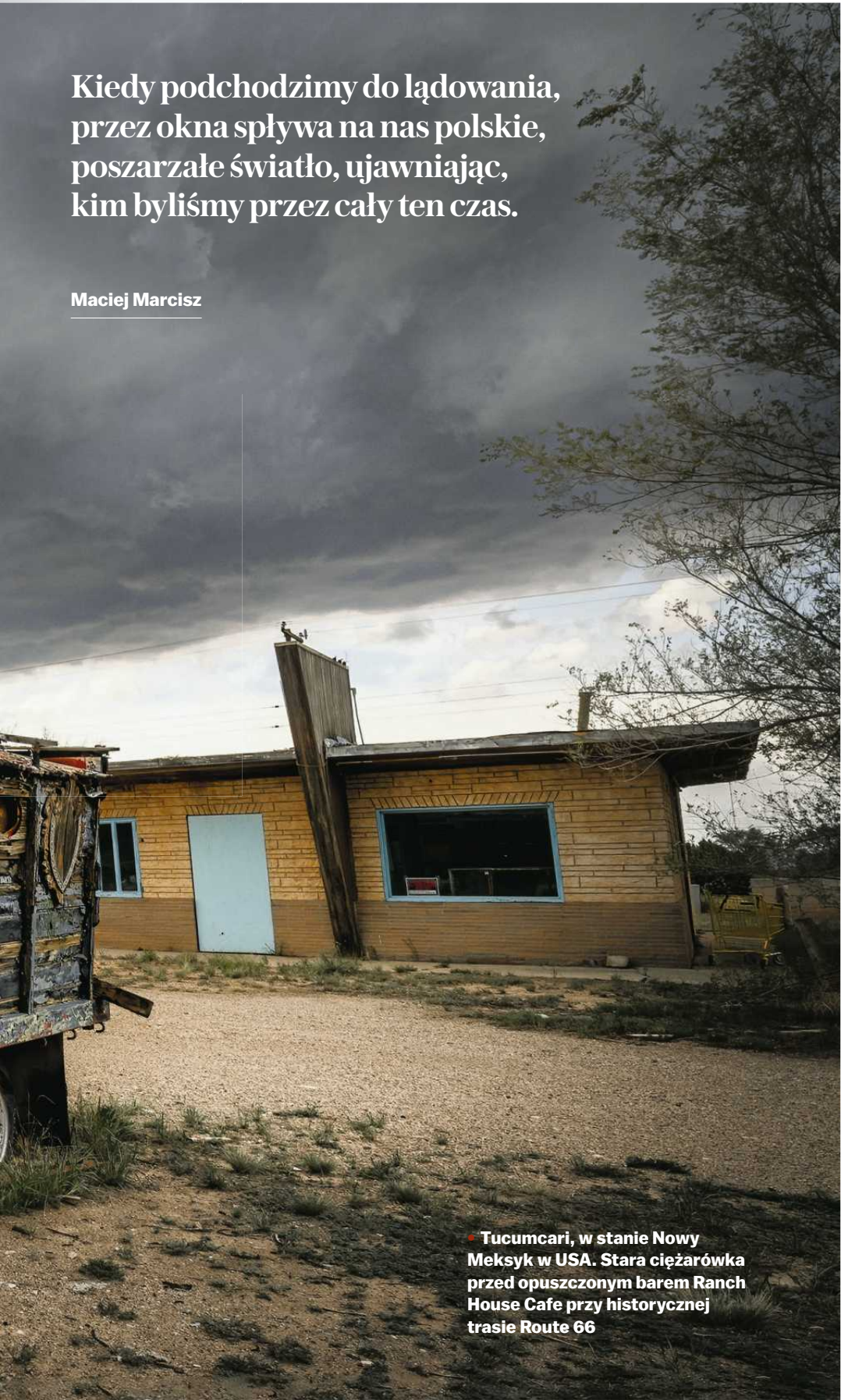
– Idę jeszcze zapalić przed lotem – mówię.

W akwariu dla palaczy mówię do siebie: nasza więź jest okej. Mieliliśmy problemy, ale już się ich pozbyliśmy. Tata nie musi być moim najlepszym przyjacielem. Od przyjaźni mam przyjaciół. Wystarczy, żeby był moim tatą. Myślę o cytacie z „Mojego Giovanniego”: „Nie pragnąłem być jego kumplem, pragnąłem być jego synem. To, co określał mianem męskiej szczerości, męczyło mnie i niepokoiło. Tęskniłem do zbawionego dystansu między ojcem i synem, który pomógłby mi naprawdę go pokochać”.

Wracam do stolika jak gdyby nigdy nic. Nie chcę odgrywać sceny z filmu, w którym bohaterowie po latach milczenia i niezgody lub zaniedbania przychodzą do siebie i mówią: „Zachowywałem się słabo, ale to dlatego, że kiedy nie widziałeś, miałem bardzo ciężko, a tak naprawdę to bardzo cię kocham i zawsze kochałem”. Następnie widzimy, że bohater przez te wszystkie lata trzymał w portfelu zdjęcie osoby, którą prosi o wybaczenie – i to największy dowód, że zawsze mu zależało.

Kiedy podchodzimy do lądowania, przez okna spływa na nas polskie, poszarzałe światło, ujawniając, kim byliśmy przez cały ten czas.

Maciej Marcisz



• Tucumcari, w stanie Nowy Meksyk w USA. Stara ciężarówka przed opuszczonym barem Ranch House Cafe przy historycznej trasie Route 66

FOT. BILL CHIZEK/GETTY IMAGES

No więc nie wierzę w to. Miłości nie da się zagadać i dorozmawiać. Trzeba się narobić. A my przecież coś robimy, jedziemy zwiedzać Stany. Czasem nieświadomie zaczynamy odgrywać bohaterów historii, którymi nie jesteśmy. W świecie zdominowanym przez storytelling miesza nam się w głowach, która historia do nas należy. W każdym razie – ta nie należy. Nie jesteśmy bohaterami tej historii, mówię sobie.

Tata się uspokaja. Idziemy oglądać książki, mierzyć okulary słoneczne i wąchać perfumy w sklepach bezcłowych.

• Po dziesięciu godzinach dolatujemy na JFK. Przechodzimy do biura wynajmu samochodów, żeby odebrać zarezerwowany pojazd. Jest bardzo duży, tak jak powinien wyglądać amerykański samochód. Zamiast szybko się spakować i odjechać, dajemy sobie chwilę i po prostu stoimy, wpatrując się w wielkiego, białego potwora.

– Takim jeździł John Dutton z „Yellowstone”.

Tata ma obsesję na punkcie serialu „Yellowstone”.

Wrzucamy walizki i wyjeżdżamy na autostradę. Tata próbuje się zorientować w obsłudze pojazdu.

– Patrz, ciśnienie w kołach spada – pokazuje mi na desce rozdzielczej – ale zaraz się podniesie, to normalne przy takich dużych samochodach.

O możliwościach pojazdu słucham z ćwierćzrozumieniem. Jako jedyny członek rodziny nie mam prawa jazdy i uparcie próbuję przekonać wszystkich, że to część mojego uroku, a nie cywilizacyjna indolencja.

Wjeżdżamy w lawicę samochodów, białych i czarnych pick-upów i SUV-ów. Daleko w tle Manhattan topi się w różowym świetle popołudniowego słońca. Wygląda jak sen.

Dzisiaj musimy dojechać tylko do Yale. Nawigacja pokazuje, że o dziewiętnastej trzydzieści będziemy na miejscu. Chcemy zdążyć na fajerwerki. Nasz samochód zaczyna jakoś dziwnie jechać. Coraz dziwniej.

– Złapaliśmy kaptur – mówi tata, patrząc na tablicę – a nawet cztery.

Samochód zaczyna się telepać, zjeżdżamy na pobocze. W tej samej chwili obaj uświadamiamy sobie, że wyjechaliśmy z parkingu złą

stroną, nadzialiśmy się na kolce. Dzwonię do pomocy technicznej. Kompetentny męski głos – trudno powiedzieć, czy człowieczy – pyta, czy jesteśmy bezpieczni. Po zadaniu tego pytania zaczynam mieć wątpliwości. Jesteśmy? Po serii meczących pytań kompetentny głos sugeruje, żebyśmy dojechali z powrotem na parking wypożyczalni. Tata odpowiada, że to nielegalne, niezgodne z prawem, żeby jechać na nagich kołpakach. Męski głos przekonuje, że to jedyne rozwiązanie. Tata odmawia.

Wychodzimy z samochodu zaczerpnąć świeżego powietrza. Słońce już zachodzi, samochody mijają nas szybko, choć niektórzy zwalniają i pytają, czy nie potrzebujemy pomocy. Zaczynam śpiewać Shanię Twain, scena z teledysku do „That Don’t Impress Me Much” wchodzi natychmiastowo. Porzucamy samochód na poboczu, łapiemy taksówkę i wracamy do biura, zmartwieni zgłaszamy problem.

– Co się przejmujecie? To się zdarza cały czas. Macie ubezpieczenie, zaraz dostaniecie nowy samochód.

Kobieta śmieje się z naszego niepokoju i pyta, czy nie zamówić nam pizzy. Wkrótce dostajemy kluczyki do nowego potwora. Wyruszamy.

Z samochodu oglądamy mizerne kleksy fajerwerków unoszące się nad sklepami budowlanymi, storage stores i wszechobecnymi billboardami z twarzami prawników i ubezpieczycieli. Z tej perspektywy Dzień Niepodległości prezentuje się smętniej niż Święto Kielbasy w polskim mieście powiatowym. W końcu w Stanach też są jakieś miasta powiatowe. Do Yale dojeżdżamy po dwudziestej trzeciej.

• Następnego dnia budzimy się podekscytowani, z poczuciem, że teraz to już naprawdę jesteśmy w Stanach. Krążymy po pustych ulicach z zakupionymi na miejscu butelkami wody Poland Spring, która nie ma nic wspólnego z Polską. Robimy zdjęcia za każdym razem, kiedy coś wydaje nam się amerykańskie. Chwilę chodzimy po kampusie. Bez studentów i studiowania uniwersytet to tylko ładne budynki. Jemy śniadanie i wymeldowujemy się z hotelu. Idę jeszcze przygotować nam kawę na podróż.

– Zobacz, zrobiłem nam domek – mówi tata podekscytowany. Otwiera drzwi samochodu i pokazuje swoje dzieło. Nasze walizki leżą otwarte na rozłożonych tylnych siedzeniach.

– Gdziekolwiek będziemy spać, nie musimy zabierać wszystkiego do hotelu, możemy brać sobie rzeczy stąd. To będzie nasza baza.

Na stacji benzynowej kupujemy kilka zgrzewek wody, suszoną wołowinę, nachosy, krojone owoce i warzywa w plastikowych pudełkach. Wyposażamy naszą bazę, przygotowujemy się do survivalu. Przypomina to stawianie namiotu w dziecięcym pokoju, zabezpieczanie się przed zmyślnym deszczem. Nic nam się nie stanie, w końcu jesteśmy dobrze sytuowanymi białymi mężczyznami z Europy. W ochronie przyrody nazywają to gatunkami najmniej troski. Popolite, szeroko rozprzestrzenione, niebędące w niebezpieczeństwie szybkiego wyginiecia. To właśnie my.



FOT. LAURA BIELAK

Maciej Marcisz

• Rocznik 1988. Autor „Taśm rodzinnych”, jednego z najczęściej komentowanych debiutów ostatnich lat, i „Książki o przyjaźni”. Opowiadania publikował w „Wakacie”, „Piśmie”, „Vogue” i „Gazecie Wyborczej”. Pochodzi ze Śląska, mieszka w Warszawie

W Bostonie parkujemy przy starym mieście. „Stare” oznacza w Ameryce, że coś powstało 200 lat temu. Jest rudoceglane. Przechodzimy je spacerem w kilka minut. Wchodzimy do sklepu, w którym pachnie skórą, w środku jest brązowo, męsko i myśliwsko. Sprzedawca ma z pięćdziesiąt lat, vintage levisy opinają jego uda, nosi kowbojskie buty i brodę, wygląda jak uosobienie idei sklepu. Tata zaczyna mierzyć kurtki. Plakaty marek się prężą, próbują przelicytować się datami założenia. Można tu kupić modele ubrań, które nosili James Dean, Bruce Springsteen czy Marlon Brando. Ale dla mojego taty liczy się tylko jedno.

– Wyglądam jak John Dutton? – pyta, poprawiając ciężką kurtkę z cielęcej skóry.

Potwierdzam, nie muszę uprzejmie naginać rzeczywistości. Tata był podobny do Kevina Costnera jeszcze przed erą „Yellowstone”.

– Brać?

– Brać.

Po negocjacjach tata kupuje kurtkę. Po tem szybko נוżymy się spacerem i idziemy na obiad. Kiedyś do konsumpcjonizmu mojej rodziny, który w trakcie podróży ulega jeszcze spotwornieniu, podchodziłem z większą dozą autoironii. W tej chwili myślę jednak o tym, że konsumpcja jest jedną z najbardziej autentycznych aktywności, jakie można wykonać w trakcie wakacji. Cóż jest bardziej autentycznego niż kupowanie kowbojskiej kurtki w USA? A już na pewno jest to autentyczniejsze niż wchodzenie na wieżę widokową czy oglądanie multimedialnej wystawy o historii miasta.

• Kiedy wyjeżdżamy z Bostonu, nasza podróż po raz kolejny zaczyna się naprawdę. Każdego dnia spędzamy cztery, pięć godzin w samochodzie. Rozmawiamy i słuchamy muzyki, staramy się, żeby była utrzymywana w konwencji: Sheryl Crow, Aerosmith, Dolly Parton, Stevie Nicks, Tupac, TLC, całe spektrum amerykańskości.

– Dodaj mi to do ulubionych – mówi tata.

Za każdym razem, gdy to robi, świętuję mały sukces. Z lekkim napięciem czekam na wyrok, zazwyczaj następuje po pierwszym refrenie. Ta przyjemność, kiedy bliskiej osobie podoba się coś, co jej pokazaliśmy, powinna mieć osobną nazwę.

Myślę też o innej przyjemności – przyjemności definiowania stanów i przeżyć. Współczesność masowo produkuje nowe definicje zjawisk, na ślepo wypuszcza nowe słowa z nadzieją, że któreś się przyklei. Zanim spróbujemy coś nazwać, okazuje się, że istnieje już na to określenie. Każda drobny fenomen zostaje sklasyfikowany, opisany, ma swój moodboard, estetykę i gotową listę zakupów. I przyjemność znika. Muzyka gra dalej.

Zatrzymujemy się na stacjach benzynowych i w małych food courtach. Starbucksy, Macdonaldy i Burger Kingi, w Polsce elegancie i nowoczesne, tutaj podśmierzają. Wyglądają podle, przykro i smutno, a w dodatku kosztują tyle co przeciętne restauracje – tym bardziej się zastanawiam, na czym polega ich fenomen. Krajobraz jest monotony. Drzewa, jeziora, drzewa. Nic się nie zmienia. – Aha, czyli jedziecie na Mazury – powiedział mi znajomy, kiedy się dowiedział przed wyjazdem o przebiegu naszej trasy. Myślałem, że przesadza.

Za każdym razem, kiedy widzimy coś, co potwierdza nasze wyobrażenie na temat Stanów, cieszymy się: ekstraduże opakowania chipsów i żelków, grupki harleyowców, ogromne kubki amerykańskiej lury, serpenty autostrad, serdeczni ludzie. W tych momentach podróżowanie wydaje się jedynie poszukiwaniem dowodów na swoją przedwiedzę. Można ją uszczegółowić, ale nie da się niczego odkryć.

Zawsze, kiedy się gdzieś zatrzymujemy, tata zaczepia nieznajomych. Opowiada swoją historię lekko połamaną angielszczyzną sklejoną złotem entuzjazmu.

– Wychowałem się w latach siedemdziesiątych w Polsce, mieliśmy wtedy komunizm. – Tu robi minę zakładającą, że słuchacz do-
kładnie wie, o co chodzi, *if you know, you know*. – No a w latach osiemdziesiątych to wszystko zaczęło się zmieniać. Mówię: trzeba spieprzać z tego kraju, w wojsku zrobiłem prawo jazdy na ciężarówkę, wyjadę do Stanów i będę jeździł. *Route 66, you know*. Pojeżdżę, zarobię, potem coś się wymyśli. No ale żona zaszła w ciążę, pojawiły się dzieci i plany się zmieniły. Nie wyjechałem, ale marzenie o Stanach zostało. W latach zerowych chcieliśmy z żoną pojechać do Stanów, ale nie dostaliśmy wizy. I tak się trochę obraziłem na tę Amerykę na dwadzieścia lat. A teraz jesteśmy tu z synem i bardzo nam się podoba. No jednak, co Stany, to Stany. Bardzo jest fajnie.

Spotkani Amerykanie słuchają z uśmiechem, komentują, zadają pytania o to, jaki jest nasz kolejny przystanek, i uprzejmie przechodzą do swoich spraw.

– Bardzo podoba mi się ta amerykańska otwartość – podsumowuje tata.

Jedziemy w stronę Kanady. Wstukuję słowa na klawiaturze telefonu.

– Notujesz? – pyta tata.

– Zmieniam piosenkę.

– Notuj, synu, notuj. Może będzie z tego jakiś tekst.

Od czasu, kiedy wydałem powieść inspirowaną historią mojej rodziny, wszyscy jej członkowie zakładają, że wkrótce mogą trafić do kolejnej książki lub opowiadania. Może to nasze małe reality show, w którym rzeczywistość jest na równi reżyserowana przez tego, kto występuje, i tego, kto opowiada. Czy wszystkie rodziny pisarek i pisarzy tak mają? Może moi rodzice są tak świetnymi rodzicami, bo wiedzą, że nie mają innego wyjścia? Przecież wszystko i tak zostanie zapisane.

Przemierzamy amerykańskie drogi, wpuszczając do siebie szeroki oddech przestrzeni. Śpimy w kolonialnym Concord w Massachusetts, mieście ganków, białych i żółtych paneli, wyglądającym, jakby było zrobione ze słodkiego masła. Jemy śniadania w przydrożnych dinerach i uczyniamy sobie drzemki na trawnikach stacji benzynowych. Płyniemy w rejs po Archipelagu Tysiąca Wysp. Dowiadujemy się, że stąd pochodzi sos do sałatek. Odwiedzamy nijaki Montreal i Toronto, które jest trochę jak Nowy Jork, tylko pozbawione jego legendy. Mieszkamy w samochodzie. Mówimy sobie wszystko, co przyjdzie nam do głowy. To też jest szczęście.

Jedziemy w stronę Niagary. Zjeżdżamy z autostrady, żeby coś zjeść. Trafiamy do Annie Burgers & Grill. Zadymiona przestrzeń, brudny kibbel, szafa grająca i bilard. Cicho, ciemne drewno, dwóch gości przy barze, obojętnych na zamęt świata. Z kuchni wylania się Anne. Zamawiamy burgery. Tata opowiada jej historię, tę samą, którą opowiada wszystkim. Płacę kartą w szafie grającej, puszcza „Don't Stop Believin'” Journey, w oczekiwaniu na jedzenie rozgrywamy partyjkę bilarda.

– To najlepsze burgery, jakie jadłem w życiu – mówi tata do Anne.

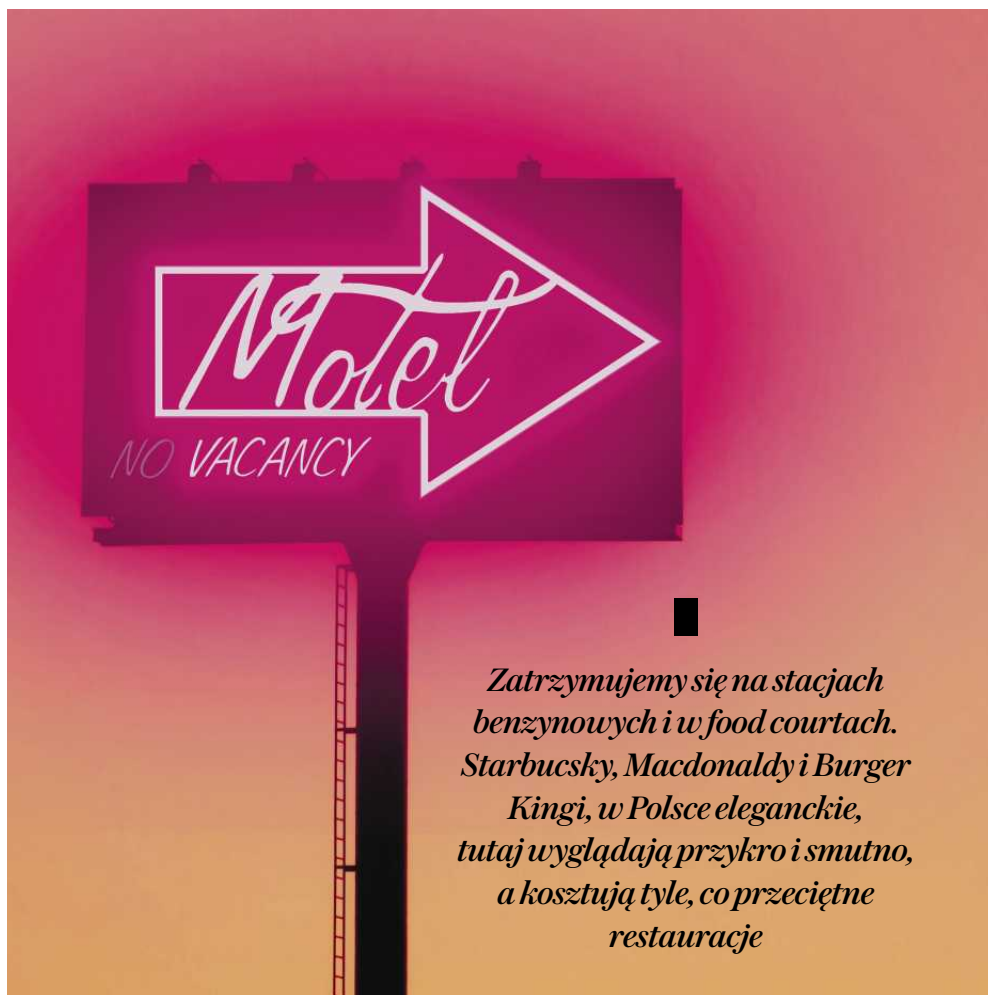
– Nie macie burgerów w Polsce? – pyta z troską.

– Nie, mamy, mamy... ale te są bardzo dobre, *very good*.

– Naprawdę to był najlepszy burger w twoim życiu? – pytam, niepotrzebnie ścisząc głos.

– Nie wiem. Tak tylko powiedziałem, żeby było jej miło.

Miało być miło, a znowu wyszło, że Polska jest wsią świata. Sympatyczną i nieszkodliwą wsią świata, nawet w tym zapadłym zajeździe. Mój tata ma szczególną skłonność do doceniania prostych ludzi i ich dokonań, która, choć pochodzi z dobrego miejsca, czasem wypada protekcyjnie. A czasem tak jak przed chwilą. Jest w tym też wizja, w której w najbardziej podle wyglądającej gospodzie, w największej dziurze, gdzie psy dupami szczekają, na pewno czekają nas niezwykle skarby.



*Zatrzymujemy się na stacjach
benzynowych i w food courtach.
Starbucksy, Macdonaldy i Burger
Kingi, w Polsce eleganckie,
tutaj wyglądają przykro i smutno,
a kosztują tyle, co przeciętne
restauracje*

FOT. ARTUR DEBAT/GETTY IMAGES

Ta wizja, nieustannie podkręcana, urosła karmiona oglądaniem przez lata programu Anthony'ego Bourdaina, gdzie w najbardziej obszczanych zakątkach świata amerykański szef kuchni palaszuje rzekomo najlepsze smażone nietoperze, jakie jadł w życiu, podawane zresztą brudnymi rękami. Właśnie dlatego co jakiś czas zbaczamy z trasy w poszukiwaniu nieuchwytnego olśnienia, czegoś, co ostatecznie powali nas na kolana i wbije w ziemię, każe przemyśleć wszystkie dotychczasowe priorytety. Nic takiego jednak się nie dzieje. Świat pozostaje rozczarowująco odkryty. Żegnamy się z Anne ze świadomością, że nigdy tu już nie wrócimy. Nie dlatego, że byśmy nie chcieli, ani nie dlatego, że nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Po prostu już nigdy nas tu nie będzie.

Kiedy dojeżdżamy do Niagara Falls, leje deszcz. Zostawiamy rzeczy w pensjonacie i jedziemy zobaczyć wodospad. Gdy docieramy na miejsce, ponownie odkrywamy tajemnicę kadrowania zdjęć. Wodospady otoczone są gargantuicznymi hotelami, postmodernistycznymi kasynami, świecącymi jak choinki sklepami z pamiątkami i flagshipstorami globalnych marek, które postanowiły skolonizować to doświadczenie. Niagara wygląda jak spełniony sen deweloperów.

Idziemy w stronę punktu widokowego, mijamy turystów takich jak my, ubranych w kacyjnię-sportowo, ale również tych w przeciwdeszczowych ponchach, kobiety rozpoczynające weekendy panieńskie, podпиты mężczyzn na wieczorach kawalerskich. Wszyscy dookoła wytwarzają content, szukają najlepszego ustawienia względem wodospadu, tak by kadr sugerował spotkanie z nieujarzmioną, gniewną przyrodą, a najbliższy Starbucks nie znajdował się tysiąc dwieście metrów stąd.

Ludzie roztawiają statwy i lampy, rozciągają selfiestyki, śmieją się i tańczą do obiektywów. Zatrzymujemy się i kopiujemy ich kadry. Mimo słodczy turystycznego kiczu nadal mamy poczucie, że przeżywamy coś ważnego. W końcu to Niagara, cud natury, znane miejsce, doświadczenie podobne do zobaczenia „Mony Lisy”, „Słoneczników” van Gogha i Big Bena. Z każdym z tych doświadczeń związana jest mieszanina ulgi (odhaczone, zaliczone, od dziś jestem osobą, która to widziała), rozczarowania (to jest takie małe?), radości z odkrycia prawdy (czyli tak to wygląda, następnym razem, kiedy zobaczę je na filmie lub repro-

dukcji, przypomnę sobie tę chwilę i już będę wiedział, jak to jest), pustki, która pojawia się zaraz po osiągnięciu celu (wyobrażenie, że zobaczę Niagarę, jest lepsze od jej zobaczenia).

Wpatrujemy się w wodospad, jego teoretyczną siłę.

– No tak. Po prostu bardzo dużo wody – mówi tata.

To jedno z podobieństw, które zauważyłem, kiedy nie musiałem już szukać między nami różnic, które pozwoliłyby mi na zbudowanie własnej tożsamości. Choć zakrawa to na współczesną herezję, prawda jest taka, że z tatą nie kochamy przyrody. Nie, żebyśmy mieli coś przeciwko. Ale cywilizacja, miasto, z jego ludźmi, sprawami i przedsięwzięciami, chaosem kreatywności i przedsiębiorczości, mechanizmami, które sprawiają, że nasz świat działa, zawsze interesowały nas bardziej. Znaleźć się w środku jakiejś głuszy i być pozbawionym ludzkiego spektaklu – to wydało nam się synonimem nieszczęścia.

Wracamy do pensjonatu. Jest dziewiętnasta, wyczerpany trasą tata pada na łóżko. Nie chcę jeszcze kończyć dnia, wychodzę na spacer po okolicy. Zaglądam do okien domów, próbując odgadnąć cudze życia. Widzę włączone telewizory, całkiem zwyczajne krasnale, figurki labędzy, psów i kogutów. Podróże nie ubogacają nas w jakiś szczególny sposób, myślę. Poznałem w życiu wiele interesujących ludzi, którzy nigdy nie byli w Azji, i kilku bardzo nudnych, którzy zwiedzili cały świat. Kiedy zasypiam na wilgotnej, rozkładanej kanapie, monotonny, wieczny szum wodospadu brzmi jak warczenie psa, który, choć duży, nic mi nie robi.

Następnego ranka jedziemy do Buffalo.

– Patrz, jak ładnie, równo skoszone – mówi tata. – W Polsce ta moda na niekoszenie, no może i dobrze. Ale nie powiesz, taki trawnik świetnie wygląda.

Nie mogę zaprzeczyć. Soczyście zielone trawniki w połączeniu z białym sidingiem domów wyglądają nieskazitelnie jak z cudzego snu.

Z dnia na dzień mój tata kocha Stany coraz bardziej. Wiele rzeczy, przekonuje mnie w samochodzie, jest tu lepszych. Podatki – prostsze i niższe. Toalety – sprytniej się splukują. Ludzie – bardziej wyluzowani i pewni swojej ekspresji, każdy chodzi ubrany jak chce, a na

samochodzie poprzyklejane mają zabawne naklejki. Wydaje się, jakby podróżowanie nie było odkrywaniem świata, ale jedynie halucynacją, fatamorganą ujawniającą pragnienia, lęki i obsesje, z którymi przyjeżdżamy.

– Spójrz na te orzechy – mówi, kiedy rozpakowuję zakupy w samochodzie – jakie duże. W Polsce ładują je do zamkniętych opakowań z nadrukami, żeby nie było widać, ile jest pokruszonych. A tutaj wszystko odkryte. Wiesz, co kupujesz.

Trudno mi z tym dyskutować, chowam przezroczyste plastikowe pudełko do schowka, upycham je razem z dokumentami samochodu. Liczyłem, że wyprawa do Stanów otworzy tacie oczy. Przyzna mi rację, że kapitalizm na amerykańskich sterydach ma swoje ciemne strony. Zobaczy biedę, o której czytałem w mediach społecznościowych, postępujące ubóstwo, przerażający z perspektywy Europejczyków system opieki zdrowotnej, oligarchię. Ale przecież tych rzeczy nie da się zobaczyć w trakcie dwutygodniowej wycieczki po północnych Stanach. Miałem nadzieję, że chociaż widok zaszczurzonego Nowego Jorku na osobie tak schludnej jak on zrobi odpowiednie wrażenie, przykruszy jego amerykański pomnik. Niestety, jesienią 2024 roku Nowy Jork jako jedno z ostatnich dużych miast na świecie wprowadził kontenery na śmierci.

Budzimy się w New Jersey. Wybieramy się na strzelnicę. Tego przeżycia brakuje nam do kolekcji amerykańskich odznak. Zabiera nas znajomy taty z dzieciństwa, który mieszka niedaleko. Opowiadamy mu o naszych dotychczasowych przygodach. On narzeka na wysokie podatki. Wchodzimy do środka. Nigdy wcześniej nie byłem na strzelnicy, wygląda trochę jak w sklepie wędkarskim. Przechodzimy trzy wideoszkolenia z zasad zachowania, podpisujemy dokumenty potwierdzające, że nie chcemy nikogo zabić, a jeśli umrzemy, będzie to nasza wina. Cały proces wydaje mi się niepokojąco prosty i przyjemny. Dostajemy słuchawki wygłuszające i okulary ochronne.

Sklep z bronią i właściwą strzelnicę dzielił pancerne drzwi. Choć od początku staram się ironizować, kiedy przechodzimy przez próg, zaczynam się bać. Na torach po lewej stronie widzę innych ojców z synami. Tylko że synowie mają z dziesięć lat. Chwilę po pociągnięciu za spust czuję, że jest już za późno, że się dokonało, choć nie wiem co. Strzelamy na zmianę, raz tata, raz ja. Na początku z poręcznego glocka, później ze strzelby. Nie idzie mi tak źle. Pod koniec trafiam w sam środek symbolicznego człowieka.

– I co, synu, fajnie jest, prawda?

– Fajnie, fajnie.

– Kocham cię – mówi. Odpowiadam szybko, że ja go też. Razem zabiliśmy wielu zmyślonych ludzi.

– Fajnie jest w tej Ameryce.

– Bardzo fajnie.

Marzeń wgranych w dzieciństwo nie da się już odmienić. Myślę: dlaczego kiedykolwiek mi na tym zależało? Po co to zmieniać, nawet jeśli to iluzja? Dlaczego tak często chcemy, by nasi bliscy patrzyli na świat dokładnie tak jak my?

Spędzamy jeszcze dzień i noc w Nowym Jorku, musimy wracać. Jesteśmy już spakowani, oddajemy samochód, żegnamy nasz ruchomy domek, wyciągamy wszystko ze środka. Jeszcze jedno, myślę. Orzechy w schowku na dokumenty. Otwieram paczkę, częstuję tatę.

– Może amerykańskie większe, ale polskie są smaczniejsze – mówi.

Przynajmniej tyle, myślę.

Kiedy podchodzimy do lądowania, przez okna spływa na nas polskie, poszarzałe światło, ujawniając, kim byliśmy przez cały ten czas. Niektórzy mówią, że człowiek zmienia się w każdej chwili. Kiedy czekamy, aż nasze walizki spadną na taśmę, czuję, że staliśmy się jeszcze bardziej tacy, jacy byliśmy przed rozpoczęciem podróży. To w końcu też jakaś zmiana. ●

PEKNIĘTE SERCE UCZYNI CIĘ SILNIEJSZYM

Charles Spencer dziś, pół wieku po tamtych wydarzeniach, przyznaje:
„Jakaś część mnie umarła w Maidwell”



• 12. września 1972 roku, ośmioletni Charles Spencer żegna się z rodzinnym domem przed odjazdem do nowej szkoły z internatem, w której spędzi kolejne pięć lat. Opisze je później w książce „Szkoła bardzo prywatna” FOT. EDWARD JOHN SPENCER

Agnieszka Jucewicz

W ie mogą przestać patrzeć na to zdjęcie. Ośmioletni chłopczyk siedzi na wielkim granatowym kufrze z mosiężnymi klamrami i napisem „C. Spencer”. Ma na sobie marynarkę w kratę księcia Walii, grube zielone sztruksy i wypolerowane sznurowane buty. Obok na kufrze leży mniejsza walizka z piżamą, podstawowymi kosmetykami i ubraniem na pierwszy dzień w nowej szkole. Jest 12 września 1972 roku.

Widać, że jest spięty, żeby nie powiedzieć – w szoku. Spod rudej grzywki wyziera przepalione smutkiem i strachem spojrzenie. Wszystko tu jest za duże, za dorosłe: ten kufer, ta marynarka, ten krawat. Jakby ktoś kazał temu chłopcu błyskawicznie dorosnąć, a on nie wiedział, jak ma to zrobić. Bo niby skąd?

Zdjęcie zrobił mu ojciec, Edward John Spencer, ósmy hrabia Spencer, zapalony fotograf amator. W tej samej sesji znajdują się jeszcze wspólne zdjęcia Charlesa z ukochaną siostrą Dianą, a także ich ostatnią nianią, Mary Clarke. Jedną z wielu, które opiekowały się czwórką dzieci Spencerów po tym, gdy ich matka zakochana w innym mężczyźnie opuściła rodzinę.

Zanim Charles usiądzie na kufrze, żeby zapoznać ojcu, żegna się ze wszystkim, co kocha najbardziej na świecie: państwem Smith, którzy prowadzą dom, psem Gitsie, koniem Teddym Tarą, azylem swojej dziecięcej sypialni, gdzie wezglowie łóżka ozdobiono naklejkami z bohaterami z kreskówek Disneya, i znajomym krajobrazem.

Żegnając się, płacze „otwarcie, z trudem łapiąc oddech przez ściśnięte gardło”.

Nigdy wcześniej nie spał pod innym dachem, nawet u kolegi. Tymczasem za chwilę po przejechaniu 160 kilometrów ma trafić do zupełnie obcego miejsca, gdzie na stałe mieszka i uczy się 75 chłopców w wieku od siedmiu do trzynastu lat.

Miejsca, do którego rodzice – poza okazjonalnymi uroczystościami – mają zakaz wstępu.

Miejsca, które będzie można opuścić wyłącznie dwa razy w semestrze na niecały weekend, święta oraz w letnie wakacje.

Miejsca, z którego nie można zadzwonić do rodziców, a jedynie raz w tygodniu, pod nadzorem jednego z opiekunów, napisać do nich list.

Miejsca, w którym dorośli będą życzliwi, uśmiechnięci i dowcipni wyłącznie wobec siebie, nigdy wobec dzieci.

Czy można było zapobiec tej katastrofie? Dorosły Spencer odpowiada bez wahania: nie. W jego rodzinie od trzystu lat małe dzieci wysyłano do szkół z internatem. „Tak się robiło”, „tak wypadało”, „tak było dla wszystkich lepiej”. I nikt tego nie kwestionował.

Lord Edward Spencer, widząc, jak bardzo syn przeżywa rozstanie, świadomy, że w wieku dwóch lat został opuszczony przez matkę, nawet przez chwilę się zastanawiał, czy nie zatrzymać chłopca dłużej w domu. Szybko jednak wycofał się z tego pomysłu. Przywiązanie do tradycji wygrało.

Był kochającym ojcem. Co wieczór grał z Charlesem w szachy, czytał mu do snu klasykę brytyjskiej literatury dziecięcej, pozwalał mu gościć kolegów z lokalnej szkółki, a nawet cieszył się tymi wizytami. Jednocześnie był człowiekiem swojej grupy społecznej – staroświeckim, powściągliwym dżentelmenem. Wiernym zasadom i Koronie.

Charles i tak miał szczęście. Jeden z jego kolegów o tym, że idzie do nowej szkoły, dowiedział się na podjeździe, kiedy rodzice wyjęli mu walizkę z bagażnika i oznajmili, że już tu zostaje. Rodzice innego specjalnie wybrali synowi szkołę oddaloną o 500 kilometrów od domu, żeby nie spędzać z nim nawet tych dwóch weekendów w semestrze.

Część ojców i matek posyłających synów do Maidwell „na pierwszym miejscu stawiała swoje konie, na drugim swoje psy, a dopiero na końcu swoje dzieci” – pisze Spencer, cytując słowa dyrektora placówki. „Ci ludzie traktowali opiekę nad potomstwem jako nudny obowiązek zakłócający korzystanie z uroków życia”.

Wielu rodziców zdawała sobie sprawę z tego, że ich dzieciom tego dnia pęka serce, że są przestraszone i niegotowe, w końcu sami przez to przeszli. Dochodzili jednak do wniosku, że taka jest kolej rzeczy i że to pęknięte serce uczyni ich silniejszymi. Zahartuje ich.

Charles Spencer, brytyjski arystokrata, młodszy brat księżnej Diany, syn chrzestny królowej Elżbiety II, długo się wahał, czy wydać wspomnienia ze swojego pięcioletniego pobytu w elitarnej męskiej szkole z internatem Maidwell Hall, do której uczęszczał w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku.

Był świadom swojego przywileju. Nie chciał też, żeby jego historia została odebrana jako opowieść o jednostkowej krzywdzie. I chociaż dziś jego „Szkołę bardzo prywatną” reklamuje się jako literaturę wspomnieniową, to jest ona jak najbardziej opowieścią o systemie. O tym, jak przez wieki łamało się ludzi, po to by mogli służyć Imperium Brytyjskiemu, ludzi, którzy – mogłoby się wydawać – mieli wszystko: pozycję, pieniądze, pochodzenie.

A łamało się ich tak samo jak inne bezbronne dzieci.

„By efektywnie odgrywać swoje role, synowie imperium musieli jak najwcześniej i raz na zawsze zdusić w sobie tęsknotę za domem. Kamienny wyraz twarzy stereotypowego Brytyjczyka, znanego z rysunków satyrycznych, był często efektem hartowania w ogniu szkoły z internatem kauteryzującej emocje. Powstałego w wyniku tego procesu nieczulonego funkcjonariusza można było bez obaw wysłać na placówkę z dala od domu: czy to do Kalkuty, czy to do Kapsztadu, czy Calgary” – tłumaczy Spencer, z wykształcenia historyk.

„Psychicznie pokancerowane ofiary kontynuowały to szaleństwo” i posyłały swoje dzieci do tych samych znienawidzonych przez siebie szkół. Te dzieci piastowały potem i wciąż piastują najwyższe stanowiska, kształtują politykę państwa, odpowiadają za najważniejsze urzędy.

Ostatecznie do napisania książki skłoniły Spencera dwie rzeczy – rozmowy z rówieśnikami, pięćdziesięcio-, sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatkami, którzy jak on przeszli przez piekło Maidwell, jak i odkrycie losów innych, nieżyjących już uczniów.

I mimo że wydaje się oczywiste, iż trauma przeżyta w dzieciństwie nie zna klasy ni stanu posiadania, autor już na wstępie czuł się w obowiązku wytłumaczyć: „Oczywiście mam pełną świadomość, że wszystko, co mnie spotkało w ciągu tych pięciu lat w jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół prywatnych w Anglii, w okresie politycznej i gospodarczej stabilizacji, jest niczym w porównaniu z cierpieniami, jakie dotyczą dziś – i dotyczyły w przeszłości – tak wiele dzieci, które muszą walczyć o przetrwanie w skrajnie trudnych warunkach. Jedyne, co łączy moje uprzywilejowane doświadczenie z doświadczeniami osób zmagających się z trudną sytuacją materialną i wykluczeniem społecznym, to trauma przeżyta w dzieciństwie”.

Łączy go z nimi jeszcze jedno: blizny, które taka trauma potrafi zostawić na całe życie. Te widoczne i te, których nie widać. A także ogromna potrzeba, żeby sprawiedliwości stało się zadość, choćby symbolicznie.

Jak stwierdziła kiedyś brytyjska pisarka Hilary Mantel, cytowana zresztą przez autora: „Nie piszę po to, żeby zabiegać o jakieś szczególne współczucie. (...) Piszę po to, żeby przejąć kontrolę nad swoim dzieciństwem”.

Kiedy kilka lat temu czytałam „27 śmierci To-by’ego Obeda” Joanny Gierak-Onoszko, repортаż o przemocy, jakiej rdzenne dzieci doświadczały w kanadyjskich szkołach z internatem, mój wówczas 10-letni syn, który podczytywał mi czasem tę książkę przez ramię, spytał: „Dla czego oni [dorośli, którym te dzieci powierzono w opiekę] im to robili?”.

Pytanie przekazałam później autorce podczas wywiadu. Odpowiedziała: „Bo mogli”.

Mechanizm jest zawsze ten sam: instytucja podpierająca się wielowiekową tradycją (kościelna lub świecka), zamknięta społeczność, garstka zdegenerowanych dorosłych i milczącej świadkowie.

Tyle wystarczy, żeby dziecku można było zrobić wszystko: poniżać je, znęcać się nad nim fizycznie i psychicznie, molestować, gwałcić. A ostatecznie sprawić, że przesiąknięte przemocą poniesie ją dalej. I będzie ją stosować albo wobec innych, albo wobec siebie.

Niezależnie od tego, czy to kanadyjska szkoła z internatem, irlandzki dom dziecka, ośrodek wychowawczy w Polsce, szkoła dla dzieci migrantów w Australii czy elitarna brytyjska podstawówka, proces łamania dziecka przebiega według tego samego schematu:

uwieść,
przemieścić,
wypłuć.
Bo można.

Psychologowie nie mają wątpliwości, czego potrzebuje ośmiolatek, żeby się zdrowo rozwijać. To przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa, stabilność, przewidywalność. Wsparcie w rozpoznawaniu i regulowaniu emocji. A także bez-

Psychicznie pokancerowane ofiary kontynuowały to szaleństwo i posyłały swoje dzieci do tych samych znienawidzonych przez siebie szkół. Te dzieci kształtują politykę państwa, odpowiadają za najważniejsze urzędy

warunkowa akceptacja. Poczucie, że jest się kochanym niezależnie od osiągnięć i wyników. Jeden dorosły, który potrafi to dać – wystarczy.

Niestety, w Maidwell Hall nie było ani jednej takiej osoby wśród personelu. Nikogo, kto by przytulił, pocieszył, okazał życzliwość, a tym bardziej obronił krzywdzone dziecko.

Byli wyłącznie oprawcy albo milczący poddani. Mężczyźni i kobiety.

Po przyjeździe Charles, podobnie jak pozostali chłopcy, stracił swoje imię. Został Spencere-m. Ewentualnie numerem 64, który widniał na wszystkich jego ubraniach, kołku w szatni, haczyku na ręcznik i plastikowym kubku na szczotkę i pastę do zębów.

Chłopców przepelniała nieustająca tęsknota za domem. Brytyjski pisarz Roald Dahl uważał, że jest ona trochę jak „choroba morską. Nie wiesz, jakie to koszmarnie uczucie, dopóki nie doświadczysz go na własnej skórze, a jak już cię dopadnie, zadaje ci cios prosto w brzuch i masz ochotę umrzeć”.

– Strasznie płakałem. Nie znalazłem tam nikogo, zupełnie nikogo – powie później Spencere-mowi pewien 70-latek, który do Maidwell trafił w wieku siedmiu lat.

Kolega z rocznika przyzna: – Towarzyszyły mi poczucie opuszczenia i lęk ścisakający trzewia. Czegoś takiego nie doświadczyłem nigdy wcześniej i chyba nigdy później.

„W moim przypadku uczucie tęsknoty stanowiło połączenie bólu tak dotkliwego, jakby ktoś wbijał ostrze w moje ciało, z powolnym nieustannym tłamszeniem nadziei i rozsadku – pisze autor „Szkół bardzo prywatnej”. – Przychodziło do mnie falami i kiedy już dawało mi się, że je kontroluję, atakowało ponownie, ze zdwojoną siłą”.

Wiedział jedno: że nie może się rozplakać. Starsi koledzy bardzo szybko poinstruowali go,

że jest to niedopuszczalne i że „jeśli beczysz, to znaczy, że jesteś mięczakiem”.

Pamiętam tę tęsknotę i tę samotność, choć byłam o wiele starsza. Los sprawił, że w wieku lat 17 trafiłam na semestr do brytyjskiej szkoły z internatem dla dziewcząt. Miejsce było bajkowe: stare budynki z czerwonej cegły rozrzucone pośród zielonych pól w południowej Anglii.

Z mojego małego pokoju na piętrze rozciągał się widok na pastwiska poprzecinane żywopłotami, pasące się konie, różane zagajniki. Do dyspozycji miałyśmy boisko do lacrosse, basen zewnętrzny, stadninę i mnóstwo terenów spacerowych. Wewnątrz była świetnie wyposażona biblioteka, świetlica, sala gimnastyczna, dwa korty do squasha i przepiękna pracownia artystyczna.

A jednak w tym rajku było zimno. I nie chodzi o wiecznie niedogrzone pomieszczenia, choć o to też. Po latach dotarło do mnie, że chodziło właśnie o tę „chorobę morską”, o to „doznanie wzbierających wewnątrz lez” – jak to określił George Orwell.

Nie wypadalo o tym mówić, ale też nie było komu o tym opowiedzieć. Było to coś, co po prostu należało zaakceptować i przelknąć. Jak owsiankę na śniadanie i herbatniki o 17.00.

Ta tęsknota i ta samotność dotykała wszystkich i wszystkiego. Najbardziej było ją czuć w weekend, kiedy większość uczennic jechała do domu rodziców, ewentualnie do ciotek, wujków, babć. Nieliczne, które zostawały, w tym zatrudniane co roku młodzieutkie nauczycielki języków obcych, snuły się po tych pięknych terenach i tym zabytkowym budynku, ewidentnie marząc, by być gdzie indziej.

Ta izolacja od świata, od zwykłych spraw, jak choćby zakupy w sklepie spożywczym, była nie tylko archaiczna i sztuczna, lecz również opresyjna. Byłam tam jednak już prawie jako dorosła. Mogłam wrócić, jeśli nie do domu, który nie był najlepszym miejscem na świecie – to do swoich przyjaciół, swojego miasta, swojej starej szkoły, swojego życia. Miałam wybór. Charles Spencer i pozostali chłopcy z Maidwell Hall go nie mieli.

„Każdy z nas musiał znaleźć własny sposób radzenia sobie z samotnością. Jeden z moich kolegów (...), żeby zasnąć, kołysał się rytmicznie na boki. Każdego wieczora mniej więcej przez dwadzieścia minut bujał się, obejmując ciało ramionami, by złagodzić lęki dręczące go w ciemności” – pisze.

On sam od dziewiątego roku życia radził sobie z tęsknotą tak, że od czasu do czasu prowokował wymioty. Rozładowywał w ten sposób nieznosne napięcie, ale chciał też wyzebrać od starszej przełożonej opiekującej się chłopcami w internacie odrobinę współczucia. Na próżno. Babunia Ford, jak ją nazywano, za każdym razem pouczała Charlesa ze złością: „Masz to dokładnie wyszorować, Spencer”. I tyle.

Chłopcom po zgłoszeniu światła nie wolno było rozmawiać. Za złamanie ciszy groziła sroga kara. Odpadało więc wzajemne pocieszanie się i wspieranie.

Po ulgowych pierwszych tygodniach Charles się zorientował, że w Maidwell karę można dostać praktycznie za wszystko:

za niedokończenie posiłku,
za rozlanie czegoś,
zmoczenie butów,
strzepnięcie atramentu z pióra,
zostawienie ubrania w szatni,
spóźnienie się,
zbyt małe zaangażowanie w naukę.

Lista ciągnęła się w nieskończoność. Za mniejsze przewiny dostawało się od dyrektora ręką albo pantoflem ze sztywną po-deszwą. Za poważniejsze, takie jak kradzież, kłamstwo, nieodpowiednie odezwanie się do nauczyciela czy używanie kamieni i patyków podczas bójki – groziła chłosta.

„Służyły do tego dwie trzciniki – Świst i Wizg”. Świst stosowany przez dyrektora na

co dzień „był cienkim, diabelskim narzędziem smagającym pośladki tak, że dosięgał szczytu uda odbiorcy razów. Dyrektor wymierzał karę z wielką siłą, każdy cios brzmiał jak wystrzał z pistoletu i powodował pęknięcie skóry. Z takiej bolesnej, otwartej pręgi sączyła się krew. Piekące rany w pierwszym tygodniu zmieniały barwę z czerwonej na niebieskofioletową, po czym się wybrzuszały i stawały siniakami w kolorze przygaszonego brązu”.

Wizg była grubszą różgą, o większej sile rażenia. A kiedy dyrektor „miał ochotę na coś odrobinę bardziej egzotycznego niż para wierznych kompanów, wychodził do parku okalającego szkołę i z myślą o konkretnej ofercie ścinał łodygę bambusa do jednorazowego użytku”. A następnie strzepił końcówkę, żeby bolało bardziej.

Jeden z kolegów Spencera został kiedyś tak dotkliwie pobity przez dyrektora, że „kiedy krew zaschła na pośladkach, bawełniane majtki przywarły do zmasakrowanej skóry i dopiero wtedy, gdy przełożona wieczorem wstawiła go do wanny, nasiąknięta wodą bielizna odkleiła się od ran”.

Niektórym ślady po tej dyrektorskiej rozrywce zostały do końca życia.

Przemoc była wpisana w kulturę tej dys-tyngowanej instytucji. Dzień zaczynał się od musztry przypominającej obrazki ze szkoły kadetów, a kończył tak zwanym naparzananiem. Punkt 17.50, tuż po kolacji, chłopcy zbierali się w eleganckim hallu, zrzucaли tweedowe marynarki, wybierali przeciwnika i bili się na poważnie i na oślep. O 18.00 spoceni, posiniaczeni, z powykręcanyimi barkami oddalali się do prac domowych. Na co dzień każdy z nich miał nosić przy sobie finkę albo scyzoryk – symbol męskości.

„W latach osiemdziesiątych w Wielkiej Brytanii posiadanie tego typu noży, nawet przez dorosłych, zostało zakazane. U nas w szkole tak mocno wpisały się one w tradycję, że dyrektor kupił nam oselkę i specjalny olej, żeby ostrza naszych noży nigdy nie były tępe” – pisze Spencer.

Przemoc rówieśnicza była na porządku dziennym. Grupa dręczycieli wybierała za swój cel uczniów, którzy się wyróżniali. Zwykle tych bardziej wrażliwych, z nietypowymi zainteresowaniami, słabszych fizycznie. Prześladowcy nigdy nie byli za to karani. Przeciwnie, dorośli po cichu im w ich torturach kibicowali.

Maidwell według Spencera momentami „przywodziła na myśl »Władce Much«, powieść Williama Goldinga o grupie chłopców uwięzionych na wyspie, bez dorosłych, gdzie dochodzi do katastrofalnego w skutkach załamania porządku społecznego”.

Dyrektor John Poch, zwany Jackiem, sadysta i pedofil, któremu codziennie wieczorem należało dostarczyć sześciu lub siedmiu chłopców, żeby mógł ich bić i molestować – z Maidwell uczynił własne państwko, w którym odgrywał rolę „księcia, parlamentu oraz komendanta policji” jednocześnie.

Pomagało mu w tym utrzymywanie szkoły w ścisłej izolacji. Przez kilkanaście lat jego panowania żaden z członków zarządu placówki nie zawitał do Maidwell. Nigdy nie pojawiła się tam zewnętrzna inspekcja. Poch pilnował też, żeby nie dochodziło do żadnej korespondencji pomiędzy rodzicami a innymi nauczycielami. Wszystko szło przez jego ręce. Na koniec każdego semestru wysyłał rodzicom złośliwe, acz dowcipne raporty na temat postępów chłopców. Rodziców one bawiły. Nie podejrzewali, że jest to zasłona dymna, bo czyż tak zabawne-go człowieka można podejrzewać o przemoc?

Światu prezentował się jako gorliwy chrześcijanin, a „jego religijność zapewniała rodzicom spokój ducha”.

Codziennie w szkole prowadził wspólną modlitwę, a w każdą niedzielę nadzorował zbiorowe wyjście chłopców do pobliskiego kościoła na mszę. Nie przeszkadzało mu to, żeby tego samego dnia wieczorem zapraszać swoich „ulubieńców” na „prywatne schadzki” w je-

go gabiniecie. Na tych „schadzkach” chłopcy klęczeli na pufie z opuszczonymi spodniami od piżamy, podczas gdy dyrektor bił ich i molestował na zmianę.

Jak powie później Spencerowi jeden z byłych uczniów: „Porch wcale nie lubił chłopców, lubił im robić krzywdę”.

Nie tylko zresztą on.

Innym oprawcą był nauczyciel łaciny Henry Maude. Wysoki, postawny, przypominał potężnego ogra.

Jego wybuchy były kompletnie nieprzewidywalne. Znienacka rzucał w chłopców kredą. Bił ich otwartą dłońią po głowie, targał za uszy, smagał drążkiem do otwierania okiem. Zdarzało mu się rzucić ucznia w kąt klasy i przewrócić na niego ławkę.

„Gdy zadawał nam ból, wciskał przy tym język w policzek, żeby się lepiej skoncentrować na wykonywanej przez siebie czynności” – pisze Spencer. Zauważa też: „Niemożliwe, żeby nikt z grona pedagogicznego nie wiedział o tych atakach, ponieważ towarzyszące im hałasy niosły się echem po niewielkim budynku szkoły”.

Maude był też trenerem pływania. Najlepszych pływaków zabierał w niedziele przed nabożeństwem „na tajne sesje pływania nago” w basenie albo w pobliskim jeziorze. W tej grupie był również Charles.

„Wtedy traktowaliśmy to jako zaszczyt, ale dziś mam świadomość kryjącej się za tym perwersji – pisze. – Przed wejściem do wody ściągaliśmy majtki, a Maude dołączał do nas z wychekującym uniesionym członkiem. (...) Nie miałem pojęcia o seksualnym podtekście tych wypadów, utrzymywanych w ścisłej tajemnicy, po których Maude kazał nam wycierać włosy do sucha, żeby nikt się nie zorientował, że z nim pływaliśmy”.

Innym nauczycielem budzącym grozę był Thomas Goffe, historyk, który „fizycznie wręcz nienawidził wyższych sfer”. „Pozostaje zagadką, dlaczego zdecydował się na pracę w tym bastionie uprzywilejowanych. (...) Może chciał mieć władzę nad bezbronnymi synami absurdalnie bogatych Brytyjczyków przyprowadzających go o mdłości?” – pyta autor i zaraz oferuje odpowiedź: „Podejrzewam, że [Jack] przyjął tego zapalczywego radykała w szeregi swoich pracowników, ponieważ liczył na to, że ów kipiący gniewem mężczyzna idealnie wpisze się w surową atmosferę szkoły”. I rzeczywiście się wpisał. Goffe specjalizował się w publicznym upokarzaniu uczniów, zastraszaniu ich oraz waleniu ich po głowie ręką z masywnym sygnetem.

Wśród nauczycieli, którzy nie uciekali się do fizycznej przemocy, nie było żadnego, który ośmieliłby się postawić dyrektorowi. Jedni się go bali, innym imponował.

Kobiety – nauczycielki, przełożone, asystentki przełożonych – albo po cichu wspierały kulturę przemocy, albo udawały, że jej nie widzą (żona dyrektora uzależniona od środków uspokajających oddawała się pielęgnowaniu róż), albo czynnie w niej uczestniczyły (Babunia Ford kazała chłopcom, którzy zmoczyli łóżko, defilować z mokrymi prześcieradłami przez cały korytarz).

Największa krzywdą spotkała Charlesa Spencera właśnie ze strony kobiety – młodej asystentki przełożonej, która najpierw go uwiodła, potem przemielila, a następnie wypłuła. Zyniając z niego i kilku innych jedenasto-, dwunasto- i trzynastolatków swój prywatny harem.

„W czasie pobytu w Maidwell byłem za mały, żeby mieć jakiegokolwiek porównanie: znałem tylko takie życie i nie miałem pojęcia, że może istnieć szkoła z internatem pełna troski i życzliwości. Zakładałem, że środowisko, w którym przyszło mi funkcjonować, jest zupełnie normalne” – stwierdzi później Spencer.

Gdy w 1978 roku napisała do niego niania, która była przy tym, jak odjeżdżał do szkoły, i zapytała go w liście o samopoczucie, po-

chwalił się kilkoma osiągnięciami naukowymi i sportowymi. Ani słowa więcej. Nie dysponował „żadnymi narzędziami ani punktem odniesienia pozwalającym zrozumieć, przepracować czy wyjaśnić ciemną stronę mej-sca”, w którym spędził pięć lat. „Nie znałem takich pojęć jak przemoc fizyczna, psychiczna i seksualna, a już na pewno nie wiedziałem, że to przestępstwa”.

To częściowo tłumaczy, dlaczego znaczna większość chłopców, w tym sam Spencer, nie mówiła nikomu o tym, co ich spotkało w Maidwell. A jeśli nawet przeczuwali, że nie jest to normalne, to będąc dziećmi, przypisywali winę sobie i pograżali się w paraliżującym wstydzie. Nieliczni, którzy czuli, że dzieje się im krzywda, i próbowali zainteresować tym rodziców, często słyszeli, że wymyślają i żeby nie przesadzali. Kilku osobom udało się wyrwać ze szkoły, lecz nie dlatego, że im uwierzono, ale dlatego, że nagle, „nie wiadomo skąd”, doświadczyli poważnego załamania nerwowego.

W Maidwell na porządku dziennym było wyśmiewane i karane moczenie nocne – typowy objaw stresu. W „mojej” dziewczęcej szkole cichą epidemią były zaburzenia odżywiania – anoreksja i bulimia.

Większości chłopców cenę za lata spędzone w Maidwell przyszło zapłacić później, w dorosłym życiu. O ich wewnętrznych torturach nie



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE CHARLES A SPENCERA

• **Maidwell Hall, czyli „staroświecki, snobistyczny, bezlitosny mały świat stworzony przez brytyjską arystokrację”**

wiedziało ani ich rodzeństwo, ani przyjaciele, ani partnerki czy partnerzy, ani dzieci. Przemoc – fizyczna, psychiczna i seksualna – po cichu „zjadała” ich od środka.

Charles Spencer dziś, pół wieku po tamtych wydarzeniach, przyznaje: „Jakaś część mnie umarła w Maidwell”. Ewentualnie: „Tam utraciłem dzieciństwo”. Ale droga do zrozumienia, jakich krzywd tam doświadczył, zajęła mu długie lata.

„Dopiero w średnim wieku uświadomiłem sobie skalę zniszczeń, jakie w dzieciństwie zostały poczynione w moim życiu” – pisze. Dołącznie w wieku lat 42. Wtedy, po rozpadzie kolejnego małżeństwa, z poczuciem porażki i narastającego cierpienia, zdecydował się na terapię. Kolejną, ale pierwszą, podczas której przytomny terapeuta pytał go nie tylko o relacje z rodzicami czy z macochą, ale również o jego wczesnoszkolne doświadczenia. I nie dał się zwieść wesołymi anegdotkami o Maidwell, które Spencer zaserwował mu na początku. Ów terapeuta uświadomił mu też, że Jack był dla niego zastępczym ojcem. Dla niego, a także dla innych chłopców, których przez lata krzywdził.

„Trauma to doświadczenie bezsilnych – pisze w swojej książce „Trauma. Od przemocy domowej do terroru politycznego” wybitna amerykańska psychiatra Judith Herman. – W momencie traumy ofiara jest bezradna wobec przeważającej siły. Kiedy jest to siła natury, mówimy o katastrofie. Kiedy jest to siła drugiego człowieka, mówimy o zbrodni. Traumatyczne wydarzenia naruszają zwykły porządek,

w którym człowiek ma poczucie kontroli, bliskości z innymi i sensu”.

Przewlekła, powtarzająca się trauma relacyjna, a tym jest przemoc – fizyczna, psychiczna i seksualna ze strony opiekunów – wpływa na cały rozwój dziecka. Według psychologów zajmujących się tym zjawiskiem dorośli na skutek takich doświadczeń mogą mieć kłopoty z rozumieniem i regulowaniem emocji – mogą odciąć się od nich, tłumić je albo wyrażać w sposób impulsywny. Mogą doświadczać chronicznego lęku, złości, a nawet furii. Wstydu, poczucia beznadziei, włącznie z myślami samobójczymi. Mogą mieć niskie poczucie własnej wartości, jak i w ogóle nie bardzo wiedzieć, kim są. Często mają też duże problemy w relacjach z innymi charakteryzujące się brakiem zaufania i trudnościami w utrzymaniu bliskości.

Dość typowe jest odcięcie od własnego ciała, nieumiejętność odczytywania sygnałów, które z niego płyną. A także ciągle napięcie i wzmożona czujność. To dlatego osoby z takim doświadczeniem tak często szukają ulgi w alkoholu i w innych substancjach psychoaktywnych.

Mają też tendencje do autodestrukcji: okaleczają się bądź podejmują ryzykowane zachowania seksualne. U wielu dorosłych, którzy doświadczyli krzywdzenia w dzieciństwie, rozwijają się chroniczna depresja i lęk oraz inne za-

Punkt 17.50, tuż po kolacji, chłopcy zbierali się w eleganckim hallu, rzucali tweedowe marynarki, wybierali przeciwnika i bili się na poważnie i na osłep

burzenia psychiczne. Praktycznie wszyscy mają trudności z dbaniem o siebie, z okazywaniem sobie troski.

„W zmaganiach dorosłego życia doświadczenia dzieciństwa stają się coraz większym ciężarem – pisze Herman. – W końcu, często w trzeciej albo w czwartej dekadzie życia, system obronny osoby, która doświadczała krzywdzenia, zaczyna się kruszyć. Bezpośrednią przyczyną może być zmiana w bliskiej relacji: koniec małżeństwa, narodziny dziecka, choroba albo śmierć rodzica”.

Czasem tym momentem jest też obserwowanie dorastania własnych dzieci. Jeden z kolegów Spencera załamał się psychicznie, kiedy jego syn obchodził dziewiąte urodziny. Dotarło do niego, że w tym wieku został wykorzystany przez nauczyciela. Bolesne wspomnienia wróciły wraz z tortem urodzinowym własnego dziecka.

Optymistyczne jest to, że – jak twierdzi Herman – „większość osób, które doświadczyły przemocy w dzieciństwie, nie krzywdzi i nie zaniedbuje swoich dzieci. Wiele z nich jest przerażonych, że ich dzieci spotka taki sam los, i bardzo się starają, żeby do tego nie dopuścić”.

Spencer żądne go z siódmymi swoich dzieci nie posłał do szkoły z internatem. Zatrzymał wielowiekową tradycję. Zgodził się tylko, kiedy dwaj jego synowie, w wieku lat 14 i 15, sami wyrazili taką chęć. Wszystkim dzieciom przykazał zaś: „Jeśli kiedykolwiek jakiś dorosły powie-działby wam, że macie czegoś nikomu nie mówić, natychmiast mi o tym powiedzcie”.

Zachwycił się, kiedy któregoś razu trójka jego najstarszych dzieci wróciła z przedszkola z kartkami, na których narysowały siebie. Nauczycielka powiedziała im: „Teraz posłuchaj-

cie. To jesteście wy, to jest wasze ciało i nikt nie ma prawa go dotykać, chyba że się na to zgodzicie”.

„Treść tego doskonałego przekazu (...) była całkowitym zaprzeczeniem kultury przemocy fizycznej i seksualnej panującej w Maidwell” – zauważył.

„Szkoła bardzo prywatna” nie jest pierwszą relacją o przemocy w elitarniej brytyjskiej edukacji. Kiedy w 2013 roku Alex Renton, znany brytyjski dziennikarz, trafił na artykuł w „Daily Mail” o tym, że w jego dawnej szkole, Ashdown House, do której chodził między innymi były premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, prowadzone jest dochodzenie w sprawie przemocy i przestępstw seksualnych, coś w nim pękło.

Rok później opublikował głośny tekst, w którym opisał swoje traumatyczne doświadczenia z tej placówki, i od tamtej pory stał się niejako głosem pokrzywdzonych w elitarnych szkołach z internatem.

Na bazie wielu rozmów, które toczą się do dziś, i tysięcy wiadomości, które do niego spływają, Renton napisał kolejne teksty obnażające patologiczny system, a potem książkę. Wyprodukował też programy telewizyjne i radiowe, w tym świetny podcast „In the Dark Corners”, w którym poruszył kwestię nadużyć między innymi w kuźni elit, czyli w Eton College, a także w wielu innych prestiżowych instytucjach. Twierdzi, że w bazie danych ma dziś 1600 zarzutów zgłoszonych mu przez byłych uczniów i byłe uczennice z ponad 700 szkół w całej Wielkiej Brytanii, w większości prywatnych.

Niektórzy pokrzywdzeni dochodzą sprawiedliwości na drodze sądowej. Kilku oprawców udało się doprowadzić przed stan oskarżenia, doszło do paru ugód, ale wiele dochodzeń wciąż jest w toku. Niektórzy sprawcy zniknęli z kraju, głównie z RPA, wielu już nie żyje.

Alex Renton, podobnie jak Charles Spencer, jest pierwszą osobą w rodzinie od siedmiu pokoleń, która nie wysłała swoich dzieci do szkoły z internatem. W „In the Dark Corners” mówi, że żałuje jednego: że nie opowiedział swojej historii dużo wcześniej. Dzięki temu być może mógłby ocalić kolejne ofiary, bo proceder krzywdzenia często ciągnął się latami. A jeśli nawet wyszedł na jaw, sprawca, podobnie jak w Kościele, często ze świetnymi referencjami był po cichu przenoszony do innej szkoły, gdzie mógł dalej realizować swoje sadystyczne i pedofilskie zachcianki.

Renton za chwilę się jednak reflektuje: „Ale co my w sumie mogliśmy? Byliśmy tylko dziećmi. To dorośli – nauczyciele, rodzice, zarządcy – powinni byli zainteresować”.

Charles Spencer zadedykował „Szkolę bardzo prywatną” Bzykowi. Tak lubiła na niego mówić matka w czasach sprzed szkoły z internatem, ponieważ „kipiał energią ruchliwej pszczoły”.

„Ale w Maidwell niewiele osób miało okazję zobaczyć tę jaśniejszą stronę mojej osobowości – pisze. – Niewinność, zaufanie, radość – wszystko to zostało zdeptane i stłumione w staroświeckim, snobistycznym, bezlitosnym małym świecie stworzonym przez brytyjską arystokrację”.

Zdaje się, że ta najważniejsza książka w dorobku historyka jest prezentem dla tamtego kilkuletniego rudzielca, który siedzi przerażony na granatowym kufrze. Żeby wiedział, że któregoś dnia znajdzie się jednak dorosły, który stanie w jego obronie. ●

Charles Spencer, **„Szkoła bardzo prywatna. Moja elitarna brytyjska edukacja”** (tłum. Zofia Szachnowska-Olesiejuk). Książka dostępna na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booka na Publio.pl.



Artur Nowak

Matka nauczyła mnie, żeby się nie zapiekląć. Czasem, kiedy czekasz za długo z „przepraszam”, robi się twarda skorupa, pod którą serce traci język. I przestajesz mówić jak syn, jak córka, ktoś bliski. Lepiej nie czekać, bo może zabraknąć tych, których przeprosić należy. Ojczym pokazał mi inną lekcję: że z wódki można wyjść. Że nawet jak się po drodze wszystko rozwalilo, to można jeszcze raz wstać od stołu, na którym od lat stoi ten sam kieliszek.

Choć niewiele nauczyłem się na jego błędach wtedy, kiedy je popełniał, z czasem coraz bardziej go doceniam. Były dni, kiedy ewakuowałem go z knajp, w których parkował po pracy. I był czas, kiedy role się odwróciły: to on odbijał mnie z melin, w których ja próbowałem utopić siebie.

Ja miałem terapeutów, książki Osiatyńskiego, mapy i instrukcje obsługi mojego bólu. On nie miał nic – tylko wstyd i złość, ten stary, męski pakiet startowy. A jednak któregoś dnia po prostu przestał pić. Bez fanfar, bez posta w internecie, bez grupy wsparcia. Jakby cicho podjął decyzję, że dalej już nie idzie, że ten kieliszek to ostatni rozkaz, którego nie wykona. No i wywalił ten stół. Im dłużej o tym myślę, tym większy mam do niego szacunek.

To były lekcje, które przysły do mnie dopiero po latach, jak spóźnione listy. Pomogły mi w najtrudniejszych momentach: w zwycięstwach nad sobą i nad własnym gniewem, kiedy miałem ochotę zrzucić na wszystkich dookoła odpowiedzialność za to, jak mi jest. Pomogły też zostawić w cudzie niepamięci to, co trzeba pogrzebać, żeby nie pielęgnować porażek i żalów jak roślinek w doniczkach.

Wciągam rękę po jeszcze ciepłego piernika

Święta są corocznymi refrenami naszych historii. To zbiorowa medytacja nad domami, z których wyszliśmy. Każde nakrycie przy stole jest kolejną próbą odpowiedzi na pytanie, kim właściwie jesteśmy.

W szafie z obrusami, na poślódkach kartkach z przepisami pisanymi ręką matki – „piernik: tylko ten”, „makowiec: nie oszczędzać na bakaliach” – jest nasza pamięć. To nie tylko zapachy. Czasem wyciągam te kartki bardziej dla jej charakteru pisma niż dla samego przepisu. Wtedy wracają pojedyncze kadry: stukot maszyny do mięsa, kolejka do trzepania dywanów, jakby na podwórku odbywał się zlot Aladynów, głos sąsiadki za ścianą, która odprawia męża przed zakupami, jakby posyłała go z misją specjalną.

Stoję w kuchni i siekam sałatkę. Pierogi mam kupione w osiedlowym barze, barszcz z kartonu doprawię czosnkiem i majerankiem. Odkąd żyję na swoim, nie poszczę, nie wariuję. Nikt mi nie kazał, samo się rozpuściło. A jednak, kiedy tylko zamajaczy gdzieś w oddali kołoda albo zamigoce w grudniowym tle jakaś ozdoba, w głowie otwiera się tamten stary film, w którym matkę łapał świąteczny obłęd.

Napieklą pierników i makowców, nastawiła wielką miskę sałatki, a my – głodni i źli – krążyliśmy po domu jak psy pod stołem. Szorowała każdy kąt ze „świętego kurzu”, pluła kryształ, jakby od blasku szkła zależało zbawienie świata. Do dziś pamiętam gryzący zapach octu zmieszany z olejem po smażonej rybie. I tę coroczną scenę: wyciągam rękę po jeszcze ciepłego piernika, a matka, z mąką na rękach od ciasta na pierogi, klepie mnie po palcach ścierką.

– Odlóż, to na święta – mówi. Jakby piernik zjedzony o siedemnastej mógł rozmontować boski plan.

Były też sceny jak z rodzinnej komedii. Ojciec co roku przysięgał, że „tym razem kar-



„Tato, tylko na chwilę, bo jutro wyjeżdżamy w góry”. Mam 52 lata i uczę się samotnej Wigilii.

pia nie będzie”, po czym wracał o świcie z wiaderkiem, klnąc pod nosem i tłumacząc, że „tak jakoś wyszło, ale on zabijać nie będzie”. No i szukaliśmy po sąsiadach kata tych biednych ryb.

Gdy zaczynamy błagać, żebrać o bliskość, o uwagę

Te nowe święta które przysły z naszymi dziećmi, są jakby bardziej w kalendarzu niż w sercu. I może lepiej nie narzekać, żeby i tego nie stracić: córka wpada jak po sól – szybko, w biegu, z silnikiem jeszcze ciepłym. Przynosi ciasto z cukierni w galerii, jedną ręką miesza cukier w herbacie, drugą odpowiada na służbowego maila.

– Tato, tylko na chwilę, bo jutro wyjeżdżamy w góry.

Syn, jeśli się pojawi, to z plecakiem przeznaczonym przez ramię, prosto z dworca. A jeśli nie, odzywa się z ekranu: macha do nas z jakiegoś lotniska, pokazuje plastikowego renifera w strefie bezcłowej.

– U nas też świątecznie – mówi, a za nim w tle ktoś ogłasza kolejny boarding.

Czasem łapię się na tym, że mam w głowie całe gotowe kazanie. Patrzę, jak córka miesza herbatę, a telefon leży obok talerza jak dodatkowy sztuciec. Co chwilę miga, brzęczy, coś od niej chce. W gardle rośnie mi zdanie: „Odlóż to wreszcie, popatrz na mnie, jestem tu”.

Zamiast tego pytam ją o coś głupio-normalnego: w jakiej knajpie była ostatnio z przyjaciółmi, co ją ostatnio rozśmieszyło. Widzę, jak jej twarz mięknie, jak znika mina „zaraz będzie kazanie”. Przez chwilę znowu jest tą samą dziewczynką, która siadała ze mną na dywanie i opowiadała o szkole, pokazując rysunki.

Myślę sobie, że może na tym polega dorosłość rodzica: żeby choć raz powstrzymać się od wielkich słów i nie żądać od dziecka, żeby ratowało nasze samotności. Żeby dać mu prawo po prostu być, a nie wypełniać nasze braki.

Najwięcej szkody robimy wtedy, gdy zaczynamy błagać, żebrać o bliskość, o uwagę: „bądź ze mną”, „pamiętaj o mnie”, „odzywaj się częściej”.

W takich słowach kryje się przemoc, jakby teraz trzeba było zapłacić za to, że byłeś kiedyś dzieckiem. I to pogłębia dystans. Tak jest zawsze, gdy cudza potrzeba staje się workiem pretensji, które w ramach pokuty masz nałożyć w te święta.

W głowie ktoś układa sobie całe scenariusze: „przyjadą, posiedzą, porozmawiamy jak dawniej”. A potem sięga po telefon i zaczyna wysyłać sygnały: „Pamiętaj, że na Wigilię trzeba być”, „Może w tym roku byś została dłużej?”.

No i co oni o nas myślą? Że to nie jest wieczka „na karpia”, ale do całego pakietu rodzinnych scen, niedopowiedzianych pretensji i żartów, które dawno przestały być śmieszne. Uciekają od ciężaru, którego nie potrafią unieść – od poczucia, że mają wypełniać czyjeś emocjonalne braki.

Może lepiej, miast komenderować, proponować: „Nakryj też dla ciebie. Jak dasz radę, wpadnij”. Bez szantażu, bez dopisków, „bo może to już ostatnie święta”.

I właśnie wtedy, najciszej i najzwyczajniej, inni zaczynają do nas wracać. Bo mogą usiąść w dresie, bez makijażu. Podjeść sałatkę prosto z miski, zasnąć na kanapie przy „Kevinie”. Wtedy święta naprawdę stają się tym, czym miały być: zawieszeniem broni, a nie sprawdzianem lojalności.

Długie stoły z ludźmi bez wspólnego nazwiska

Mój przyjaciel ma 80 lat. Rozmawiamy codziennie. Opowiada o świecie, którego już nie ma.

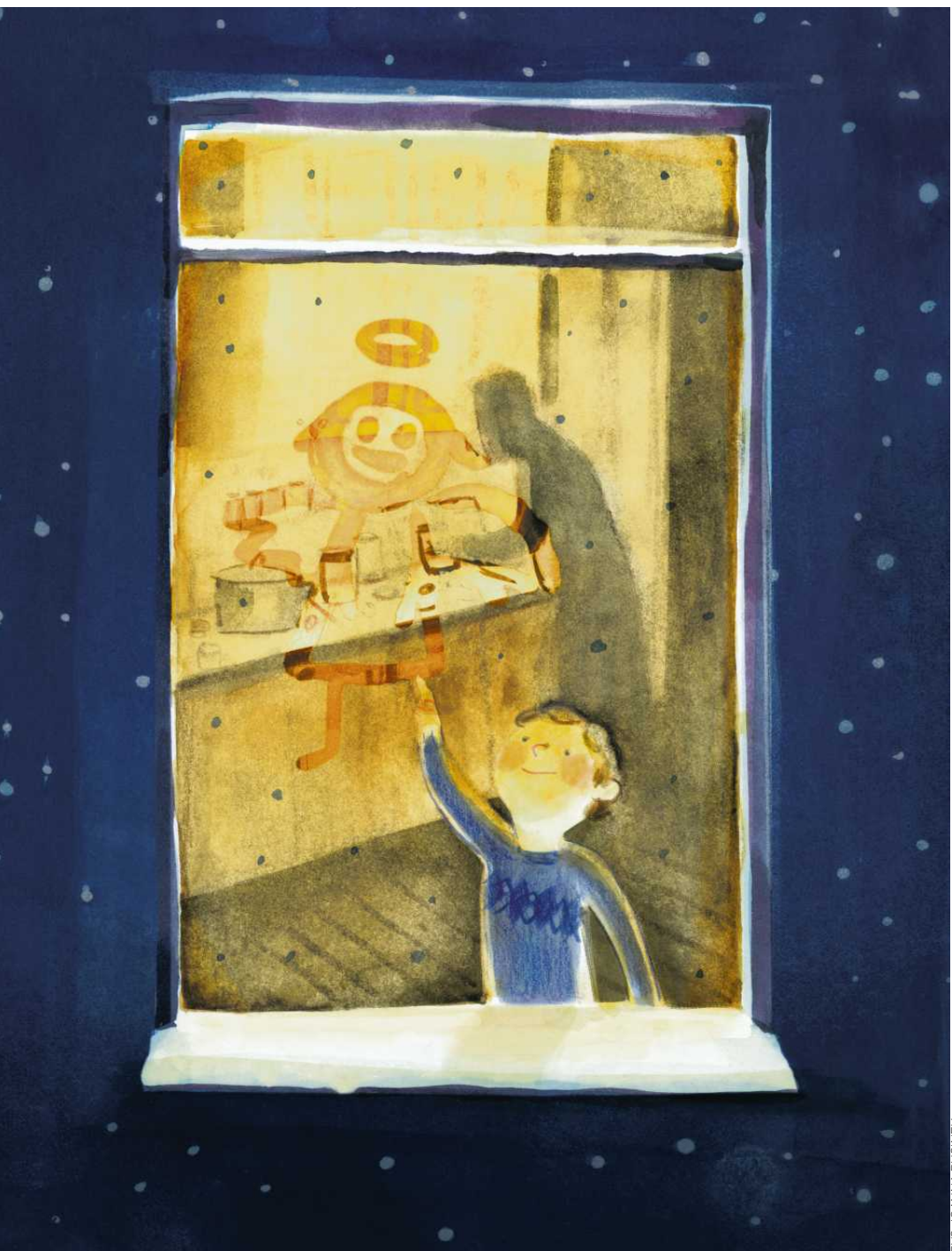
– Matka co tydzień zapraszała bezdomnych – wspomina z uśmiechem. – Śmierdziało w tej chacie tak, że wytrzymać nie szło. Ale gotowała im nie gorzej niż nam. Ona naprawdę na poważnie traktowała to przykazanie o miłości bliźniego. Karciła nas, żeby w Wigilię się nie śmiać, bo to czas podniosły. Do świąt się pielgrzymowało, a nie wpadało jak na przystanek przesiadkowy przed Nowym Rokiem.

Kiedy o tym rozmawiamy, widzę, że on jest gdzieś daleko. Jego wzrok wylapuje z oddali czasu i kilometrów tamten Śląsk, jakby chciał odwiedzić miejsca, zobaczyć rzeczy, których już dawno nie ma.

Opowiada mi o swoich sąsiadach. W Wigilię siadali razem na klatce. Pracowali w komitywie: mężczyźni czyścili do pucu podłogę na korytarzu, ustawiali stoły, kobiety pichciły. Wcześniej było losowanie prezentów, rozpisanie na role jasełka. Każdy dostawał jakiś kawałek: jeden był tylko bydłem, drugi aż Jezusem. I tak po prostu, serdecznie, z radością, te spontaniczne spotkania ich sklejały.

W ostatnich latach zdarzało mi się siedzieć przy długich stołach z ludźmi bez wspólnego nazwiska, ale z podobnymi bliźniami. To towarzysze świątecznych biesiad po rozwodach, dorosłe dzieci z domów, w których nikt już nie piecze makowca „z tego przepisu babci”. Każdy przynosił coś od siebie: trochę sałatkę, trochę ciasta, trochę swojej historii.

Ktoś wchodzi w swetrze dobranym przypadkiem, ktoś inny wbija się w garnitur. Ktoś śmieje się za głośno, ktoś ucieka przed blisko-



RYŚ: JOANNA RUSINEK

ścią do kuchni, żeby coś posiekać, coś pomieszać.

Patrzę na te sceny i myślę, że może to jest kawałek nowego świata, który wcale nie jest taki zły. Że rodzina to nie tylko ci, którzy dali nam geny i nazwisko, ale też ci, przy których nie musimy udawać, że wszystko jest dobrze. Że wolno się rozsypać, nie tłumacząc się z tego nikomu. Może właśnie tu, przy tych poskładanych na szybko stołach, rodzą się święta na miarę naszego czasu.

Kasujesz okno, przesuwasz dalej

Alternatywą, od której nie ma odwrotu, są telefony. Kiedy nie widać, że lecą łzy, nie słysząc, jak łamie się głos, można pozwolić sobie na tani odpust bliskości: wykrzyczane na klawiaturze wyznania, znaczące emotki, akceptację podpisaną lajkami. Wszystko niby jest – kontakt, „znajomi”, „obserwujący” – a jednak między jednym powiadomieniem a drugim zostaje tylko to nieznośne uczucie, że nikt tak naprawdę nie był przy mnie.

A kiedy robi się niewygodnie – gdy druga strona zaczyna być zbyt prawdziwa, zadaje pytania, na które nie ma prostych emotek – znikaś jak niewydarzona historia. Kasujesz okno, przesuwasz dalej. Bo łatwiej uciec w kolejny czat niż zostać tam, gdzie ktoś naprawdę zobaczy, że cię boli.

Mam 51 lat i jeszcze pamiętam, jak wybierało się numer, obracając ciężki, chropowaty cyferblat. Jako jedni z pierwszych w klatce schodowej mieliśmy telefon, do którego ustawiała się kolejka: sąsiedzi w papciach, z kapownikiem pełnych numerów w ręku.

Ta cisza, kiedy ktoś po drugiej stronie zastanawiał się nad odpowiedzią, niosła więcej emocji niż tysiąc zdań. Słyszało się czyjs oddech, szmer w tle, jakiś garnek stawiany na ku-

Mam znajomą lekarzkę, która w każde święta poluje na dyżur – byle tylko ominąć wigilijne spotkanie z matką

chence. Rozmowa miała początek i koniec. Odkładało się słuchawkę i naprawdę wracało do swojego życia, zamiast nosić w kieszeni pół świata.

Dziś wszyscy klikają – w tramwaju, w łóżku, w pracy, w kościele, przy wigilijnym stole. Można przeżyć cały dzień, „rozmawiając” z dziesiątkami osób, nie wypowiadając ani jednego zdania na głos.

W tamtym świecie matka rozstawiała na kredensie kartki świąteczne. Docierały przed pierwszą gwiazdką, punktualnie jak japońskie metro – z Monachium, Chicago, Rotterdamu. Chodziło się z opłatkiem do sąsiadów. Prezenty pakowane powoli zdradzały nasze przywary: niezdarność, nadgorliwą perfekcję.

Dziś wystarczy kliknąć jakąś rzecz z kalendarza „kup teraz na prezent” i wszystko dzieje się samo: zapakuje się samo, trafi do paczkomatu samo.

Wysyłasz wiadomość – jakieś ładne zdania krążące po sieci, cytaty przekazywane od innych i dedykowane kolejnym, bo „są takie piękne”.

Byle tylko ominąć wigilijne spotkanie z matką

Wiele z nas ucieka w ciepłe kraje. Do miejsc, gdzie „Merry Christmas” jest tylko dekoracją

na kubku albo zakazanym frazesem w regulaminie hotelu. Gdzie święta zlewają się z masażami, basenami i obietnicą „nowych wrażeń”. Można się schować za kremem z filtrem i udawać, że grudzień to tylko kolejny miesiąc, a nie rachunek sumienia zbiorowej pamięci.

I jest w tym uciekaniu coś rozpaczliwie wygodnego. Zamiast pojedynków na miny przy stole – kolejka po drinki w barze all inclusive. Zamiast pola minowego tematów, które trzeba omijać („na kogo głosowałeś?”, „kiedy ślub?”, „czemu znowu jesteś sam?”) – uprzejma, hotelowa rozmówka o niczym, w której nikt nie wbija szpili pod pozorem troski.

Mam znajomą, która w każde święta poluje na dyżur – byle tylko ominąć wigilijne spotkanie z matką. Z wyprzedzeniem sprawdza grafiki, dzwoni, proponuje podmiany: „ja wezmę całą noc, jak chcesz, nawet od rana”. Woli szpitalne świetlówki od blasku choinki w salonie.

Widziała niejedną śmierć, zna ten moment, kiedy monitor przestaje pikać, a ciało cichnie. Potrafi spokojnie, prawie rzeczowo, powiedzieć rodzinie: „to już niedługo”.

Ale nie jest w stanie unieść przelamania się opłatkiem z osobą, która zna ją od pierwszego krzyku. Łatwiej jej wytrzeć komuś czoło na oddziale, niż spojrzeć matce w oczy nad makowcem, kiedy w powietrzu wisi wszystko, czego nigdy sobie nie powiedziały.

Podświadomie, a czasem całkiem świadomie ostrzemy słowa jak noże. Winiąc tych, z którymi siedzieliśmy przy jednym stole jako dzieci – za to, że dziś jesteśmy inni, nieprzyzadalni, rozstrojeni. Wrzucamy w nich całe nasze zmęczenie, terapię, internetowe diagnozy, jakby to oni byli jedynym źródłem wszystkich pęknięć.

Łatwiej zbudować sobie mit „toksycznej rodziny”, od której trzeba się odciąć, niż przyznać, że wciąż boli nas to, że kiedyś było też dobrze. I że właśnie dlatego tak trudno dziś wrócić do stołu, przy którym ktoś wciąż czeka.

Bo czasem – w tej świątecznej ciszy – wraca pytanie: kogo nam tak naprawdę brakuje?

Starych ludzi, którzy potrafili przyjąć wszystko i jakoś to pomieścić w sercu?

Czy siebie samych sprzed lat – miękkich, ufnych, jeszcze niepochwytanych na kawalki doświadczeniami, rozczarowaniami, rolami do odegrania?

Zamiast spróbować cierpliwie rozplątać ten nasz mały węzeł gordyjski, uciekamy. W pracę, w ekran, w ciepłe kraje – byle tylko nie usiąść naprzeciwko siebie i nie zapytać: „kogo tak naprawdę dziś oplakuję?”.

Święta są jak pęknięcie w czasie – szczelina, przez którą wylażą dawno zakopane żale. Kto zawinił. Kto pierwszy upuścił słowo, które zraniło. Kto nie przyszedł, kto nie zadzwonił, kto zbyt długo milczał.

Mnie brakuje staruszków

Moja przyjaciółka, taka już mocno po siedemdziesiątce, mówi mi, że umiera z nienawiści, którą „dostaje” od siostry w każde święta, i pokazuje jakieś straszne esemesy, że gdyby nie ich ojciec, byłaby nikim. – Czemu ona mi to robi? – pyta ze łzami w oczach.

Są też domy, do których naprawdę nie trzeba wracać. Były jak rozbujana lajba, w której święta zamieniały się w coroczny test wytrzymałości.

Kiedy słyszę: „rodzina to świętość, a na święta trzeba być razem”, coś we mnie się buntuje. Bo wiem, że dla niektórych ludzi najbardziej świętą decyzją jest właśnie to, że nie jadą. Że wybierają dyżur, samotny spacer po pustym mieście, obiad z przyjaciółmi albo zwykły wieczór z książką – byle tylko nie wchodzić znowu w rolę, które kaleczą.

Czasem najodważniejszym gestem miłości wobec siebie jest zamknięcie za sobą drzwi domu rodzinnego i powiedzenie: „dość”. I to też może być bardzo świąteczne.

Mnie brakuje staruszków. Ojczym siadał przy oknie po przywiezieniu choinki i kar-

pi. Zawieszał wzrok na drodze, wypatrując pierwszej gwiazdy.

Ojciec przeproszał za każdy rok. Matka, urobiona świętami, nie miała siły na melanchoлию.

Jakoś te role się odwracały. Był kobietą, ona – facetem. Stary pijak nauczył mnie, że tak trzeba.

Myślę czasem, ile bym opowiedział swojemu ojczymowi z tego, co nie zostało powiedziane. O jakie sprawy zapytałbym mamę. I w końcu – o co zapytałbym własnego ojca, który odszedł, kiedy miałem dwa lata.

Pamiętam mojego ojczyma, siłacza, który przez lata „wszystko mógł załatwić”: urzędy, papiery, telefony, cudze kłopoty. Był z tych mężczyzn, co zawsze „wiedzą jak”, mają numer do kogo trzeba i słowo, które otwiera drzwi.

W nasze ostatnie wspólne święta siedział przy stole jakby przygaszony, ściszony o kilka tonów. Patrzył na nas uważniej niż zwykle, jak ktoś, kto próbuje zapamiętać twarze przed długą podróżą. A my robiliśmy to, co tak często robi się z lękiem starych ludzi – zmienialiśmy temat, zagadywaliśmy ciszę, zapewnialiśmy, że będzie dobrze.

Dziś żałuję, że nie usiadłem wtedy obok niego naprawdę, nie zapytałem, czego się boi. To miało być tylko jeszcze jedno „normalne” Boże Narodzenie, a wyszło z tego pożegnanie. Byle jakie pożegnanie. I myślę sobie, że właśnie tak działa pamięć: wraca po latach nie po to, żeby nas ukarać, ale żeby zapytać, co zrobimy z tym wszystkim teraz – kiedy jeszcze wciąż mamy kogoś, kogo można przytulić, przeprosić, wysłuchać do końca.

Może staruszków brakuje mi dlatego, że oni – nawet kiedy życie było twarde – mieli w sobie pewien rodzaj łagodności, której nie umiemy już znaleźć ani w sobie, ani w innych. Ciepła dłoń położona na głowie, nieporadne „nie martw się, jakoś to będzie” czy milcząca obecność przy stole, kiedy świat się walił, a oni tylko dolewali zupy, jakby tym gestem chcieli zakłąć rzeczywistość.

Wolę pamiętać to, co dobre: ich drżące ręce nalewające tę zupę, polamany opłatek, nieporadne „uważaj na siebie” rzucane w drzwiach. Z tych małych, czasem kulawych gestów próbuję zbudować inną opowieść dla mojej córki – taką, w której czułość nie jest już luksusem, tylko czymś oczywistym.

W końcu zadzwonił

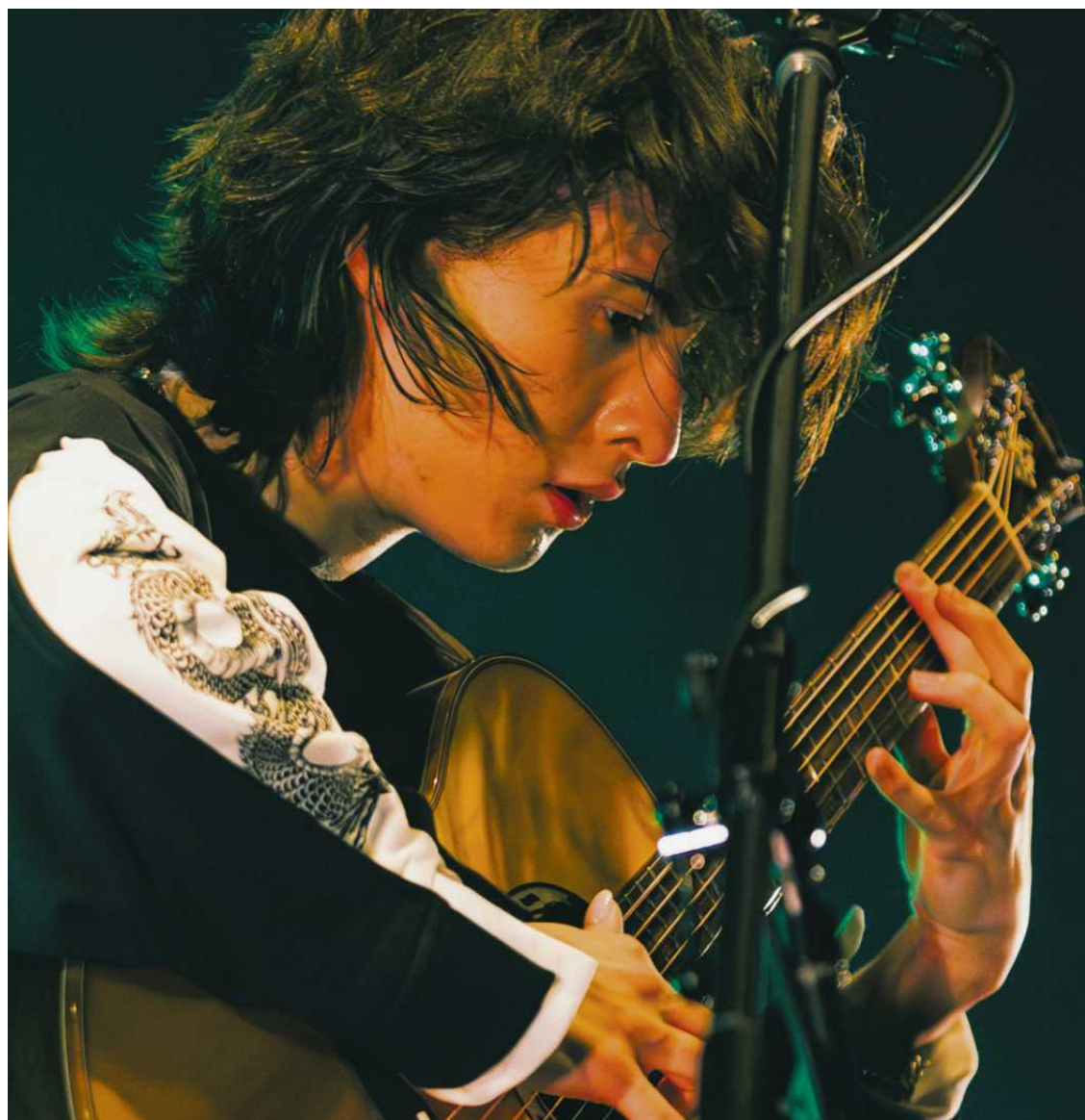
Jest taka historia, która wraca do mnie, kiedy myślę o świętach. Miałem kolegę, miał ojca, którego nie widział od lat. Niby życie szło dalej, ale coś mu w środku cały czas mówiło, że jest tu nie tak, jak powinno. Że nawet jeśli są winy i żale, to przecież nie można tak tego zostawić – bo się ten żal zasiedzi, zardzewieje i będzie go w nim więcej niż tamtych dobrych wspomnień, które jednak były: z parku, kiedy ojciec prowadził go za rękę, z pierwszego zbudowanego razem szalasu, z boiska, gdzie kopali piłkę i cieszyli się jak wariaci, kiedy strzelili nasi.

W końcu zadzwonił kiedyś w Wigilię do ojca. Powiedział: „Słuchaj, nie będę udawał, że wszystko jest okej. Ale jak cię kiedyś zabraknie, nie chcę sobie pluć w brodę, że nie spróbowałem”. Ojciec milczał tak długo, że kolega pomyślał, że się rozłączyli. W końcu usłyszał: „To przyjedź po barszcz”. Pojechał.

Nie wyjaśnili sobie za dużo. Może nawet nie wyjaśnili niczego. Ale jak potem powiedział: „Przynajmniej nie będę stał nad jego grobem i wyobrażał sobie jakieś rozmowy, której nie było”. Czas jest zbyt szybki, ludzie zbyt krusi. Łagodność zbyt rzadka, żeby ją odkładać na później. ●

• Autorką rysunków na okładce Magazynu i do tego tekstu jest Joanna Rusinek. Pochodzą z książki Michała Rusinka „Wierszyki świąteczne” wyd. Znak Emotikon 2025





INTERNET ZAPEWNIŁ MI SŁAWĘ

Will Smith do mnie napisał na Instagramie, bo obejrzał moje filmiki z gitarą i szalenie mu się to spodobało. Budzę się rano i mam wiadomość od oscarowego aktora, że jestem super!

FOT. OSAMU HOSHIKAWA

Z **MARCINEM PATRZAŁKIEM**, WIRTUOZEM GITARY, KOMPOZYTOREM, ARANŻEREM I PRODUCENTEM ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

Łamią się panu paznokcie?

– To się zdarza, chociaż są wzmocnione i utwardzone specjalnym żelem. Łamią się, gdy dużo gram podczas trasy koncertowej. Nie wszystkie jednocześnie, na szczęście. Tuż przed koncertem w Singapurze ukruszył mi się paznokieć, więc od razu poszedłem do kosmetyczki. W ogóle po angielsku nie mówiła, tylko po chińsku.

Zresztą o czym tu gadać.

– Potem grałem dziewięć koncertów w Chinach i kolejne w Wietnamie. Na pierwszym koncercie w Korei Południowej ukruszył mi się inny paznokieć. To miało wpływ na dźwięk, który stał się brzydszy – parę razy zaczęłam ukruszoną paznokciem o struny i zabrzmiało to jak błąd. A w dodatku nieprzyjemnie zabolalo.

Następnego dnia byłem znów u kosmetyczki, tym razem w Seulu. Zrobiła mi te paznokcie na tyle dobrze, że wytrzymały do końca trasy koncertowej. Łamię się nie tyle sam paznokieć, ile bardzo gruba powłoka żelowa, którą jest pokryty. Grubsza niż w damskiej hybrydzie.

Nie używa pan kostki do zarywania strun? Może byłoby prościej?

– Nie lubię pośrednika między moimi palcami a struną. Kostki nie cierpię.

Po co mam trzymać kawałek plastiku lub drewna, skoro mogę osiągnąć lepszy efekt, posługując się długimi paznokciami. Mam dzięki nim lepszy kontakt ze struną i z dźwiękiem. Nauczyłem się tego, grając na gitarze klasycznej i później flamenco. Zostanie mi to do końca życia.

Rozmawiamy na WhatsAppie. Gdzie dziś pana zastałam?

– W Tokio, oczywiście. Przedwczoraj grałem tu ostatni koncert w ramach kilkumiesięcznej trasy. Przejechałem pół świata – Kanada i Sta-

ny Zjednoczone, potem Australia, wreszcie Azja. Singapur i Chiny, gdzie grałem dziewięć razy, Wietnam, Tajwan, Hongkong, Korea Południowa i Japonia.

W lecie grałem na festiwalach. Gościłem na Montreal Jazz Festivalu, grając jeden z większych moich koncertów w tym roku. Potem był festiwal Fuji Rock – to jest taki japoński Open'er. Wreszcie – szwajcarski Montreux Jazz Festival.

Wcześniej też pan pewnie nie próżnował.

– W marcu i kwietniu objeżdżałem Europę. To były 23 koncerty i jeszcze trzy w Turcji. W sumie w tym roku zagrałem przed publicznością blisko sto razy.

Po pracy wraca pan do domu?

– Tak, święta spędzę w rodzinnych Kielcach, sylwestra w Warszawie. Ale chcę zostać jeszcze przez parę dni w Tokio. Uwielbiam to miasto, mam tu wielu przyjaciół, robię zakupy świąteczne, jakieś wideo nagrywam. Idę też na pokaz łyżwiarstwa figurowego na lodzie, które jest w Japonii bardzo popularne. Jest taki łyżwiarz, Yuma Kagiya, który do swoich programów figurowych używa mojej muzyki i mamy się więc spotkać. Nawet weźmie udział w Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Mediolanie w lutym 2026 roku.

Nie czuje się pan zmęczony?

– Trochę tak, na pewno, ale bardziej chyba naładowany energią, bo działały się rzeczy niesamowite. Nawet myślałem, że mógłbym teraz zagrać w Ameryce Południowej. W środku roku zaczęłam o Afrykę, to był pojedynczy strzał, więc gdybym teraz dołożył do tej trasy Amerykę Łacińską, miałbym komplet kontynentów w jeden rok – z wyjątkiem Antarktydy.

Ale uznałem, że chyba nie o to chodzi w życiu. Także już skończyliśmy.

A o co chodzi w życiu?

– Nie jestem pewny, czy 25-latek trafnie na to odpowie. Na pewno nie chodzi o to, aby cały czas być w trasie. Ważne jest, z jakimi ludźmi się obcuje, z kim się rozmawia, z kim się

pije piwo lub dobre wino i je się smaczne potrawy. I z kim się spędza wolny czas w domu, w Polsce.

Oczywiście, występ na scenie dostarcza niesamowitej dawki adrenaliny. Poczucie dumy z tego, co robię, jest nie do przecenienia. Ale na pewno ważne są relacje z rodziną, ważniejsze niż ranga tych wszystkich koncertów, które gram.

Przyszły rok poświęcę nowej muzyce i mam nadzieję stworzyć dwa nowe albumy. Ale powiem pani jedną rzecz – bardzo mi zależało na tym, żeby to zaznaczyć, bo to jest coś mega dla mnie nowego.

Napisałem dwa nowe utwory z myślą o promocji tegorocznej trasy. Okazało się, że doskonale się sprawdzili. Pierwszy to „Art of Guitar”. Gram go na trzech gitarach – akustycznej, elektrycznej i klasycznej z nylonowymi strunami.

Mogłoby się wydawać, że takim autorskim utworem trudniej dotrzeć do ludzi, bo melodia im się nie utrwałała w pamięci. To nie jest coś tak znanego jak na przykład habanera z „Carmen”, którą gram we własnej aranżacji.

Okazuje się jednak, że „Art of Guitar” miało 10 milionów streamów na Spotify w Stanach Zjednoczonych i Azji. Jestem tym bardzo poruszony, przy czym taki wynik może być dla mnie dziwaki, gdyby chodziło o klip muzyczny, wideo. Jak nagrywam show, to wiadomo, że wizualnie jest to duża atrakcja. Tymczasem tu chodzi o miliony odsłuchów na platformie dźwiękowej.

Co więcej, chcą tego słuchać bardzo młodzi ludzie, młodszy ode mnie, po prostu dzieciaki. Są na TikToku i używają tej muzyki na przykład do tego, żeby zrobić „edit” [złożyć kilka filmików w jeden dłuższy] najlepszych goli Cristiano Ronaldo. Albo oglądają anime i moja muzyka leci w tle. To zupełnie nowy dla mnie świat.

Dla mnie też.

– Jak to gram na koncertach, najmłodsza publiczność natychmiast reaguje. Rozlega się ryk na znak, że rozpoznają. Ci, którzy słuchają moich aranżacji „Carmen” lub V Symfonii Be-

ethovena, tak nie reagują. Na tym przykładzie widać, jak mi się ta moja publiczność zaczyna różnicować.

Drugi utwór, który skomponowałem w tym roku, nosi tytuł „How Music Works”. Do niego nagrałem wideo, na którym za mną w tle pojawiają się nuty.

Nie jest to żaden głęboki utwór. Potrzebowałem materiału na koncerty, żeby pokazywać, jak wygląda moja robota, jak gram, na czym to polega, jak osiągam efekty. Bo jak to robię na instagramowych filmikach, to pojawiają się głosy, że to fejk.

Na koncercie każdy może się przekonać, że fajerwerki na gitarze, które słyszą i widzą, to naprawdę wytwór moich rąk.

Ludzie za tym szaleją. Pytam ich z estrady: „Do you know this song?”. I wtedy odzywa się ryk na potwierdzenie. Uwielbiam to. To niesamowite emocje i adrenalina.

Dlatego mam nadzieję, że w przyszłym roku ukaże się nagranie live z mojego koncertu w Tokio, gdzie działały się te wszystkie rzeczy.

A jak się pan czuje po takim koncercie, gdzie emocje sięgają zenitu? Wraca pan do hotelu i kładzie się spać taki naładowany tym wszystkim?

– Jest to coś, o czym się za mało mówi. Mam wrażenie, że koledzy muzycy starają się zawsze wyglądać profesjonalnie i nie lubią mówić o problemach, a z kolei publiczność jest przekonana, że artyści mają życie usłane różami.

Tymczasem życie w trasie koncertowej jest potwornie trudne. My, artyści, znajdujemy się w sytuacji dwubiegunowej. Wychodzimy na scenę, widzimy, że widownia nas docenia i się świetnie bawi. A to, co robimy, ma wartość.

Ale następnego dnia wszystko wraca do normy, do zwykłego życia, schodzimy na ziemię, co bywa bardzo bolesne. Trzeba wstać, pójść pod prysznic, złapać samolot. Kiedy człowiek schodzi ze szczytu adrenaliny, czuje się naprawdę źle. Jakby okradziony z czegoś niezwykłego.

Myślę, że z tego kontrastu, tego upadku z samego szczytu na ziemię, które jest nieunik-

nione po każdym koncercie, biorą się nierównowagi psychiczne artystów, ich problemy ze sobą, z użytkami.

Można iść po koncercie na imprezę i cieszyć się dalej.

– Tak, można przedłużać to poczucie święta. W Japonii się mówi uchiage, to jest coś takiego jak afterparty po koncercie. Napijemy się czegoś dobrego, zjemy coś smacznego, ale to też się skończy, prawda?

I trzeba wrócić do hotelu i pustego pokoju, w którym człowiek czuje się źle, niezależnie od tego, czy jest to piękny hotel w Tajlandii, czy jakaś nowojorska klitka. To niezdrowa huśtawka, takie życie.

W takim razie co pan robi? Idzie na siłownię, na piwo, na zen?

– Był czas, kiedy chodziłem do hotelowych siłowni. Will Smith, aktor i raper, z którym zrealizowałem niedawno projekt w necie, powiedział mi, że dobrze jest rozładować frustrację po spadku adrenaliny poprzez wysiłek fizyczny. Sęk w tym, że ja nigdy nie lubiłem sportu, poza tym dużo biegam po estradzie, więc mi to w zupełności wystarczy.

Jeśli chodzi o medytację, to rzeczywiście mnóstwo artystów to uwielbia, szczególnie w sferze gitarowej, Steve Vai na przykład, absolutna legenda w gitarze elektrycznej. Tak samo Tim Henson, gitarzysta młodszej generacji. Ja to na razie traktuję z przymrużeniem oka.

Ja znajduję dużą pomoc w książkach, w literaturze.

Ale typu „Wojna i pokój” czy coś bardziej praktycznego?

– Literatura piękna. Na początku roku przeczytałem „Wegetariankę” noblistki Han Kang. Podczas trasy w Europie „Kafka On the Shore” Haruki Murakamiego, a w Stanach – „Komu bije dzwon” Hemingwaya. Korzystam ze wskazówek, na przykład sprzedawca w księgarni w Waszyngtonie polecił mi książkę Clarice Lispector „The Passion According to G.H.”, ale nie spodobała mi się tak bardzo jak tamte.

Słucham też bardzo dużo muzyki. Zdecydowanie unikam alkoholu, zwłaszcza na trasie. Alkohol mógłby mi życie ułatwić, na przykład pomóc zasnąć. Jak człowiek jest nabuzowany energią, nie może spać. Mam z tym problem, to prawda, za dużo bodźców. Ale nie piję.

Jest przy panu bliska osoba?

– To jest sfera mojego życia, która pozostanie prywatna.

Ale jeśli nie ma ludzi w ekipie, którzy dla artysty są jak druga rodzina, to życie koncertowe może stać się wręcz nieprzyjemne.

A ma pan takie grono?

– Teraz już mogę powiedzieć, że tak. Mam profesjonalne otoczenie, ale nie tylko ze strony Sony Music Entertainment, które jest jedynie moim wydawcą fonograficznym.

Mój menedżer Joel Mark z Los Angeles jest niezwykle doświadczony w swoim fachu.

W Australii i Azji towarzyszył mi mój technik z Piotrkowa Trybunalskiego. Ustawia dźwięk na koncercie, wymienia struny gitary. Też ma na imię Marcin, jest ze mną wszędzie i nawet śmieje się, że spędza ze mną więcej czasu niż ze swoją żoną.

Mój tour manager – Japończyk Seikan – zajmuje się logistyką trasy koncertowej, to jest sprawdza samoloty, bagaż, czy za sceną są owoce lub woda, a w hotelu na przykład prasowalnia do ubrań.

Natomiast całą trasę organizowała mi agencja United Talent Agency. Oni pośredniczyli też w moim internetowym projekcie z Willem Smithem. Nagraliśmy film, w którym pokazuję Willowi, jak perkusyjnie gram na gitarze. Bardzo to fajne było i dużo ludzi to oglądało.

Ale najlepsze jest to, że to sam Will do mnie napisał na Instagramie, bo obejrzał moje filmiki z gitarą i szalenie mu się to spodobało. Budzę się rano i mam wiado-

mość od oscarowego aktora, że jestem super. To się wydaje absurdalnym scenariuszem, prawda? A jednak!

Piszą do pana?

– Dostaję dużo zaskakujących wiadomości. Czasem są to komplementy od fanów, a czasem napisze gwiazda, jak komik Ken Jeong, który grał w „Kac Vegas”.

Wracając jednak do ekipy. W zeszłym roku też grałem cykl koncertów, ale było ich dużo mniej. Mój budżet nie pozwalał na żadną ekipę. Zamiast niej był przy mnie mój kochany tata, Piotr Patrzalek.

Ostoja?

– Najważniejsza postać, która w dodatku wciełała się na trasach w różne role – menedżera, terapeutę, technika gitarowego. W tym ostatnim przypadku podlegało mu wszystko, co było związane z kablami, podłączaniem i kontaktami z inżynierem dźwięku.

A tata jest specjalistą w tej dziedzinie?

– Nie. I nie mówi po japońsku. A mimo to świetnie sobie radził. Jest z wykształcenia inżynierem budowlanym, a z zawodu przedsiębiorcą. Większość ludzi na jego miejscu czułaby się onieśmielona, ale mój tata potrafi współpracować i nie wstydzi się prosić o pomoc.

Przyznaję, że wyznaczyłem sobie trudne zadanie: sam na scenie, bez wokalu, bez słów, bez podparcia w zespole. A jednak to się sprawdza

W tym roku też był?

– Nie, przeszedł na „emeryturę” muzyczną. Teraz jest ekipa. Tata zajmuje się moimi kontaktami z prasą w Polsce, dlatego miała pani okazję go poznać.

W rodzinie nikt nie zajmował się muzyką?

– Tylko mój dziadek ze strony taty, już świętej pamięci, grał na trąbce, gitarze i pianinie oraz śpiewał. Pisał też muzykę i sam uczył się języków. Próbował tapicerstwa, obił tkaninami wszystkie meble w domu. Ale najlepsze jest to, że dziadek samodzielnie próbował nauczyć się japońskiego. Rodzina o tym nic nie wiedziała, ale po śmierci dziadka tata znalazł w jego rzeczach słownik polsko-japoński. I notatki.

Nie mamy pojęcia, co nim kierowało. Raczej nie żadne wyjazdy, bo rodzina nie była zamożna. Dziadek skończył inżynierię budowlaną w Kielcach i nadzorował budowy. Podobno dużo wymagał od swoich dzieci. Tak jest także mój tata. Nie chodzi o tworzenie presji nadmiernych oczekiwań. Raczej o wskazanie narzędzia. Tata mnie obserwował. I to on wyszedł z pomysłem, aby kupić mi gitarę.

A co takiego zobaczył?

– Miałem może 10 lat lub 11, dokładnie nie pamiętam. W internecie zobaczyłem gitarzystę, który nazywa się Tommy Emmanuel. Bardzo polecam wszystkim – zobaczcie, jak on gra, szczególnie utwór „Classical Gas”. Tak dużo oglądałem tego Tommy’ego Emmanuela, że tata to zauważył. I dlatego rodzice sprezentowali mi pod choinkę gitarę akustyczną tej samej marki, co instrumenty, na których grał Tommy Emmanuel.

Wspaniale!

– Najlepszy prezent w życiu, bez dyskusji.

Na Instagramie ma pan ponad cztery miliony obserwatorów, to gigantyczna liczba. Gdyby nie social media, pana kariera inaczej by się potoczyła?

– To nie ulega wątpliwości. Tych obserwatorów stale przybywa.

Wiele osób myśli, że zawdzięczam rozgłos telewizyjnym talent show w Polsce, we Włoszech czy Ameryce. Zatem jak wytłumaczyć to, że we Włoszech, gdzie wygrałem taki program na kanale Cinque i było wokół tego dużo szumu, moje koncerty sprzedają się słabiej niż w innych krajach? W sąsiedniej Francji jest dużo lepiej.

Telewizja pomogła, ale nie miała takich zasięgów jak social media. Wyjątkiem był show „America’s Got Talent” w 2019 roku. Na YouTube wideo z mojego występu poniosło się bardzo daleko. Ma teraz prawie 60 milionów obejrzeń.

Serwisy społecznościowe pomogły mi dotrzeć do szerszej publiczności. Okazało się, że ludzie w Azji, Stanach Zjednoczonych czy nawet w Indiach chcą mnie oglądać.

Internet jest królem i zapewnił mi sławę. Technikę i styl wypracowałem sobie sam.

Nie jestem zaskoczona takim obrotem rzeczy, a pamiętam pana właśnie z występów w programach typu talent show.

– Ja długo nie wiedziałem, co będę robił. Jak kończyłem liceum, to mój plan na przyszłość nie zakładał, że będę artystą estradowym, solistą.

Zacząłem występować w talent show i zdobywać nagrody, ale traktowałem to jak zabawę. Gdy zdecydowałem się na studia na Berklee College of Music w Bostonie, uczyłem się na kierunku „Contemporary Writing and Production”. Produkcja muzyczna, a nie „Performance”, czyli wykonawstwo. Mam kilku kolegów z tamtych lat – jeden pisze muzykę do reklam, drugi do animacji. Przerwałem te studia, bo zaczął się COVID-19, a jak wróciłem, po dwóch semestrach wzięłem urlop dziekański.

A co się stało?

– Zaczęło się życie koncertowe. Ja po prostu wykorzystalem ten czas pandemii na to, aby siedząc w domu, nagrywać jak najwięcej filmików z graniem na gitarze i wrzucać je do sieci. I „wypracowałem” sobie publiczność.

A największa sala, w której pan grał, jeśli chodzi o widownię, to pewnie w Azji?

– Na pewno trzeba oddzielić dwóch Marcinów. Jeden Marcin jest bardziej klasyczny i gra koncerty w salach koncertowych, zwykłe w Europie, gdzie jest bardziej konserwatywne, zachowawcze podejście i publiczność jest trochę starsza, co ja bardzo szanuję. Tam i w Stanach są to miejsca na tysiąc czy półtora tysiąca osób.

A drugi Marcin jest bardziej rockowy, nastawiony na masową publiczność i bezpośrednie okazywanie emocji. I ten Marcin gra nawet dla kilku tysięcy osób.

Gra pan coś innego dla jednych i dla drugich czy to samo dla wszystkich?

– To dobre pytanie. Gram z grubsza to samo, choć setlista się trochę zmienia. Trzon repertuaru jest ten sam, musi być habanera z „Car-

men”, V Symfonia Beethovena, „Asturias” w moich aranżacjach. I moje utwory, na które lepiej reaguje młodsza publiczność. Dla mnie najważniejsza jest interakcja z publicznością, spontaniczna, głośna.

Jedna Japonka dała mi flagę Polski. Mam ją w walizce.

Na koncertach w Azji czy USA grałem na trzech różnych typach gitar. I te gitary są z nagłośnieniem, ale bezprzewodowym, więc mogłem latać po estradzie, ile dusza zapagnie, podchodzić do ludzi, kiwać ręką do kogoś, kto się fajnie rusza. W Hongkongu nawet zszedłem do fanów przy barierze ochronnej rozdawać autografy. Sześć tysięcy osób było pod sceną na tym koncercie.

Pewnie, gdybym skoczył w tę publiczność, toby mnie po prostu tam ponieśli na rękach. Crowdsurfing! Ale tego nie zrobiłem, bo jednak trochę się boję, ale chodzi mi o klimat.

Pana styl ewoluuje, staje się coraz bardziej perkusyjny. Finger tap – tak się nazywa ta technika grania na gitarze?

– Ludzie mówią o tym finger style. Nie lubię tej nazwy i unikam jej w wywiadach. To żaden styl, po prostu tak się gra na gitarze klasycznej i akustycznej. Finger style to nomenklatura nadana przez gitarzystów elektrycznych, którzy patrzą na gitarzystów grających palcami, takich jak ja, jak na coś egzotycznego. Ja z kolei dystansuję się od poruszania strun kostką, jak „elektryczni”, o czym mówiłem.

Mój styl to gitara perkusyjna, która jest samowystarczalnym instrumentem, nie potrzebuje akompaniatorów, zespołu innych instrumentów, potrafi wszystko zagrać sama: złożony rytm, polirytmię, linię basową, głosy środkowe i melodię. Sam sobie jestem solistą i akompaniamentem.

Przyznaję, że trudne zadanie sobie wyznaczyłem – sam na scenie, bez wokalu, bez słów, bez podparcia w zespole. A jednak to się sprawdza.

Na koniec zapytam o Polskę. Nie da się nie zauważyć, że tutaj nie jest pan tak popularny jak na świecie.

– Polska jest dla mnie trudnym krajem. Jesteśmy specyficznym rynkiem muzycznym.

Polska ma więc swoje grono artystów, którzy tu śpiewają po polsku, grają wyłącznie w Polsce, wydają muzykę tylko w Polsce. To jest ich enklawa, w której nie ma miejsca dla kogoś innego.

Nie mam więc aż tylu zaproszeń, co za granicą. Być może ten rodzaj muzyki, który gram, nie do końca się tu przebija.

Mnie nigdy nie interesowało tworzenie tylko dla rodaków. Postów na Instagramie czy YouTube nie piszę po polsku. Tytuły moich utworów są po angielsku.

Zależy mi na publiczności w Polsce, ale świat jest zbyt otwarty, żeby z tego nie korzystać.

W Polsce miałem też nieprzyjemny epizod. Współpracowałem z pewnym agentem i to była współpraca dla mnie niekorzystna, mówiąc łagodnie.

Mimo to chciałbym zagrać kilka koncertów w naszym kraju. Jest potencjał i publiczność. Byłyby to klasyczne koncerty, polska publiczność jest bardziej dojrzała, starsza niż w Azji. Bardzo chętnie dla niej wystąpię. ●

*Marcin Patrzalek

• urodził się w 2000 roku w Kielcach. Wykonuje własne aranżacje hitów muzyki klasycznej i flamenco, a także utwory własne. W 2020 roku podpisał kontrakt fonograficzny z Sony Music Entertainment, jego interesy reprezentuje amerykańska agencja United Talent Agency. Zdobywca nagród w telewizyjnych talent show, jest niezwykle popularny w sieci internetowej i w serwisach społecznościowych (cztery miliony obserwatorów na Instagramie, 4,8 miliona na TikToku).

ks. Alfred Marek Wierzbicki*

Ohcę dzisiaj spojrzeć na nasze uniwersyteckie sprawy z punktu widzenia, do którego doprowadza mnie wieloletnie uprawianie etyki. W centrum jej zainteresowań są wolność i odpowiedzialność. Od trzech lat jestem pracownikiem naukowo-dydaktycznym UMCS, wiem, że nie ma miejsc idealnych na świecie, chyba żaden ze światów nie jest najlepszym z możliwych, nie wolno mi jednak nie wyznać, że przyszedłem tu, bo poszukiwałem ośrodka naukowego, w którym szanuje się wolność poszukiwań oraz wolność wyrażania opinii.

W pewnym sensie uciekłem z uniwersytetu [z KUL-u], który w słusznym minionych czasach słuszenie był nazywany „wyspą wolności”, gdy pod wpływem nacisków politycznych i kościelnych dawano mi do zrozumienia metodami administracyjnymi, co powinienem myśleć, co wolno, a czego nie wolno mi mówić.

Łatwiej jest wskazać na wolność, zwłaszcza wtedy, gdy się odczuwa jej brak lub ograniczenie, niż powiedzieć, czym ona jest. W długiej tradycji etycznej, której szczytowymi punktami są doktryny Arystotelesa i Kanta, podkreśla się, że wolność jest koniecznym warunkiem moralności. Moralny rozwój człowieka i zarazem odpowiedzialność za siebie, innych ludzi i świat mogą mieć miejsce tylko wtedy, gdy jest on sprawcą swoich czynów.

Isaiah Berlin odróżnia „wolność od” i „wolność do”. W jednym i drugim aspekcie jest ona wolnością konkretnej istoty ludzkiej. Czymś najbardziej pożądanym byłoby korzystanie z „wolności do”, pozwalającej na pełniejszą realizację siebie, ale realnie większość ludzi musi się borykać z determinantami, które godzą w ludzką godność, osłabiają „wolność do”, a nawet ją blokują. Historię ludzkiej wolności można opowiadać jako proces wyzwolenia i emancypacji.

Dążenia emancypacyjne wręcz definiują nowożytność. Nawet jeśli tak zwane wielkie narracje emancypacyjne okazywały się iluzją, co gorsza, ich realizacja stawała się powodem krzywd i cierpień, nie można nie doceniać nowoczesnej opcji na rzecz lepszego świata, w którym będzie więcej wolności, możliwie dla wszystkich ludzi. Świat bez niewolnictwa, pańszczyzny, paternalizmu, patriarchy, mafii, dyktatury, podboju jednych narodów przez inne, koncertu mocarstw, daje więcej przestrzeni dla wolności jednostkowej i zbiorowej. Warto o nim marzyć i trzeba - na przekór przeciwnościom - do niego dążyć.

Wyzwolenie, będące urzeczywistnieniem wolności, nie jest nową ideą. Znajdujemy ją u Platona. Chciałbym potraktować ten wykład jako okazję do przedstawienia interpretacji metafory jaskini jako wyzwania dla refleksji wokół współczesnych kłopotów z wolnością.

Do lektury Platona trzeba podchodzić z zastrzeżeniami. Po pierwsze to, co twórca Akademii naprawdę myśli, nie zawiera się wyłącznie w jego tekstach, więc musimy wydobywać z nich treści ukryte. Po wtóre, gdy Platon mówi serio, nie przestaje się bawić.

W kilku miejscach pisze o wygnaniu poetów z państwa, ale gdyby się tak stało, pozostałby jeszcze jeden poeta - sam Platon. Chętnie tworzył metafory, wspomagał się nimi w prowadzonym wspólnie z innymi pościgu za prawdą.

Wizje zdają się być bliższe prawdy niż myślenie systemowe. A z punktu widzenia czytelników, którzy chcą myśleć z Platonem dziś, są one przydatne do dostrzegania także tych aspektów prawdy, których autor metafory nie mógłby sam zauważyć w swoim własnym kontekście egzystencjalno-kulturowym. Siłą metafor w filozofii jest ich otwartość.

„Oto ludzie są niby w podziemnym pomieszczeniu na kształt jaskini. Do groty pro-

Adam Michnik poleca

WYJDŹMY Z JASKINI PLATONA

Gdy się zrozumie,
że nad wszystkimi ideami
świeci idea Dobra,
człowiek staje się
filozofem



• Platon i jego uczniowie w ogrodach Akademii Ateńskiej (szkoła filozoficzna założona przez Platona ok. 387 r. p.n.e.) na rycinie z XIX wieku.

FOT. UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/BE&W

wadzi od góry wejście zwrócone ku światłu, szerokie na całą szerokość jaskini. W niej oni siedzą od dziecięcych lat w kajdanach; przyku-te mają nogi i szyje tak, że trwają na miejscu i patrzą tylko przed siebie; okowy nie pozwa-lają im obracać głów. Z góry i z daleka pada na nich światło ognia, który się pali za ich plecami, a pomiędzy ogniem i ludźmi przykutymi biegnie górą ścieżka” („Państwo” 514a; tu i niżej w przekładzie Władysława Witwickiego).

Więźniom w jaskini, oglądającym wyłącz-nie cienie rzeczywistości, Platon przeciwstawia człowieka wyzwolonego, który osiągnął wol-ność wraz z wyjściem z jaskini na słońce. Cho-ciaż przynosi to najpierw ból oczu, ogląda już nie odbicie, lecz świat realny. Wyzwolenie na-stępuje wraz z osiągnięciem umiejętności na-wracania się od zmysłowego oglądu rzeczy do postrzegania ponadzmysłowych idei.

Gdy się zrozumie, że nad wszystkimi ide-ami świeci idea Dobra, człowiek staje się filozo-fem. Rozważania o drodze do poznania dobra oraz przekonanie, że prawdziwą rzeczywisto-sścią są idee, Platon łączy z poszukiwaniem mo-delu najlepszego państwa. Uważa, że powin-ni w nim rządzić filozofowie. A to wymaga po-wrotu człowieka wyzwolonego, czyli oświeco-nego, do jaskini symbolizującej państwo.

Platon jednak wie, że misja mędrca wska-zującego na dobro jako zasadę wiedzy i prak-tyki może się nie udać. Nazbyt dobrze pamię-ta los Sokratesa. Stał się on ofiarą irracjonal-nych sił rządzących demosem: ambicji, zazdro-sci i demagogii.

Władza filozofa wykracza poza dialog mę-drca z ludem, ma on do dyspozycji jeszcze pra-wo. Król filozof, jeśli chce rządzić, powinien w trosce o dusze stosować przymus. Powrót fi-lozofa do jaskini ze ścieżki kontemplacji spra-wia, że musi on sięgać po środki autorytarne, gdyż inaczej wymknęłaby mu się władza.

Trudno w tej koncepcji podporządkowują-cej jednostkę państwu nie dostrzegać skrótu w stronę totalitaryzmu. Przypisywanie jednak samemu Platonowi intelektualnego patronatu nad współczesnymi totalitaryzmami, jak czy-nił to Karl Popper, jest obciążonym anachro-nizmem rzutowaniem realiów władzy epo-ki kapitalizmu na warunki powstawania an-tycznych państw greckich. Hannah Arendt po-kazuje, że totalitaryzm w XX wieku stworzyły nie tylko poglądy totalizujących filozofów, lecz również siła, jaką zdobyło państwo w epoce in-dustrializacji i społeczeństwa masowego.

W tekstach Platona można dostrzegać już jakiś zarys inżynierii społecznej, ale nie zakła-dał on obozów koncentracyjnych, służących reedukacji ludzi niepasujących do wizji ideal-nego państwa, lecz był twórcą Akademii, któ-ra była w stanie uformować intelektualnie Ary-stotelesa.

Odkryciem Platona jest stwierdzenie zwią-zku pomiędzy wolnością a prawdą o dobru, na-tomiast błędem jest przypisywanie państwu nadzoru nad poglądami obywateli. Ta ambi-walencja stanowiska Platona w kwestii wol-ności pozostanie obecna w kulturze zachodniej właściwie do naszych czasów, wzmocni się w epoce średniowiecza, stanie się jedną z cech Christianitas jako modelu cywilizacji chrześci-jańskiej.

Paradoksem myśli św. Augustyna na te-mat wolności jest obecność w niej dwóch wą-tków, które dopiero w nowożytności zostaną wyraźnie rozdzielone przez filozofów, laickich i chrześcijańskich. Zanim zasada rozdziału Ko-ścioła i państwa zostanie uznana przez kościo-ły chrześcijańskie za swoją, od czasów Spinozy stanowiła ona wręcz sztandarowy projekt my-slicieli oświeceniowych.

Św. Augustyn uznaje wolność za znak podo-bieństwa człowieka do Boga. Głosi, że Bóg stworzył nas bez udziału naszej woli, ale nie może nikogo zbawić bez ludzkiej zgody.

Po dłuższej fascynacji poglądami manichej-czyków odrzucił je, gdyż uznał, że są niezgodne

z elementarnym doświadczeniem inicjowania czynów przez człowieka. Nie możemy być te-renem oddziaływania sił zewnętrznych, choć-by były to absolutne potęgi dobra i zła, gdyż re-alnym źródłem dobrych lub złych czynów jest człowiek jako podmiot swej decyzji.

Tak więc Augustyn pogłębia rozumienie wolności jako wolności wewnętrznej. Inspira-cje teologiczne wprowadzają wolność do an-tropologii i etyki Augustyna jako ich centralny temat. Podobnie jak Platon dostrzega związek wolności z prawdą, myśl tę przekazuje Ewan-gelia: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwo-li” (Jan 8, 32, cytata za „Biblią Tysiąclecia”).

Augustyn wnikliwie analizował szkodli-wość kłamstwa tak w życiu społecznym, jak i w życiu samego kłamcy. Chrześcijańskie-mu władcy przypisywał nie tylko rolę strażni-ka prawdy, ale również miał on dbać, aby nikt z członków wspólnoty politycznej nie pozosta-wał poza wspólnotą wiary. Ujmował to w na-kazie: „cogite entrare”. Przymuszajcie ich, aby weszli - to zadanie chrześcijańskich władców wobec heretyków i schizmatyków.

Trudno uwolnić św. Augustyna od odpo-wiedzialności za powstanie inkwizycji. Zwy-kłe jest tak, że myśl rzucona szybko staje się faktem i niestety nie czyta się już, że sam au-tor w dojrzalszym wieku prostował swój wcze-sniejszy pogląd.

Autorytaryzm i jego łagodniejsza odmia-na, paternalizm, nie są problemami należący-mi wyłącznie do czasów minionych. Jest prze-rażające wielu ludzi, którzy uważają, że praw-dę o dobru, np. wartości chrześcijańskie, nale-ży propagować i bronić za pomocą prawa. To-talitaryzm z racji represji, jakie stosuje pań-stwo wobec wszystkich, budzi szybko opór du-żej części społeczeństwa, natomiast autoryta-ryzm zakorzenia się jak grzybnia, co gorsza ma siłę uwodzenia.

Platońskie potomstwo władców filozofów, cesarzy ojców możemy ciągle spotkać, choć występują już w innych ubraniach. Autoryta-ryzm jest pokusą naprawiania świata na skró-ty. Ale kiedy dochodzi do sprzymierzenia war-tości i władzy, wartości zostają jej podporząd-kowane i budzą podobną niechęć, jak ich auto-rytarni dysponenci.

Tego Platon nie przewidział, sporo nato-miast wiedział o tym Dostojewski jako autor „Legenda o Wielkim Inkwizytorze”. Swą kry-tykę autorytaryzmu kierował pod adresem chrześcijaństwa zachodniego, ale w gruncie rzeczy rozciga się ona także (a może przede wszystkim!) na „russkij mir” tak samo z cza-sów Dostojewskiego, jak i Putina.

Spróbujmy zastanowić się nad tym, co więcej mógł zobaczyć filozof Platona, wychodząc z ja-skini, i dlaczego tego, co ważne i co podtrzy-muje jego odkrycie, wcale nie zauważył. Ina-czej mówiąc: należy dokończyć myślenie Plato-na, skorygować je i uzupełnić.

Dlaczego Platoński filozof staje się wol-ny? Wyzwolenie zawdzięcza przedmiotowi, który ogląda, oraz aktowi, który przemienia go jako podmiot. „Tak samo, jak oko nie mo-gło się z ciemności obrócić ku światłu ina-czej, jak tylko wraz z całym ciałem, tak samo całą duszą trzeba się odwrócić od świata zja-wisk, które powstają i giną, aż dusza potrafi patrzeć na byt rzeczywisty i jego pierwiastek najjaśniejszy, i potrafi to widzenie wytrzymać. Ten pierwiastek nazywamy DOBREM” („Pań-stwo” 518c).

Myśl Platona została pochłonięta całkowi-cie przez porządek obiektywny, filozof został wręcz oszołomiony możliwością kontempla-cji idei Dobra. Aby docenić odkrycie znaczenia prawdy jako czynnika wyzwalającego, nie trze-ba dzielić Platońskich przekonań na temat struktury bytu.

Życie intelektualne, w którym następu-je weryfikacja przekonań, uwalnia człowieka od polegania wyłącznie na opinii innych, czy-ni go kimś suwerennym, może on kierować so-bą, a Platon zaraz dodaje, że powinien rządzić państwem. Ponieważ niewielu jest ludzi na-

prawdę wolnych, niewielu nadaje się do spra-wowania władzy politycznej.

Podczas gdy w czasach przednowożytnych uwypuklano zasadniczo ODPOWIEDZIAL-NOŚĆ ZA PRAWDĘ, moderna akcentuje OD-POWIEDZIALNOŚĆ ZA WOLNOŚĆ. Napięcie pomiędzy tymi dwiema opcjami znajduje się u podłoża większości konfliktów i podziałów ideowych od czasów reformacji i oświecenia.

Moderna, jak przekonuje filozof Char-les Taylor, stanowi nie tylko teoretyczny, lecz faktyczny przełom w antropologii. Człowiek przednowożytny nie przeżywał swej odrębno-ści, ze względu na warunki ekonomiczne, spo-leczne, polityczne i religijne był niemal całko-wicie wtopiony w życie zbiorowe.

Nie ulega wątpliwości, że w czasach przed-nowożytnych istniały silne jednostki, narra-cja heroiczna istnieje przecież już od staro-żytności, ale prawdziwy kult indywidualno-ści i transformacja całokształtu relacji mię-dzyludzkich na rzecz dobra jednostki jest no-wością społeczeństwa mieszczańskiego i tłu-maczy także jego rewoltę przeciw społeczeń-stwu feudalnemu.

Totalitaryzm z racji represji, jakie stosuje państwo wobec wszystkich, szybko budzi opór. Autorytaryzm zakorzenia się jak grzybnia. I co gorsza, ma siłę uwodzenia

Myśl nowożytna musiała się zmierzyć z aporią indywidualizmu i kolektywizmu [apo-ria - trudność w rozumowaniu]. Obydwa nurty nie tylko ze sobą rywalizowały, ale ich przed-stawiciele rozwinęli szereg argumentów, które miały stanowić uzasadnienie jednego albo dru-giego nurtu. Powstały wspaniałe książki.

Postawmy z jednej strony dzieła Locke'a, a z drugiej Marksa. Obydwaj rozwinęli dzie-dzictwo myśli zachodniej, obydwoma kierow-ała idea odpowiedzialności oraz troska o wol-ność. A jednak ani myśl liberalna, ani myśl so-cjalistyczna nie mogła się zatrzymać na Loc-ke'u czy Marksie.

Próbę rozwiązania nowożytnej aporii pod-jął Kant. Z jednej strony dopełnia on lukę, ja-ka pojawiła się w antropologii Platona, a z dru-giej kontynuuje jego myślenie w kwestii dobra i prawa jako rzeczywistości bezwzględnych.

Kantowi zawdzięczamy zrozumienie, że u podstaw wymogów moralnych, które odczy-tywał jako imperatyw kategoryczny, znajdu-je się prawda o osobie jako celu w sobie. A to znaczy, że osoba ma AUTONOMIĘ w stosun-ku do bytów nieosobowych oraz innych osób. Nikt jednak nie jest samotną wyspą, dlatego Kant mówi o PAŃSTWIE CELÓW SAMYCH W SOBIE, mając na myśli zrzeszenie osób, ich wspólnotę. Chociaż przecież osoby istnieje już od czasów debat teologicznych w starożytnym chrześcijaństwie, dopiero Kant wydobywa etyczny sens personalizmu.

Rozumienie wspólnoty jako „państwa ce-lów” rozwija liberalizm, ale bez indywiduali-zmu, oraz chroni przed redukcją totalistyczną, bo ze względu na autonomię osoby nie można jej podporządkować całości społecznej. Jaka-kolwiek wspólnota ludzka jest wspólnotą istot o takiej samej godności.

Dopełnienie personalistycznej myśli Kanta o wspólnotę znajduję w filozofii Karola Woj-tyły. Więzy międzyludzkie analizuje on, posłu-gując się kategorią uczestnictwa. Pojęcie to ma dwojakie znaczenie.

Uczestniczyć to działać wspólnie z inny-mi, w ten sposób osiąga się dobro, które sta-

je się dobrem wspólnym. Po wtóre chodzi o uczestnictwo w człowieczeństwie innej oso-by. Wojtyła idzie wyraźnie tropem Platona, gdy uwzględnia dobro wspólne jako cel ludzkich działań we wspólnotcie.

Jednak Wojtyłowska koncepcja DOBRA WSPÓLNEGO jest bogatsza od jej rozumie-nia przez Platona. Dobro wspólne to nie tylko zestaw wartości wspólnie realizowanych, je-go niezbywalnym wymiarem jest dobro samej osoby. Prawie że w języku Kantowskim Wojty-ła mówi o autoteleologii osoby. Nie ma dobra wspólnego bez respektu dla jej autonomii. Od-powiedzialność za dobro wspólne rozciąga się na odpowiedzialność za wolność każdej osoby bez wyjątku.

Tę wizję personalistycznej kultury Wojty-ła rozpisuje w swej najważniejszej pracy filo-zoficznej, „Osoba i czyn”, na katalog postaw autentycznych i nieautentycznych. Do pierw-szych należą solidarność i sprzeciw, a drugi zbiór to konformizm i unik.

Sprzeciw stanowi inny wyraz solidarno-ści, ponieważ chodzi w nim o prawdę o do-bru, zgodnie z moim własnym odczytaniem jej w sumieniu. Konformizm i unik mają nie tyl-ko negatywny wydźwięk moralny, są one auto-negacją własnej wolności, przyzwoleniem na świat, w którym nie mam udziału, są świadomym i wolnym wyzbyciem się odpowiedzial-ności lub jej zawieszeniem.

Pora wrócić do jaskini, czyli do naszej codzien-ności. Malebranche [filozof francuski] zwykł mawiać, że pół godziny medytacji filozoficz-nej wystarczy. Istotnie to, co nas najbardziej zajmuje, właśnie w związku z przeżywaniem wolności i odpowiedzialności, to pytanie, na ile moje życie ma być życiem własnym, a w ja-kim stopniu i w jakich okolicznościach życiem w zbiorowości.

Dylemat ten wyrażał Adam Zagajewski w swej książce „Solidarność i samotność”. Miał wielki dar przenikliwego widzenia i dar języ-ka pozwalający wyrazić jasno rzeczy trudne. Sądzę, że trafia w samo sedno sprawy. Dlatego cytatem z jego książki zakończę mój wywód:

„Wcale nie chcę odwrócić się od zbiorowo-ści, coraz bardziej pociąga mnie inne jej poj-mowanie. Zbiorowość nie zawsze musi być te-matem, ani surowym, ani natychmiastowym sędzią wzruszenia czy wizji. Składa się ona bo-wiem z ludzi pojedynczych, samotnych (...), którzy, jeśli pochłania ich takie czy inne poszu-kiwanie duchowe, nie muszą doprawdy spraw-dzać co chwila, czy przypadkiem nie zerwał się postronek łączący ich z resztą społeczności.

Odbывают bowiem wycieczki w różne re-jony, najczęściej w okolice, do których więk-sze grupy turystyczne wcale nie mają dostępu. Zbiorowość i tak odniesie korzyść z tych wy-praw, środki bowiem, przy pomocy których składa się sprawozdanie z odbytej ekspedycji - słowo, barwna plama na płótnie obrazu czy ekranie kina, dźwięk - mają naturę społeczną i funkcjonują jako rodzaj podatku.

Podatkiem tym przedsiębiorcy ducha opła-cają się swojej szanownej zbiorowości. Staje się on tym obfitszy, im dalsze i ryzykowniejsze bę-dą wyprawy poszczególnych śmialków”.

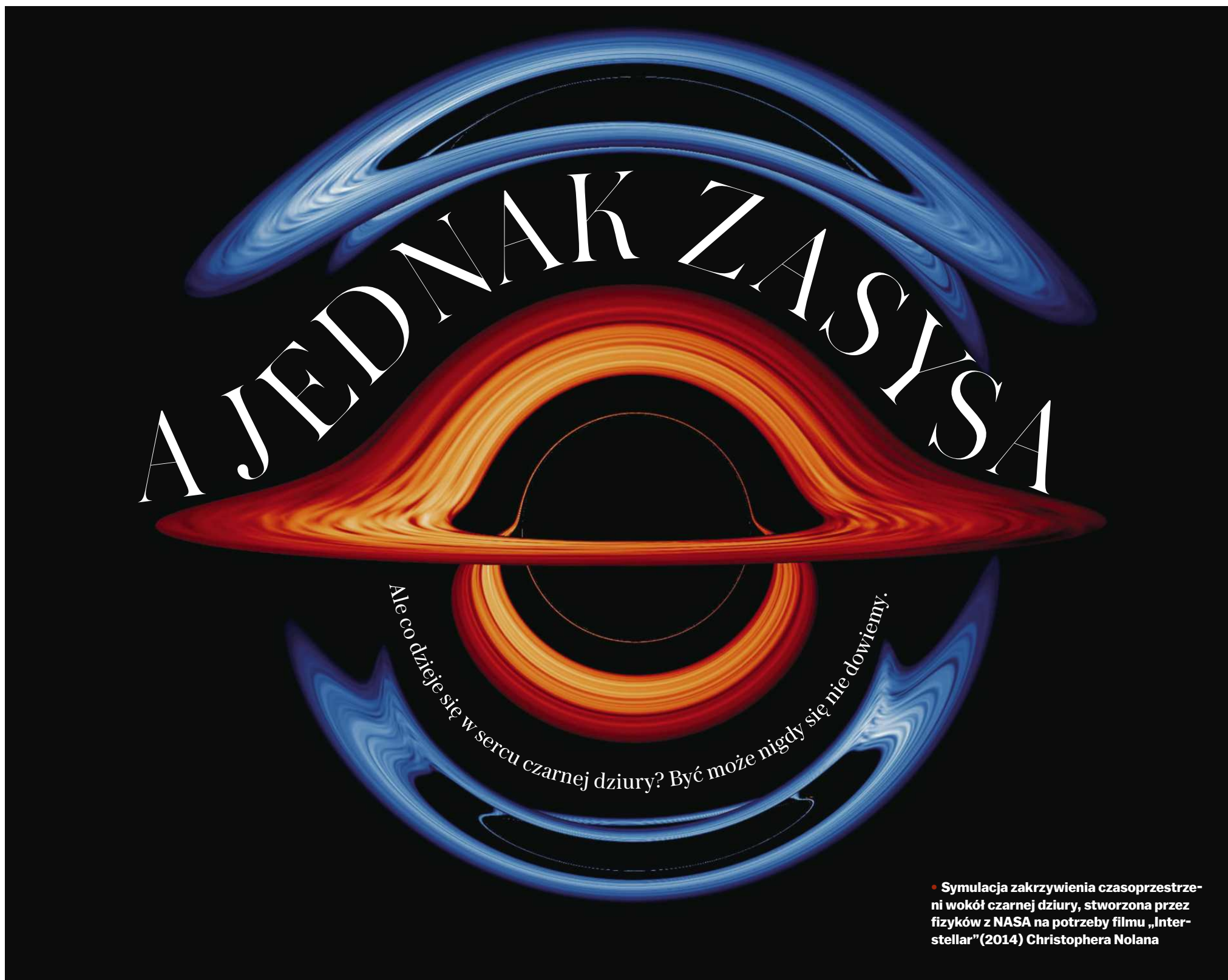
• [Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn](https://magazyn.wyborcza.pl/magazyn)



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*ks. Alfred Marek Wierzbicki

• ur. w 1957 r., teolog i etyk, poeta. Pracuje na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Tekst to jego wykład inauguracyjny, wygłoszony w UMCS w październiku tego roku.



• Symulacja zakrzywienia czasoprzestrzeni wokół czarnej dziury, stworzona przez fizyków z NASA na potrzeby filmu „Interstellar” (2014) Christophera Nolana

Piotr Cieśliński

Saint-Exupéry w „Małym Księciu” narysował kontur, który niewtajemniczonym przypomina obrys zwykłego kapelusza. W rzeczywistości to rysunek przedstawiający słonia polknętego przez węża. Słonia można dostrzec tylko siłą wyobraźni. Całkiem podobnie ma się sprawa z czarnymi dziurami.

Wszystko, co dzieje się za obrysem czarnych dziur, zwanym horyzontem zdarzeń, na zawsze pozostanie dla nas tajemnicą i grą wyobraźni. Spoza horyzontu nic się nie wydostaje, uwięzione pozostają nawet promienie światła. Wprawdzie Stephen Hawking twierdził, że czarne dziury w końcu uwolnią materię, którą polknęły – choć w zmasakrowanej, nie do rozpoznania formie – ale to wciąż tylko hipoteza.

Zgodnie z Ogólną Teorią Względności Alberta Einsteina wszystko, co wpadnie poza horyzont czarnej dziury, przestaje istnieć w naszym świecie. Dosłownie. Jak mówi profesor Marek Abramowicz, emerytowany profesor astrofizyki Uniwersytetu w Göteborgu, czarne dziury to jedyne obiekty we Wszechświecie, które nie „zawierają” niczego. Nie są kulami materii jak gwiazdy czy planety, są

czystą geometrią, zakrzywieniem czasoprzestrzeni.

Co więc dzieje się z materią, z której powstały? Gdzie się podziewa to, co do nich wpada? Nie mamy tam żadnego wglądu, więc pozostają nam tylko wnioski, jakie niosą rozwiązania równań Einsteina. Określają one precyzyjnie ruch każdej cząstki – jej położenie w każdej chwili czasu. Wyznaczają w czterowymiarowej czasoprzestrzeni tak zwaną linię świata, ścieżkę, jaką obiekt przebywa wraz z upływem czasu. Każdy z nas, od momentu narodzin do śmierci, podąża wzdłuż własnej, unikatowej linii świata.

Okazuje się, że po przekroczeniu horyzontu zdarzeń wszystkie takie linie zbiegają się, łączą ze sobą i... kończą w jednym miejscu. To miejsce nazywane jest osobliwością. Nie jest to matematyczny punkt w przestrzeni, jak czasem się to przedstawia, lecz miejsce, w którym następuje kres czasu. Historia świata nie ma tam już dalszego biegu. Pod pewnymi względami osobliwość przypomina Wielki Wybuch, w którym czas i wszystkie linie świata miały swój początek. W tym sensie we wnętrzu czarnych dziur kończy się istnienie wszelkiej materii, jaka do nich wpadnie.

Zgodnie z równaniami Einsteina w osobliwości różne wielkości fizyczne – gęstość materii, ciśnienie, a przede wszystkim krzywizna czasoprzestrzeni – stają się nieskończone. In-

tuicja fizyczna podpowiada, że żadna mierzalna wielkość nie powinna osiągać nieskończonej wartości w rzeczywistym Wszechświecie.

„Ja się tym nie martwię. Nie wymagam, aby teoria odpowiadała rzeczywistości, ponieważ nie wiem, jaka jest rzeczywistość. Rzeczywistość to nie cecha, którą można wykryć papierkiem lakmusowym” – mawiał wybitny badacz czarnych dziur i osobliwości Stephen Hawking. Dodawał jednak: „Chodzi tylko o to, aby teoria pozwalała przewidzieć wyniki pomiarów”.

W przypadku czarnych dziur jesteśmy bezradni. Z ich wnętrza nie wydostaniemy wyników żadnych pomiarów.

Trudno się dziwić, że przez długie dziesięciolecia nikt nie wierzył w istnienie czarnych dziur – nawet sam Einstein, choć to jego teoria je przewidywała. Dziesięć lat zajęło mu doprowadzenie równań grawitacji do ostatecznej postaci. Równania Ogólnej Teorii Względności są matematycznie niezwykle trudne – Einstein rozwiązał je jedynie w tak zwanym przybliżeniu słabego pola grawitacyjnego, czyli w sytuacjach, gdy grawitacja jest niewielka, a prędkości dalekie od prędkości światła. To wystarczyło, by wyjaśnić drobne, lecz uporczywe przesuwanie się peryhelium Merkurego – punktu orbity najbliższego Słońcu

– zjawisko, z którym klasyczna teoria Newtona nie potrafiła sobie poradzić. Abraham Pais, biograf Einsteina, pisał, że to odkrycie było jednym z najsilniejszych przeżyć emocjonalnych w karierze uczonego.

Einstein przedstawił swoje równania i wnioski z nich płynące na posiedzeniu Pruskiej Akademii Nauk w 1915 roku, w samym środku I wojny światowej. Gdy wybuchła, miał 35 lat, świeżo po burzliwym rozwodzie i – dzięki protekcji Marii Skłodowskiej-Curie – obejmował właśnie posadę w Berlinie. Wciąż był obywatelem Szwajcarii, więc nie podlegał niemieckiemu poborowi. Miał też kategorię „trwale niezdolny do służby wojskowej” (z powodu płaskostopia, żylaków i ogólnego „słabego stanu zdrowia”). Jednocześnie był jednym z nielicznych intelektualistów, którzy publicznie potępili wojnę – w 1914 roku podpisał „Manifest do Europejczyków”, apel o pokój w kontrze do słynnego „Manifestu 93”, w którym niemieccy uczeni i artyści popierali konflikt.

Ironia historii chciała, że pierwsze pełne analityczne rozwiązanie jego równań znalazł Karl Schwarzschild, który poszedł na front na ochotnika. Schwarzschild był wybitnym astronomem, dyrektorem obserwatorium w Poczdamie, miał status uczonego państwowego z tytułem profesorskim. W wieku 40 lat nie podlegał już poborowi, nikt nie

oczekiwał, że zgłosi się do armii. Zdecydował patriotyzm, etos obowiązku i atmosfera „wielkiej narodowej sprawy”. Dostał przydział na front wschodni, gdzie jako kapitan artylerii korygował ogień i obliczał trajektorie pocisków. Właśnie tam, w okopach pod Twerem, dostał świeżą publikację Einsteina z nowymi równaniami grawitacji. Rozwiązywał je w przerwach między ostrzałem, licząc krzywiznę czasoprzestrzeni tak samo, jak chwilę wcześniej zakrzywienie torów artyleryjskich pocisków.

Po kilku tygodniach miał pierwsze ścisłe rozwiązanie – opis krzywizny czasoprzestrzeni wokół sferycznej masy. Wynikało z niego, że jeśli promień takiej masy jest mniejszy od pewnej krytycznej wartości, później nazwanej promieniem Schwarzschilda, dzieją się rzeczy zdumiewające. Światło nie może już uciec z jej powierzchni, a obszar ograniczony tym promieniem staje się wieczną pułapką dla światła i materii. Mało tego – z punktu widzenia dalekiego obserwatora nikt nie jest w stanie tam dotrzeć. Można spadać i spadać bez końca, nie przybliżając się do środka. Granica Schwarzschilda wydawała się nieosiągalna niczym ziemski horyzont. Później zresztą nazwano ją horyzontem zdarzeń.

Początkowo uważano to wszystko za matematyczną ciekawostkę, której nie odpowiada nic rzeczywistego. Sądzone, że żaden obiekt, w szczególności gwiazda, nie może skurczyć się do krytycznego promienia.

Ale w 1930 roku młody hinduski fizyk Subrahmanyan Chandrasekhar podał to wątpliwość. Podczas długiej podróży statkiem z Indii do Anglii, gdzie miał rozpocząć doktorat, doszedł do zaskakującego wniosku: jeśli masa wypalanej gwiazdy – białego karła – przekracza 1,4 masy Słońca, nie może on utrzymać równowagi. Grawitacja musi zwyciężyć, a gwiazda zacznie się kurczyć – wydałoby się, że bez końca.

Nikt nie potraktował tego poważnie. Słynny brytyjski fizyk Arthur Eddington oświadczył na posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego w 1935 roku: „Myślę, że musi istnieć prawo przyrody, które nie pozwala gwiazdom zachowywać się w tak absurdalny sposób”. Eddington, promotor Chandry, był autorytetem w dziedzinie ogólnej teorii względności. Kraży anegdota, że gdy usłyszał, iż tylko trzech ludzi na świecie rozumie teorię Einsteina, zapytał: „A kto jest tym trzecim?”. Publiczne przeczołganie przez mistrza i kolegów sprawiło, że Chandra opuścił Europę, przeniósł się do Chicago i na długie lata porzucił temat grawitacyjnego zapadania się gwiazd.

Einstein również zgadzał się z Eddingtonem. W 1939 roku opublikował artykuł dowodzący, że materia nie może przekroczyć krytycznej gęstości i promienia, aby osiągnąć stan, który dziś nazywamy czarną dziurą. Dla wielu jego słowo było ostatecznym werdyktem.

A jednak w tym samym roku Robert Oppenheimer – późniejszy „ojciec bomby atomowej” z projektu Manhattan – i jego uczeń Hartland Snyder pokazali coś przeciwnego. Po raz pierwszy jasno dowiedli, że zgodnie z równaniami ogólnej teorii względności gwiazda może się zapaść. Powstaje wtedy obiekt, z którego światło nie może uciec. W pracy opublikowanej 1 września 1939 roku pada kluczowe zdanie: „Całkowity czas kolapsu dla obserwatora poruszającego się razem z materią gwiazdy jest skończony i – dla typowych mas gwiazd – rzędu jednego dnia”. Autorzy zarazem dodają, że zewnętrzny obserwator nigdy nie doczeka się tego, by gwiazda skurczyła się do promienia grawitacyjnego. (Tak wówczas nazywano promień horyzontu zdarzeń).

Dziś jest oczywiste, że nie ma tu żadnego paradoksu – to po prostu konsekwencja ogólnej teorii względności. Einstein zerwał z ideą jednego wspólnego czasu. Każdy obserwator

mierzy własny, lokalny czas. To, co dla jednego trwa chwilę, dla drugiego może rozciągać się w nieskończoność. W przypadku czarnej dziury mamy dwa opisy należące do dwóch odseparowanych regionów czasoprzestrzeni. Obiekt wpadający za horyzont nie ma już żadnego kontaktu przyczynowego z obserwatorem zewnętrznym. To dwa różne światy, między którymi nie da się wymienić sygnału ani porównać zegarków. Dlatego oba sprzeczne opisy mogą być jednocześnie prawdziwe.

W filmie „Oppenheimer” jest scena, gdy podnieceni studenci rzucają profesorowi egzemplarz „Physical Review”, gdzie ukazała się publikacja, a jeden z nich mówi: „1 września 1939 roku. Świat zapamięta ten dzień!”. Świat zapamiętał – ale z całkiem innego powodu.

Fizycy w większości odrzucili wnioski Oppenheimera i Snydera, bo – dla uproszczenia – założyli oni, że gwiazda jest idealnie symetryczna, nie wiruje, a cały proces kolapsu przebiega równomiernie. Krytycy twierdzili, że to nierealne: w prawdziwej gwiazdzie każda jej część może polecieć w nieco inną stronę, wymykając się ekstremalnemu ciśnieniu, więc żadna materia nie da się „wepchnąć” do sfery mniejszej niż promień grawitacyjny.

Koncepcja czarnych dziur znów została zignorowana i na długo zapomniana. Ogólną teorią względności zajmowała się tylko garstka pasjonatów. W lipcu 1962 roku sprowadził ich do Polski Leopold Infeld, który długo współpracował z Einsteinem. Do Warszawy i Jabłonną przyjechali między innymi Subrahmanyan Chandrasekhar, John Archibald Wheeler i Paul Dirac. Był też Richard Feynman, który w opublikowanym później liście z Warszawy do żony streścił dominującą opinię o badaczach grawitacji: „Konferencja nic mi nie daje. Niczego się nie uczę. Ponieważ nie robią żadnych doświadczeń, dziedziną ta jest martwa. Przypomnij mi, żebym nie jeździł na żadne konferencje na temat grawitacji!”. A jednak kilka lat później wszystko zaczęło się zmieniać.

W 1967 roku Wheeler po raz pierwszy użył terminu „czarna dziura”. Astronomowie nie dysponowali jeszcze żadnymi dowodami na istnienie takich obiektów, ale nazwa natychmiast zapadła w pamięć i ożywiła wyobraźnię. Ledwie kilka lat później coraz lepsze instrumenty astronomiczne – w tym pierwsze obserwatoria kosmiczne – zaczęły dostrzegać obiekty, które wyglądały dokładnie tak, jak powinny wyglądać czarne dziury. Bo wbrew pozorom to jedno z najjaśniejszych obiektów we Wszechświecie. Zwykle otacza je wir spadającej materii, która – zanim zniknie pod horyzontem – promieniuje we wszystkich zakresach widma: radiowym, widzialnym, rentgenowskim. Spadek materii na czarną dziurę jest najefektywniejszym sposobem produkcji energii we Wszechświecie. Zamiana energii grawitacyjnej na promieniowanie jest znacznie wydajniejsza niż reakcje rozszczepienia czy syntezy jądrowej.

Dziś przyjmuje się za pewnik, że promieniowanie kwazarów i aktywnych jąder galaktyk – tak jasnych, że widać je z miliardów lat świetlnych – jest napędzane przez olbrzymie czarne dziury. Wciąż nie wiemy, jak te olbrzymy powstały, ale nic innego nie jest w stanie wyjaśnić ich energii. Prawdopodobnie supermasywne czarne dziury znajdują się w centrach większości galaktyk, także naszej Drogi Mlecznej – tak wynika z analizy ruchu pobliskich gwiazd. Odkryto również mniejsze czarne dziury, powstające najpewniej w wyniku zapadania się gwiazd o masie co najmniej dziesięciokrotnie większej od masy Słońca. Tak jak to przewidzieli Oppenheimer i Snyder. Wykrywa się je w układach podwójnych, gdzie czarna dziura znajduje się na orbicie normalnej gwiazdy i wysysa z niej materię. To był moment, w którym czarne dziury – wraz z osobliwościami czającymi się w ich wnętrzach – przestały być chimerycznymi produktami matematycznych modeli. Stały się

■
Próby połączenia kwantów z grawitacją trwają od dawna. Już Stephen Hawking pokazał, że prowadzą do wniosku, iż czarne dziury nie są trwałe: promieniują, więc z czasem wyparowują. Dla czarnych dziur o masie gwiazdowej byłby to jednak proces trwający wielokrotnie dłużej niż wiek Wszechświata.

Nie wiadomo też, co wtedy dzieje się z osobliwością. Czy również znikają?

logicznym, nieusuwalnym elementem fizycznej rzeczywistości.

Fizycy oswoili się także z koncepcją egzotycznego horyzontu, który rozcina czasoprzestrzeń na dwa obszary, między którymi wymiana informacji jest niemożliwa, a przekroczyć go można tylko w jedną stronę. Nie dziwiło to, bo teoria Einsteina już wcześniej zerwała z absolutną przestrzenią i czasem, a eksperymenty potwierdziły, że tempo upływu czasu zależy od układu odniesienia – zegary na orbicie okołoziemskiej chodzą szybciej niż na powierzchni Ziemi.

Przyjęła się też nazwa „czarna dziura”. Niektórzy ją z początku bojkutowali, bo uważali, że jest obsceniczna. Na przykład długo jej unikała redakcja „Physical Review Letters”. Gdy w filmie Woody Allena „Przejrzyć Harry’ego” bohater pyta prostytutkę „Czy ty przynajmniej wiesz, co to jest czarna dziura?”, ona odpowiada: „Oczywiście, codziennie zarabiam nią na czynsz”. W Polsce mówiło się o kolapsach albo czarnych dołach, zanim ugruntował się termin „czarna dziura”.

●
Pozostał jednak najtrudniejszy problem: osobliwość we wnętrzu czarnej dziury.

Kilka lat po konferencji w Jabłonnie Roger Penrose pokazał, że osobliwości są nieuchronnym końcem grawitacyjnego kolapsu – nie da się ich uniknąć we wnętrzu żadnego obszaru, z którego światło nie może uciec. Stephen Hawking poszedł dalej: w swoim twierdzeniu kosmologicznym wykazał, że w ramach ogólnej teorii względności sam Wszechświat również musiał rozpocząć się osobliwością. Ani tej pierwszej osobliwości, która była początkiem czasu, ani tych późniejszych, które stanowią jego kres, nie możemy zbadać. Być może więc nigdy nie dowiemy się, czy osobliwości są krańcem Wszechświata, czy tylko krańcem naszej zdolności przewidywania i opisu rzeczywistości. Zwykle przyjmuje się, że nie są realne. To racji miejsca, w których teoria Einsteina traci swoją moc przewidywania. I dopiero nowa teoria grawitacji, zapewne kwantowa, podpowie nam, co się tam naprawdę dzieje naprawdę.

Próby połączenia kwantów z grawitacją trwają od dawna. Już Stephen Hawking pokazał, że prowadzą do wniosku, iż czarne dziury nie są trwałe: promieniują, więc z czasem wyparowują. Dla czarnych dziur o masie gwiazdowej byłby to jednak proces trwający wielokrotnie dłużej niż wiek Wszechświata. Nie wiadomo też, co wtedy dzieje się z osobliwością. Czy również znikają? Nie ma pewności. Jak dotąd promieniowania Hawkinga nie wykryto ani bezpośrednio, ani pośrednio. Poza tym znikanie czarnych dziur rodzi kolejne kłopoty. Jeden z nich ochrzczono paradoksem kota Hawkinga.

Wyobraźmy sobie eksperyment myślowy: roztargniony Hawking przypadkiem wrzuca kota do czarnej dziury. Zgodnie z ogólną teorią względności widzi, że kot z punktu widzenia kota przebieg wydarzeń jest zupełnie inny. Kot szybko przekroczy horyzont, spadnie do osobliwości i zostanie unicestwiony. Hawking będzie daremnie czekać na jego powrót. Dopóki Hawking i kot należą do dwóch odseparowanych regionów czasoprzestrzeni, nie ma paradoksu. Problem pojawia się dopiero po wyparowaniu czarnej dziury, bo znika ostatnia możliwa kryjówka nieszczęsnego kota. Co w takim razie naprawdę się z nim stało?

Profesor Abramowicz przekonuje, że i to nie musi prowadzić do sprzeczności – trzeba tylko spojrzeć na całość za pomocą diagramów Penrose’a. Wówczas okaże się, że kot – niestety – nie może wrócić do Hawkinga, bo przekroczy horyzont i wpadnie do osobliwości w tej samej chwili, gdy czarna dziura już ostatecznie znikła. Nie ma ani czarnej dziury ani kota, który wypadł z rzeczywistości.

Zdaniem Briana Coxa, brytyjskiego fizyka, wspaniałego popularyzatora, czarne dziury mogą być kluczem do zrozumienia natury rzeczywistości. Są jak lustra, w których fizyka ogląda własne ograniczenia. To w nich spotykają się dwie największe teorie XX wieku – ogólna względność i mechanika kwantowa – i zaczynają się nawzajem podważać. Jedna opisuje gładką, ciągłą czasoprzestrzeń, druga świat probabilistycznych kwantów.

Obie z sukcesem przechodzą wszystkie testy eksperymentalne. Elektrodynamika kwantowa – czasem przedstawiana najdokładniej sprawdzoną teorią w dziejach nauki – przewiduje moment magnetyczny elektronu z dokładnością do 13 miejsca po przecinku. Z drugiej strony – jak podkreśla profesor Abramowicz – obserwacje detektorów LIGO/Virgo potwierdziły, że prędkość fal grawitacyjnych zgadza się z prędkością światła do 15 miejsca po przecinku. Dokładnie tak, jak wymaga tego teoria Einsteina. Być może więc to właśnie czarne dziury są bramą do teorii ostatecznej: takiej, która połączy Einsteina z Planckiem, geometrię z niepewnością, a czas z bitami informacji. Teorii, która nie tylko opisie Wszechświat, lecz wyjaśni, czym on naprawdę jest. ●

• *A jednak się kręci – tytuł tekstu nawiązuje do słynnej uwagi wyszeptanej przez Galileusza przed sądem inkwizycji po tym, jak odwołał teorię heliocentryczną.

Drogowcy „poprawili” ważne skrzyżowanie w Łodzi

Korki sięgają kilometra

„Wstrząsający pokaz głupoty. Łódź pełna jest absurdów drogowych, ale ten jest koronny” – pisze na osiedlowym forum mieszkaniac Zarzewia. Inny dodaje z ironią: „W końcu zrobili porządek z tym całkiem płynnie działającym lewoskrętem w mieście”.

Bartłomiej Derdzikowski

W wielu miejscach Łodzi są ulice i skrzyżowania, po których po remontach jeździ się gorzej, niż wcześniej. Ich modernizacja miała upłynić ruch, a jest zupełnie odwrotnie. Kierowcy stoją w korkach i tracą czas i nerwy.

Mieszkańcy Zarzewia wymieniają m.in. remont ulicy Przybyszewskiego od placu Reymonta do al. Śmigłego-Rydza, która została zwiężona, a do tego zmieniono zasady ruchu przy skrzyżowaniu z ulicą Przędzalnianą.

Nowe zasady na skrzyżowaniu i wielkie korki

Teraz drogowcy wzięli się za „naprawę” skrzyżowania Przybyszewskiego z Tatrzańską. Ruch zawsze był tu płynny. Oczywiście w godzinach szczytu trzeba było swoje odstąpić, ale gdyby stworzyć ranking skrzyżowań w Łodzi, przez które jeździ się najgorzej, to tego by na niej na pewno nie było. Do czasu, bo teraz z pewnością już tak.

Od kilku dni, gdy łodzianie wracają po pracy do domów, jest tu prawdziwy armagedon. Jakub Hubert, mieszkaniac okolicy i przewodniczący Rady Osiedla Zarzew, prosi, by cytować także brzydkie słowa, jakich używa, opisując to, co dzieje się na Przybyszewskiego od kilku dni, ale oczywiście tego zrobić nie możemy. Niemniej pan Jakub jest bardzo wzburzony. Tak samo, jak wielu jego sąsiadów. Wystarczy wejść na facebookowe forum Zarzewiak. – To jest coś niewyobraźnego! Kto wpadł na pomysł i z jakiego powodu, by znacznie ograniczyć przepustowość skrzyżowania ul. Przybyszewskiego z Tatrzańską? – pyta Hubert.

Kilka dni temu (jak podkreśla łodzianin bez informowania lub konsultowania sprawy z Radą Osiedla Zarzew) zamontowano na Przybyszewskiego separator dla lewoskrętu w Tatrzańską. Chodzi o kierunek ze wschodu na zachód, czyli dla ruchu z Widzewa w stronę centrum miasta. – Obecnie jadąc tą ulicą ze wschodu do centrum i chcąc skręcić z niej lewo w ulicę Tatrzańską, pas do lewoskrętu ma długość około czterech aut. Tym samym dzięki zamontowanym separatorom jego długość została zmniejszona o około dwie trzecie – wizualizuje Hubert.

Byliśmy na miejscu i potwierdzamy, tak rzeczywiście jest. – Już wcześniej, przed realizacją tego pomysłu, auta skręcające w lewo w ulicę Tatrzańską często blokowały pas do jazdy na wprost. Obecnie, podczas godzin szczytu, zatory spowodowane taką organizacją ruchu sięgają około kilometra, tj. aż do wiaduktu na ul. Przybyszewskiego – a być może dalej, ale stojąc przy skrzyżowaniu z Tatrzańską trudno to ocenić – opisuje łodzianin.

Rzeczywiście tak jest, auta chcące skręcić w lewo w ul. Tatrzańską blokują pas dla aut jadących na wprost. – W efekcie nowa organizacja ruchu spowodowała, że jedna z dwóch ulic łączących Widzew-Wschód i Olechów i Janów oraz Andrzejów i okolice – praktycznie cały wschód Łodzi i przyległe gminy – straciła przepustowość o 50 procent. Został jeden pas ruchu dla aut jadących na wprost



• Korek na ulicy Przybyszewskiej przy skrzyżowaniu z Tatrzańską w Łodzi

FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

lub skręcających w prawo. A przypominam, że ul. Przybyszewskiego jest jedną z tylko dwóch ulic, wraz z al. Piłsudskiego, łączących bezpośrednio wyżej wymienione części Łodzi z centrum – zauważa Hubert.

Przewodniczący rady osiedla napisał maila do Zarządu Dróg i Transportu, Biura Inżyniera Miasta oraz Zarządu Inwestycji Miejskich, prosząc o wyjaśnienia. Ceka na odpowiedź. Łodzianin domyśla się, skąd ten pomysł – zmiana organizacji ruchu miała zapewne ułatwić skręt w lewo autobusom, które jadą pasem specjalnym środkiem Przybyszewskiego, a potem skręcają w lewo.

I dodaje, że jeśli rzeczywiście chodziło o ułatwienia dla komunikacji miejskiej, to czy nie wystarczyłoby po prostu przeprogramować świateł.

– W czym problem, by zamiast tego utrudniającemu życie łodzianom rozwiązaniu nie przeprogramować osławionego, powszechnie działającego i niezawodnego Obszarowego Systemu Sterowania Ruchem, tak by cztery razy na godzinę załączył na 10 sekund dodatkowe światło zielone dla pojawiającego się sporadycznie autobusu linii 75? Druga opcja,

jeśli OSSR nie działa, to po prostu „puścić” autobus zwykłym pasem ruchu – mówi.

Na osiedlowym forum wrze: „Co za debilizm!”

Jego uwagi i protesty popierają mieszkańcy okolicy. Przytoczmy niektóre wpisy z forum osiedla. „No w końcu ktoś się wziął za ten całkiem sprawnie działający lewoskręt. Teraz należałoby jeszcze zrobić przejście dla pieszych na wysokości Grota-Roweckiego wyzwalane na żądanie. To ostatecznie zablokuje Przybyszewskiego w obu kierunkach” – to słowa pana Tomasza.

„Wstrząsający pokaz głupoty. Łódź pełna jest absurdów drogowych, ale ten jest koronny. Jeżdżę tędy często, nie rozumiem, dlaczego zarząd dróg podjął decyzję o zablokowaniu ul. Przybyszewskiego, układając krawężniki w poprzek pasa ruchu. Stojący za tym ludzie mają defekty poznawcze” – to słowa pana Karola.

Co na to urzędnicy?

„Wyborcza” zapytała Urząd Miasta Łodzi i Zarząd Dróg i Transportu:

- Dlaczego zamontowano separator dla lewoskrętu na ul. Przybyszewskiego w ul. Tatrzańską? Jakiego było tego założenie?
- Jeśli chodzi o autobus, to czy nie można było po prostu (działa OSSR) wydłużyć cyklu świateł, kiedy autobus przejeżdża (to ledwie cztery autobusy na godzinę)?
- Czy decyzję podjęto na podstawie jakichś analiz?
- Czy przewidziano, że będzie blokował się ruch na wprost i taka zmiana spowoduje ogromne korki, który w godzinach szczytu ciągną się aż do wiaduktu na Przybyszewskiego?
- Czy widzicie, co spowodowała ta zmiana i będziecie reagować, tj. np. wracać do poprzedniego rozwiązania?

• Co powiecie mieszkańcom okolicy/kierowcom, których ta zmiana bardzo zdenerwowała?

„Po ul. Przybyszewskiego autobusy kursują wspólnie z tramwajami po torowisku oprócz linii 75, która nie miała na swojej trasie możliwości odpowiedniego wjazdu i zjazdu ze wspólnego pasa. Stąd też, aby zintegrować wszystkie linie na tych samych przystankach i ułatwić podróżowanie i przesiadki pasażerom, zdecydowano o zmianach w ruchu. Do tej pory trzy linie zatrzymywały się na torowisku, a linia 75 na jezdni. Co utrudniało podróżowanie, szczególnie na wspólnym ciągu tych linii” – tłumaczy Tomasz Andrzejewski, rzecznik spółki Łódzkie Inwestycje.

I dodaje, że „aby umożliwić zjazd autobusów ze wspólnego torowiska na lewoskręt, utworzono pas włączeniowy. Separator mają pozwolić na płynną zmianę pasa, a jednocześnie umożliwić przejazd po torowisko, aby zjeżdżająca linia 75 nie blokowała innych tramwajów czy autobusów jadących prosto Przybyszewskiego”.

Tomasz Andrzejewski odpowiedział też na pytanie dotyczące zmiany cyklu świateł. Jego zdaniem to niemożliwe. „Polskie prawo nie pozwala na kierunkowe sygnalizatory dla autobusów, więc skręcając ze wspólnego pasa, nie mógłby się odbywać ruch w żadnym innym kierunku, ponieważ autobus ma wtedy prawo pojechać w każdą stronę. To spowodowałoby dodatkową fazę świateł, która blokowałaby ruch kołowy i przejazd pozostałych linii komunikacji miejskiej. Dlatego też rozważyliśmy utworzenie pasa włączeniowego, aby linia 75 zjechała na lewoskręt w Tatrzańską” – tłumaczy.

Rzecznik Łódzkich Inwestycji dodał: „Oczywiście sprawdzimy, czy organizacja ruchu została wykonana zgodnie z projektem organizacji ruchu i jak to będzie wpływało na pozostałych uczestników ruchu”. ●

REKLAMA

Łódź/34409931

OGŁOSZENIE PŁATNE

Łódź/34409476

www.kmmokno.pl
niemiecka technologia
polska cena!

OKNA
z PCV oraz ALU
rolety
żaluzje
plisy

10 lat gwarancji!

raty i rabaty
termin 7 dni

KMM OKNO

Łódź, ul. Inflancka 52
tel. 42 659 99 77,
604 976 009

FABRYKA OKIEN

H. SKRZYDLEWSKA
ZAKŁAD POGRZEBOWY

- Kompleksowa organizacja pogrzebów
- Całodobowy transport zmarłych
- Kwiaty, wieńce, oprawa muzyczna
- Wsparcie formalne i doradztwo
- Międzynarodowy transport zmarłych
- Własne krematoria

Całodobowo: 42 672 33 33
800 672 333

Tradycja • Rzetelność • Profesjonalizm

Poznański szpital już korzysta z robota najnowszej generacji

Lekarze są zachwyceni

Wózek z czterema ramionami przejeżdża nad stołem z pacjentem, a operator zajmuje miejsce za konsolą. Choć wizualnie robot da Vinci piątej generacji nie różni się szczególnie od poprzednich, lekarze mówią o wejściu w nową erę.

Mikołaj Woźniak

Na stole w sali operacyjnej leży już pacjentka pod narkozą. Lekarze i pielęgniarki monitorują jej stan, a jednocześnie podłączają kroplówki i ustawiają światła. Nakrywają kobietę narzutą, a do stołu podjeżdża wózek z czterema ramionami.

Po chwili przy konsoli na drugim krańcu sali siada lekarz. To prof. Witold Kycler, ordynator oddziału chirurgii onkologicznej chorób przewodu pokarmowego i zastępca dyrektora Wielkopolskiego Centrum Onkologii w Poznaniu.

– Operuję pacjentkę z zaawansowanym rakiem odbytnicy z naciekaniami – tłumaczy Kycler, w międzyczasie rozcinając tkanki, żeby przygotować

się do zasadniczej fazy operacji. Steruje dwoma kontrolerami, a ramiona robota odwzorowują jego ruchy. Na trzech umieszczonych w sali ekranach widzę to samo, co lekarz. Za chwilę Kycler wytnie zmiany nowotworowe. W Wielkopolskim Centrum Onkologii trwa czwarta operacja z użyciem robota Da Vinci piątej generacji.

Pierwsze operacje nowym robotem w Poznaniu

Inauguracyjna operacja odbyła się w czwartek, 18 grudnia. Za sterami robota usiadł dr Błażej Nowakowski, ordynator oddziału ginekologii operacyjnej, onkologicznej i endoskopowej. – System jest łatwiejszy w obsłudze, ma mniej elementów i kabli. Maszyna jest delikatniejsza, lżejsza, zapewnia chirurgowi zdecydowanie bardziej ergonomiczną pozycję, co jest ważne przy wielogodzinnej pracy – wylicza Nowakowski dzień po operacji.

Dodaje, że nowy robot zapewnia o wiele lepsze obrazowanie tkanek, które za pół roku jeszcze ma się poprawić. Obraz, który widzi lekarz ma czterokrotnie więcej pikseli, niż przy poprzedniej generacji robota.

W czasie pierwszych operacji lekarze wypróbowali system, który pozwala na bieżący podgląd obrazu z wykonywanej równocześnie kolonosko-



• **Druga operacja z użyciem robota Da Vinci 5 w Wielkopolskim Centrum Onkologii. Poznań, 18 grudnia 2025 roku**

FOT. PIOTR SKÓRNIKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

pii, żeby dokładniej zlokalizować guza. Podobnie mogą przeglądać wcześniejsze wyniki tomografii czy rezonansu. Nie muszą wstawać od konsoli, żeby zmienić parametry ciśnienia, czy moc urządzeń. Nowością jest też możliwość nawiązania połączenia z konsultantem firmy produkującej robota, żeby na bieżąco omówić z nim przebieg operacji.

– System jest zbudowany na zupełnie innej bazie, z myślą o przyszłości – porównuje pracę nowoczesnego robota z poprzednim modelem Nowakowski. O pierwszej zoperowanej nowym robotem pacjentce mówi: – Jest w świetnym stanie. Gdybyśmy chcieli, to już dziś byłaby gotowa do wyjścia do domu, ale standardowo pacjent-

ki trzymamy do drugiej doby, więc wyjdzie jutro.

Zabieg przeszła Beata Grząślewicz. Nowakowski wycinał u niej zmiany nowotworowe macicy. – Dobrze się czuję. Wstałam rano, zjadłam kleik, jest bardzo dobrze – zapewnia. Demonstruje, że krótko po poważnej operacji, może już chodzić.

Lekarze wskazują, że to atut korzystania z chirurgii robotowej czy szerzej – laparoskopowej. Zabiegi są możliwie jak najmniej inwazyjne dla pacjentów. Szybciej dochodzą do pełni sił po zabiegu. – Moim zdaniem robot jest bardziej dedykowany do zabiegów w miednicy, gdzie jest ciasno i wąsko. Dzięki precyzji możemy np. operować tuż nad zwieraczami, co pozwala wielu pacjentom uniknąć wyłonięcia stomii – dodaje Kycler.

Pierwszy taki robot w publicznym szpitalu

Magdalena Sierszyńska z firmy Intuitive Surgical, wyłącznego dystrybutora robota da Vinci na nasz kraj, zapewnia: – Wielkopolskie Centrum Onkologii jest pierwszym publicznym szpitalem w Polsce, który wdrożył model Da Vinci 5 do codziennej pracy. – To system, który zdecydowanie wyprzedza inne rozwiązania na rynku – chwali Witold Kycler.

Przez osiem lat lekarze wykonali w WCO 1800 zabiegów robotowych. Przede wszystkim w zakresie ginekologii, zmian w jelicie grubym oraz chirurgii głowy i szyi. Od ubiegłego miesiąca w szpitalu wykonuje się z użyciem robota także zabiegi urologiczne. Nowy robot otworzy możliwości na wyjście poza standardowe procedury i operacje górnego odcinka przewodu pokarmowego – np. trzustki i żołądka.

Kycler wskazuje, że liczba zabiegów z użyciem robota w Wielkopolsce odstaje od reszty kraju. Średnia dla Polski wynosi 46 zabiegów na 100 tys. mieszkańców. Są województwa, gdzie liczba ta sięga setki. A w Wielkopolsce mamy ich 36. – Coś jest nie tak. Są duże braki, jeśli chodzi o dostępność dla pacjentów z Wielkopolski w zakresie robotyki – diagnozuje.

Jednocześnie zauważa, że sytuacja powinna się poprawiać. Jego zdaniem w Polsce doszło do przełomu, bo od początku 2024 roku do dziś liczba robotów w szpitalach wyniosła około sto. To znaczy, że niemal się podwoiła.

– Gdy 8 lat temu zaczynaliśmy pracę na robotach, mieliśmy 10 lat opóźnienia względem Europy. Teraz, wykonując pierwszy zabieg na nowym aparacie, startujemy absolutnie równo z resztą kontynentu. Nadrobiliśmy zaległości – ocenia dr Nowakowski. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE

Poznań/34413283

Zarząd Województwa Wielkopolskiego informuje, iż w dniu 23 grudnia 2025 r., w siedzibie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego w Poznaniu, przy al. Niepodległości 34, parter, zostały wywieszone do publicznej wiadomości, na okres 21 dni następujące wykazy:

- wykaz nieruchomości przeznaczonej do zbycia w formie darowizny przez Województwo Wielkopolskie, stanowiący załącznik do uchwały nr 2944/2025 Zarządu Województwa Wielkopolskiego z dnia 18 grudnia 2025 r.
- wykaz nieruchomości przeznaczonych do oddania w nieodpłatne użytkowanie przez Województwo Wielkopolskie, stanowiący załącznik do uchwały nr 2943/2025 Zarządu Województwa Wielkopolskiego z dnia 18 grudnia 2025 r.

OGŁOSZENIE PŁATNE

Poznań/34413403

Prezydent Miasta Konina informuje, że od 23 grudnia 2025 r. do 13 stycznia 2026 r. na tablicy informacyjnej Urzędu Miejskiego w Koninie przy Placu Wolności 1 będzie wywieszony wykaz nieruchomości stanowiącej własność **Miasta Konina**, położonej w Koninie, w obrębie Łężyń przeznaczanej do zbycia w drodze zamiany.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34413514

Słówko • Literówka
Quizy • Sudoku
Krzyżówki

Szukaj  w  **APLIKACJI WYBORCZEJ**

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

OGŁOSZENIE PŁATNE

Poznań/34413284

REGIONALNY DYREKTOR OCHRONY ŚRODOWISKA W POZNANIU

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 43 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (Dz. U. z 2024 r. poz. 1112 z późn. zm.) Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Poznaniu podaje do publicznej wiadomości informację o przyjęciu dokumentów – zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Poznaniu z dnia 23 grudnia 2025 roku w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Dolina Bukówki PLH300046 oraz zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Poznaniu z dnia 23 grudnia 2025 roku w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Dolina Miały PLH300042.

Zainteresowane osoby mogą się zapoznać z ww. dokumentem oraz jego uzasadnieniem, o którym mowa w art. 42 pkt 2 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko, w siedzibie RDOŚ w Poznaniu, mieszczącej się przy ul. Tadeusza Kościuszki 57 w Poznaniu oraz w wersji elektronicznej na stronie Biuletynu Informacji Publicznej RDOŚ w Poznaniu w zakładce Zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Poznaniu.

Regionalny Dyrektor
Ochrony Środowiska w Poznaniu
Marcin Nowak

OGŁOSZENIE PŁATNE

www.nekrologi.wyborcza.pl/34413504

Drogiej Koleżance

Asi Buczkowskiej-Prajs

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

koleżanki i koledzy z SSP IUSTITIA Oddział Wielkopolski

OGŁOSZENIE PŁATNE

Poznań/34413285

REGIONALNY DYREKTOR OCHRONY ŚRODOWISKA W POZNANIU

OBWIESZCZENIE

Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Poznaniu na podstawie art. 28 ust. 4 ustawy z dnia 16 kwietnia 2004 r. o ochronie przyrody (Dz. U. z 2024 r. poz. 1478 z późn. zm.) oraz § 2 pkt 3 rozporządzenia Ministra Środowiska z dnia 17 lutego 2010 r. w sprawie sporządzania projektu planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 (Dz. U. z 2024 r. poz. 99) podaje do publicznej wiadomości informację o zamiarze przystąpienia do sporządzenia projektu planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Dąbrowy Obrzyckie PLH300003.

Szczegółowe informacje związane z zamiarem przystąpienia do sporządzenia projektu planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Dąbrowy Obrzyckie PLH300003 znajdują się w siedzibie RDOŚ w Poznaniu, mieszczącej się przy ul. Tadeusza Kościuszki 57 w Poznaniu.

Regionalny Dyrektor
Ochrony Środowiska w Poznaniu
Marcin Nowak

OGŁOSZENIE PŁATNE

Poznań/34413331

INFORMACJA

Prezydenta Miasta Piły z dnia 19 grudnia 2025 r.

Działając na podstawie art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2024 r. poz. 1145, z późn. zm.) Prezydent Miasta Piły informuje, że:

- 15 grudnia 2025 r. został wywieszony na okres 21 dni w siedzibie Urzędu Miasta Piły wykaz nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży, określony zarządzeniem Prezydenta Miasta Piły Nr 677(390)25 w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości położonych przy ul. Szkolnej w Pile, przeznaczonych do sprzedaży w drodze przetargów ustnych nieograniczonych,
- 17 grudnia 2025 r. został wywieszony na okres 21 dni w siedzibie Urzędu Miasta Piły wykaz nieruchomości przeznaczonych do wynajęcia, określony zarządzeniem Prezydenta Miasta Piły Nr 681(394)25 w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości położonej w Pile przy alei Powstańców Wielkopolskich przeznaczonych do wynajęcia w trybie bezprzetargowym.

Powyższe wykazy zamieszczono na stronie internetowej Urzędu Miasta Piły w Biuletynie Informacji Publicznej pod adresem www.bip.pila.pl.

Skandal wokół konkursu w Muzeum Stutthof

Wygrała firma syna wicedyrektora

Syn wicedyrektora chciał prowadzić gastronomię w nowym Centrum Obsługi Zwiedzających w Muzeum Stutthof. I będzie ją prowadził. Tak zdecydowali urzędnicy, w tym ci, którzy podlegają jego ojcu.

Dorota Karaś, Joanna Wiśniowska

Muzeum Stutthof w Sztutowie znajduje się na terenie dawnego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i obozu zagłady działającego w latach 1939-1945. We wrześniu w placówce zakończyła się budowa nowego Centrum Obsługi Zwiedzających. Zwiedzający znajdą tu podstawowe informacje o placówce, kupią bilety i właśnie tu rozpoczną zwiedzanie tego miejsca pamięci. Inwestycja kosztowała ponad 12 milionów złotych, dofinansowanie pochodziło z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Muzeum Stutthof nie widzi problemu, że konkurs wygrał syn wicedyrektora

Na początku listopada muzeum ogłosiło konkurs na dwuletni najem 33-metrowej powierzchni przeznaczonej do prowadzenia działalności gastronomicznej w nowym budynku. Postępowanie przygotował dział administracyjny. Kieruje nim wicedyrektor Muzeum Stutthof, Piotr Piechnik. Wpłynęły dwie oferty. Wyniki poznaliśmy miesiąc temu.

Wygrała firma Auto Kajtek Bartłomiej Piechnik. Zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa. Firma należy do syna wicedyrektora. Wygrała, bo zaproponowała wyższą stawkę czynszu.



• Muzeum Stutthof w Sztutowie FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Wyborcza” poprosiła Muzeum Stutthof o odpowiedź na pytanie, czy placówka nie uważa, że doszło w tej sytuacji do konfliktu interesów. W piątek 12 grudnia pytania wysłaliśmy rzecznikowi prasowemu. Z odpowiedzi przesłanej przez sekretariat muzeum wynika, że kierownictwo nie widzi w tym nic złego.

Członkowie komisji podlegają wicedyrektorowi

Jak to uzasadnia? „Postępowanie prowadziła 4-osobowa komisja powołana do oceny ofert i wyboru najemcy. Nie brał w nim udziału zastępca dyrektora. Postępowanie zostało przeprowadzone w sposób przejrzysty z zachowaniem konkurencyjności poprzez zamieszczenie ogłoszenia w sposób

umożliwiający złożenie oferty każdemu zainteresowanemu” – przekazało Muzeum Stutthof.

Jak się dowiadujemy, dwie z czterech osób zasiadających w komisji pracują w działach administracyjnym i remontowo-gospodarczym, podlegających bezpośrednio wicedyrektorowi Piechnikowi.

„Wyborcza” zwróciła się z podobnym pytaniem do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, któremu muzeum podlega, czy w sprawie konkursu nie doszło do naruszenia zasad. Treść odpowiedzi MKiDN na zadane przez „Wyborczą” pytania jest taka sama, jak ta, którą dostaliśmy z Muzeum Stutthof. Jednak ministerstwo dodaje, że w Muzeum odbyła się kontrola. – Obecnie przygoto-

wywane jest wystąpienie pokontrolne, które będzie opublikowane na stronie BIP MKiDN – zapowiadają resortowi urzędnicy.

**To konflikt interesów.
To kwestia braku
kultury i systemu,
w którym nie ma
standardów**

MARZENA BŁASZCZYK Z SIECI
OBYWATELSKIEJ WATCHDOG

Do czasu publikacji tego artykułu wyników kontroli nie było jeszcze na stronie Biuletynu Informacji Publicznej.

Inaczej sprawę ocenia Marzena Błaszczuk z Sieci Obywatelskiej Watchdog. – To konflikt interesów – nie ma wątpliwości. – To kwestia braku kultury i systemu, w którym nie ma standardów.

Rozmówczyni „Wyborczej” podkreśla, że problemem jest systemowy brak polityki w zakresie konfliktu interesów. Dodaje, że temat standardów został zaniedbany przez rządzących. – Brakuje odpowiednich ustaw, które będą zapobiegać takim sytuacjom jak w Sztutowie – dodaje przedstawicielka stowarzyszenia, które monitoruje działania władz publicznych, dba o prawo obywateli do informacji publicznej, edukując o ich prawach i działając – tak zwykło określać – jako pies stróżujący demokracji.

Muzeum Stutthof sprzedaje rowery i sprzęt AGD z czasów PiS

Muzeum Stutthof powstało w 1962 roku, dzięki staraniom byłych więźniów KL Stutthof. Jego dyrektorem od 2007 roku jest Piotr Tarnowski. W sezonie muzeum odwiedza ponad 25 tysięcy osób miesięcznie, od października do kwietnia miesięczna liczba zwiedzających zdecydowanie spada i wynosi mniej niż 6 tysięcy.

Od 2015 roku Muzeum Stutthof prowadzi oddział – Muzeum Piaśńskie w Wejherowie, powołane kosztem 30 mln zł z inicjatywy Jarosława Sellina, wiceministra kultury w rządzie PiS. Do roku 2024 kierowała nim Teresa Pastidis, była asystentka posła Sellina. Jej następczyni zarzuciła jej niegospodarność, a Muzeum Stutthof wystawiło na licytację zakupione do placówki w Wejherowie sprzęty AGD i rowery. Przedmiotów o wartości ponad 40 tys. zł nie udało się sprzedać. ●

Ranking ogólniaków Trójmiasta

Gdzie matura z matematyki wypadła najlepiej?

Policzyliśmy, które ogólniaki z Trójmiasta są najlepsze z matematyki. Nasz ranking powstał na podstawie wyników matur z ostatnich trzech lat.

CKE i działający w jej ramach zespół pod kierunkiem prof. Romana Dolaty z Uniwersytetu Warszawskiego opublikowali wskaźniki tzw. Edukacyjnej Wartości Dodanej (EWD) oraz zbiorcze wyniki tegorocznych matur dla poszczególnych szkół w całej Polsce. Wyniki zaprezentowane na stronie ewd.edu.pl dotyczą matur z trzech ostatnich lat. Dlaczego aż trzech? Bo głównym celem badaczy jest obliczenie na ich podstawie wskaźnika tzw. edukacyjnej wartości dodanej (EWD) dla każdej szkoły. Wskaźnik ten jest tym dokładniejszy, im więcej danych udało się w nim zawrzeć (im większa liczba maturzystów, tym lepiej). Dlatego zespół statystyków bierze pod uwagę trzy ostatnie roczniki maturalne.

Czym jest EWD? To narzędzie oceny szkół, które opiera się na technikach statystycznych, pozwalających zmierzyć wkład szkoły w wyniki nauczania.

W rezultacie udało się określić postęp w zdobywaniu wiedzy i umiejętności u grupy uczniów poprzez zestawienie tego, z czym przyszli do szkoły, z wynikami, z jakimi ją opuszczają. W praktyce oznacza to porównanie wyników uczniów np. z egzaminu gimnazjalnego i matury.

Dane opublikowane na stronie ewd.edu.pl dotyczą kilku przedmiotów maturalnych, m.in. języka polskiego, matematyki i języka angielskiego.

Egzamin pisemny z matematyki zdało w tym roku 88,4 proc. maturzystów (w liceach 91,6 proc., w technikalach – 83,5 proc.). „Wyborcza” przygotowała ranking trójmiejskich liceów ogólnokształcących na podstawie opublikowanych przez Centralną Komisję Egzaminacyjną uśrednio-

nych wyników egzaminów – uzyskanych przez poszczególne ogólniaki. ●
Katarzyna Fryc

Pierwsza dziesiątka liceów z Trójmiasta

- III LO w Gdyni (122,1 pkt),
- Gdańskie Liceum Autonomiczne (119 pkt),
- I LO w Gdańsku (118,5 pkt),
- V LO w Gdańsku (118,1 pkt),
- VI LO w Gdyni (117,4 pkt),
- XX LO w Gdańsku (115,8 pkt),
- III LO w Gdańsku (113,7 pkt),
- Katolickie Liceum Ogólnokształcące w Gdyni (111,9 pkt),
- X LO w Gdyni (111,4 pkt),
- ex aequo: II LO w Sopocie i II LO w Gdyni (111,2 pkt).

OGŁOSZENIE PŁATNE

Gdańsk/34411783

PSM „Przymorze” Administracja Osiedla nr 3

ul. Jagiellońska 4a, 80-371 Gdańsk

ogłasza przetarg nieograniczony na wykonanie robót remontowych w budynkach mieszkalnych i użytkowych:

- Elektryczne i gazowe
- Ogólnobudowlane
- Drogowe
- Przeglądy gazowe, kominiarskie

Materiały do Przetargu w cenie 100,00zł brutto za każdy wyodrębniony zakres robót można nabyć w Dziale Technicznym A0-3, ul. Jagiellońska 4a. Oferta powinna zawierać:

- wypełniony formularz oferty
- wszystkie załączniki wymienione w formularzu
- potwierdzenie optacenia wadium

Oferent Powinien wpłacić wadium w wysokości 5% proponowanej wartości robót na konto:

Bank PKO S.A IV/0 Gdańsk 46 1240 1271 1111 0000 1491 8885 do dnia 09.01.2026 r.

Szczegółowy zakres oraz warunki przetargu znajdują się w Dziale Technicznym A0 – 3, tel. 58 553 10 11.

Oferty należy składać w siedzibie A0-3 do dnia 09.01.2026 r. do godz. 13.00. Otwarcie ofert nastąpi w dniu 12.01.2026r. o godz. 10.00 w siedzibie A0-3.

Zastrzegamy sobie prawo swobodnego wyboru oferenta lub odstąpienia od przetargu bez podania przyczyny.

Z wielkim smutkiem żegnamy
naszego Kolegę i Przyjaciela

dr. n. med.

Jana Jerzego Bekiera

składa

*Zespół Kliniki Neurochirurgii i Onkologii Układu Nerwowego
Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, USK nr 1 im. Norberta Barlickiego w Łodzi*

www.nekrologi.wyborcza.pl/34413362

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 19 grudnia 2025 roku
odszedł na zawsze w wieku 86 lat



Aleksander Kuźmin

Na zawsze pozostanie w naszych sercach i pamięci.

Pograżeni w smutku

Rodzina i Przyjaciele

Uroczystość pogrzebowa odbędzie się
27 grudnia 2025 roku o godzinie 12.30
w Kaplicy przy cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

www.nekrologi.wyborcza.pl/34413507

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 19 grudnia 2025 roku
zmarł w wieku 80 lat



Józef Poniewierski

Ceremonia pogrzebowa zostanie odprawiona
dnia 23 grudnia 2025 roku
w Kościele pw. Chrystusa Zbawiciela w Gdańsku Osowej.
Różaniec o godzinie 11:15
Msza Święta o godzinie 12:00.

Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia
po Mszy Św. na Cmentarzu w Chwaszcznie.

Pograżona w żalu

Rodzina

www.nekrologi.wyborcza.pl/34413535

Składamy najszczerze wyrazy współczucia

Panu profesorowi Adamowi Koli

Pierwszemu Zastępcy Rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

oraz

Pani profesor Jadwidze Chudziak-Koli

po śmierci Taty i Męża

profesora Andrzeja Koli

zasłużonego nauczyciela akademickiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Kolegium Rektorskie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu



www.nekrologi.wyborcza.pl/34413555

 ODESZLI.pl

Stwórz Miejsce Pamięci
Wejdź na serwis **odeszli.pl**

NIERUCHOMOŚĆ INWESTYCYJNA



**KRAJOWY OŚRODEK WSPARCIA
ROLNICTWA
OT w GÓRZOWIE WLKP.
Sekcja Zamiejscowa w Zielonej Górze**

informuje, iż do sprzedaży przygotowano
nieruchomość niezabudowaną
położoną na terenie o funkcji
usługowo-techniczno-produkcyjnej.

Nieruchomość zlokalizowana jest
w **województwie lubuskim, powiecie
zielonogórskim, gminie Sulechów:**

– obrębach: **Brzezine k. Sulechowa, Kije,
Mozów**, działki ewidencyjne nr:
20/3, 6/41, 59/2
o łącznej pow. 14,3859 ha

**cena wywoławcza:
14.592.200,00 zł brutto**

Szczegółowe informacje o nieruchomości oraz
warunkach jej nabycia podane zostały do publicznej
wiadomości poprzez wykaz wywieszony dnia
22.12.2025 r. znak: **GOR.WKU.ZG.4240.148.2025.
EK.112.**

Blisze informacja uzyskać można w:
KOWR OT w Gorzowie Wlkp. Sekcja Zamiejscowa
w Zielonej Górze, ul. Chemiczna 2a,
65-713 Zielona Góra TEL. (68) 506 52 52,
E-MAIL: zielona.gora@kowr.gov.pl lub na stronie
internetowej: www.nieruchomoscikowr.gov.pl

www.gov.pl/kowr

Lubuskie/34413077



**Burmistrz Miasta Ustka
informuje, że:**

na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Ustka,
ul. Ks. Kard. St. Wyszyńskiego 3 został
wywieszony na okres 21 dni wykaz
nieruchomości, **przeznaczonej do oddania
w dzierżawę w trybie przetargowym:**

– teren, położony w Ustce przy ul. Pomorskiej,
stanowiący działkę nr 1684/68 na dojsię
do nieruchomości i poprawę obsługi
komunikacyjnej.

Gdańsk/34413469

NEWSLETTER



Komunikaty.pl

Nowości w przepisach,
zamówienia publiczne,
porady ekspertów,
raporty, ogłoszenia.

Dla przedsiębiorców,
urzędników,
zainteresowanych
gospodarką.



ZAPISZ SIĘ

Wejdź na stronę **komunikaty.pl**
lub użyj kodu QR



Działając na podstawie art. 10, 49 i 61 Kodeksu postępowania administracyjnego (t.j. Dz.U. z 2025r., poz. 1691) art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz.U. z 2024r., poz. 311),

Prezydent Miasta Gdańska

zawiadamia o wszczęciu postępowania administracyjnego w sprawie pozwolenia na realizację inwestycji drogowej pn. „Budowa dróg wraz z infrastrukturą techniczną do planowanej elektrowni gazowo-parowej w rejonie Oczyszczalni Ścieków „Wschód” w Gdańsku”, na wniosek z dnia 03.12.2025r., nr rej. wniosku RPW/548092/2025, uzupełnionym w dniu 15.12.2025r. pismem nr RPW/567635/2025 Inwestora: Prezydent Miasta Gdańska – Zarządca dróg publicznych Miasta Gdańska, ul. Nowe Ogrody 8/12, 80-803 Gdańsk, reprezentowanego przez pełnomocników: Pan Marcin Nietupski oraz Pan Grzegorz Błedowski, **wykaz działek w liniach rozgraniczających projektowane pasy drogowe:** (w nawiasach wskazano numery działek przed podziałem)

ul. Benzykowa:
• obr. 0300, dz. nr: 188/1, 198/10 (198/3), 198/7 (198/2) 75/45, 198/4; ul. „D1”:
• obr. 0300, dz. nr: 198/8 (198/2), 197/5 (197/2), 202/32 (202/2), 202/27 (202/12), 202/24 (202/11), 202/30 (202/13);

wykaz nieruchomości lub ich części, z których będzie ograniczone korzystanie w związku z budową lub przebudową sieci uzbrojenia terenu:

• obr. 0300, dz. nr: 75/11, 75/90, 198/11 (198/3), 183/5, 198/9 (198/2), 197/6 (197/2), 202/29 (202/12), 202/28 (202/12), 202/26 (202/11), 202/31 (202/13), 200/4, 200/3, 199/2;

wykaz nieruchomości lub ich części, z których będzie ograniczone korzystanie w związku z budową lub przebudową innych dróg publicznych:

• obr. 0300, dz. nr: 198/9 (198/2), 197/6 (197/2), 188/1;

wykaz nieruchomości lub ich części, z których będzie ograniczone korzystanie w związku z budową zjazdów:

• obr. 0300, dz. nr: 75/11, 75/90, 183/5;

wykaz nieruchomości lub ich części, z których będzie ograniczone korzystanie w związku z budową lub przebudową urządzeń wodnych lub urządzeń melioracji wodnych szczegółowych

• obr. 0300, dz. nr: 198/9 (198/2), 197/7 (197/2), 197/6 (197/2), 202/33 (202/2), 202/29 (202/12), 202/26 (202/11), 202/31 (202/13), 200/4, 200/3, 199/3, 199/4, 199/2, 197/1;

wykaz działek które zostaną włączone w pasy drogowe i przejdą na własność Gminy Miasta Gdańska:

(w nawiasach wskazano numery działek przed podziałem)

• obr. 0300, dz. nr: 198/10 (198/3), 198/4, 198/7 (198/2), 198/8 (198/2), 197/5 (197/2), 202/32 (202/2), 202/27 (202/12), 202/24 (202/11), 202/30 (202/13), 75/45;

Ponadto informuję, iż zgodnie z art. 49 Kodeksu postępowania administracyjnego zawiadomienie stron uważa się za dokonane po upływie 14 dni od dnia publicznego ogłoszenia.

Informację o inwestycji można uzyskać telefonicznie w godzinach pracy tut. Urzędu pod numerem tel. **58 526-8164** lub osobiście po wcześniejszym telefonicznym uzgodnieniu terminu z prowadzącym sprawę. Strony mogą składać ewentualne wnioski i zastrzeżenia za pośrednictwem poczty, przez elektroniczną skrynkę podawczą lub bezpośrednio w kancelarii tut. Urzędu w terminie 14 dni od daty doręczenia niniejszego zawiadomienia.

PREZYDENT MIASTA GDAŃSKA
z up.

arch. Jacek Jabłoński
Kierownik Referatu Architektury-Wrzeszcz
/-/ dokument podpisany kwalifikowanym
podpisem elektronicznym



ul.Nowe Ogrody 8/12, 80-803 Gdańsk
tel.: 58 323 6451, fax: 58 323 64 98
e-mail: wuia@gdansk.gda.pl
www.gdansk.pl

Gdańsk/34413480



Starosta Choszczeński

OBWIESZCZENIE

Starosta Choszczeński, działając na podstawie art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz. U. z 2024 r., poz. 311 t.j.), zawiadamia, że na wniosek złożony w dniu 04.06.2025 r. (uzupełniony w dniu 04.11.2025 r.) przez zarządcę drogi tj. Burmistrza Choszczna, reprezentowanego przez pełnomocnika Pana Piotra Dębowskiego, zostało wszczęte postępowanie administracyjne w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej polegającej na przebudowie i rozbudowie drogi gminnej w ramach zadania pod nazwą cyt.:

**„Modernizacja drogi gminnej nr 6660122 Korytowo-Rzecko”,
na terenie gminy Choszczno.**

Inwestycja obejmuje swoim zakresem przebudowę wraz z rozbudową drogi gminnej nr 6660122 na odcinku Rzecko-Korytowo w zakresie przebudowy i rozbudowy jedni, chodników, zjazdów i poboczy, przebudowy i rozbudowy rowów przydrożnych oraz budowy przepustu nad rzeką Wardynką wraz z rozbiorą istniejącego obiektu mostowego.

Działki na których usytuowane zostaną ww. obiekty:
a) w projektowanym pasie drogowym, nie podlegające podziałowi: dz. nr ewid.: 126/1, 15, 45 obręb 0028 Korytowo, nr ewid. 260, 202, 63 obręb 0019 Rzecko, gmina Choszczno.
b) w projektowanym pasie drogowym podlegające podziałowi:

• obr. 0028 Korytowo, nr ewid:
– 8/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 8),
– 11/4 (powstała z podziału dz. nr ewid. 11/2),
– 23/4 (powstała z podziału dz. nr ewid. 23),
– 41/4 (powstała z podziału dz. nr ewid. 41/1),
• obr. 0019 Rzecko, nr ewid:
– 311/2 (powstała z podziału dz. nr ewid. 311),
c) w projektowanym pasie drogowym podlegające podziałowi i przeznaczone do przejęcia na rzecz Gminy Choszczno:

• obr. 0028 Korytowo, nr ewid:
– 9/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 9),
– 20/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 20),
– 11/6 (powstała z podziału dz. nr ewid. 11/3),
– 12/2 (powstała z podziału dz. nr ewid. 12/1),
– 19/3 i 19/5 (powstałe z podziału dz. nr ewid. 19/1),
– 14/2 i 14/3 (powstałe z podziału dz. nr ewid. 14/1),
– 41/2 (powstała z podziału dz. nr ewid. 41),
– 17/2 (powstała z podziału dz. nr ewid. 17/1),
• obr. 0019 Rzecko, nr ewid:
– 322/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 322),
– 303/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 303),
– 302/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 302),
– 301/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 301),
– 300/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 300),
– 317/1 (powstała z podziału dz. nr ewid. 317),
– 259/2 i 259/3 (powstałe z podziału dz. nr ewid. 259),
– 267/3 (powstała z podziału dz. nr ewid. 267/2),

Działki z których korzystanie będzie ograniczone w związku z budową przepustu na rzece Wardynce wraz z drogą nad przepustem oraz w związku z budową drogi z płyt ażurowych i kruszywa na skrzyżowaniu drogi samochodowej i terenu kolejowego.
– nr ewid.: 321, obr. 0019 Rzecko, gmina Choszczno
– nr ewid.: 234, obr. 0019 Rzecko, gmina Choszczno.

Na podstawie art. 11d ust. 6 strony mogą zapoznać się z aktami ww. sprawy oraz na podstawie art. 10 § 1 Kodeksu postępowania administracyjnego, strony mogą się wypowiedzieć co do zebranych dowodów i materiałów związanych z wnioskiem o wydanie zezwolenia na realizację inwestycji drogowej.

Skorzystanie z powyższego prawa winno nastąpić w ciągu 14 dni od daty wywieszenia niniejszego obwieszczenia na tablicy, opublikowania w Biuletynie Informacji Publicznej, opublikowania w prasie lokalnej, drogą listowną bądź osobiście w godzinach pracy Starostwa Powiatowego w Choszcznie tj. od godz. 7³⁰ do godz. 15³⁰ w Wydziale Budownictwa mieszącym się przy ul. Bolesława Chrobrego 27A w Choszcznie (pokój 205, II piętro, tel. 95 765 11 40 lub 95 765 11 39; elektroniczna skryjka podawcza ePUAP adres skryjki: /spowchoszczno/skryjka). Pisma w sprawie należy składać w Kancelarii Głównej mieszczącej się w budynku Starostwa Powiatowego w Choszcznie przy ul. Nadbrzeżnej 2.

Stosownie do przepisu art. 11d ust. 9 ww. ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych z dniem zawiadomienia o wszczęciu postępowania nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa bądź jednostek samorządu terytorialnego, objęte wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, nie mogą być przedmiotem obrotu w rozumieniu przepisów o gospodarce nieruchomościami.

Szczecin/34413382



OBWIESZCZENIE STAROSTY TORUŃSKIEGO
z dnia 19 grudnia 2025 r.,
o wszczęciu postępowania administracyjnego
w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej

Na podstawie art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 311 ze zm.) – zwanej dalej *ustawą*

ZAWIADAMIAM

o wszczęciu w dniu 19 grudnia 2025r. postępowania administracyjnego w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, polegającej na **rozbudowie drogi gminnej ulicy Pogodnej, wraz z rozbudową skrzyżowania z drogą gminną ul. Szkolną w miejscowościach: Cierpice i Wielka Nieszawka, gm. Wielka Nieszawka, powiat toruński, obejmującej działki o numerach ewidencyjnych przeznaczone pod inwestycję drogową:**

(przed nawiasem – numer działki ulegającej podziałowi, w nawiasach – numery działek po podziale, tłustym drukiem – działki lub ich części przeznaczone pod inwestycję drogową, druk pochylony podkreślony - działki z których korzystanie będzie ograniczone):

Obręb 0002 Cierpice, jednostka ewidencyjna 041508_2 Wielka Nieszawka:

128/1, 128/3 (128/7, 128/8), 129/11 (129/14, 129/15), 129/12 (129/16, 129/17), 132/2, 371/7 (371/44, 371/45), 371/22 (371/46, 371/47), 371/32 (371/42, 371/43), 371/33 (371/40, 371/41), 640/2, 640/3 (640/5, 640/6), 648, 2089/10 (2089/19, 2089/20), 2089/14 (2089/21, 2089/22)

Obręb 0005 Wielka Nieszawka, jednostka ewidencyjna 041508_2 Wielka Nieszawka:

292/5, 292/7, 292/39 (292/40, 292/41), 293/1

Jednocześnie informuję, że:

- zgodnie z art. 11d ust. 9 i 10 ustawy, z dniem zawiadomienia o wszczęciu postępowania w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa bądź jednostek samorządu terytorialnego, objęte wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, nie mogą być przedmiotem obrotu w rozumieniu przepisów o gospodarce nieruchomościami. Czynność prawna dokonana z naruszeniem powyższego zakazu jest nieważna;
- zgodnie z art. 11 d ust. 5 ustawy starosta wysłał zawiadomienie o wszczęciu postępowania w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej wnioskodawcy, właścicielowi lub użytkownikowi wieczystemu nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie tej decyzji na adres wskazany w katastrze nieruchomości, oraz zawiadamia pozostałe strony w drodze obwieszczeń, w starostwie powiatowym, a także w urzędach gmin właściwych ze względu na przebieg drogi, w urzędowych publikatorach teleinformatycznych - Biuletynie Informacji Publicznej tych urzędów i w prasie lokalnej;
- zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 572 ze zm.) - zwanej dalej *k.p.a.*, zawiadomienie poprzez obwieszczenie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia, w którym nastąpiło publiczne obwieszczenie;
- strony niniejszego postępowania mogą się zapoznać z aktami sprawy w Wydziale Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatowego w Toruniu, ul. Towarowa 4-6, 87-100 Toruń oraz składać ewentualne wnioski, uwagi lub zastrzeżenia w dniach pracy Urzędu, w terminie **do dnia 13 stycznia 2026 r.** Informacji udziela Wydział Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatowego w Toruniu (ul. Towarowa 4-6; tel. 56 66 28 939),
- niniejsze obwieszczenie stanowi dopełnienie obowiązku wynikającego z art. 10 Kpa.

Bydgoszcz-Toruń/34413546

WI-III.7840.2.30.2025.MD.j

OBWIESZCZENIE

Wojewoda Pomorski, działając na podstawie art. 9ac ust. 1 ustawy o transporcie kolejowym z dnia 28 marca 2003 r. (Dz.U. z 2025 r. poz. 1234), art. 10, art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks Postępowania Administracyjnego (Dz. U. z 2025 r. poz. 1691) oraz art. 72 ust. 6 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (Dz. U. 2024 r. poz. 1112),

PODAJE DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI,

że na wniosek z dnia 06.11.2025 r. złożony przez inwestora: PKP Polskie Linie Kolejowe S.A., ul. Targowa 74, 03-734 Warszawa, reprezentowanego przez pana Damiana Cybulę, w dniu 18 grudnia 2025 r. wydano decyzję nr 56z/2025/MD zmieniającą decyzję Wojewody Pomorskiego nr 18/2020/AM (WI-III.7840.1.21.2019.AM) z dnia 27.01.2020 r. o pozwoleniu na budowę dla inwestycji kolejowej pn.:

„Budowa z przebudową linii kolejowej w obrębie stacji kolejowej Gdynia Port, Obszar IV, Okręg GPA GPB GPC P1 – Linia kolejowa nr 201 od km 205.177 do km 207.932 toru nr 1 (75) oraz Linia kolejowa nr 725 od km 0.367 do km 2.332 toru 1 (76) oraz łącznica kolejowa nr 724 od km 0.000 do km 0.800 toru nr 39; w ramach zadania inwestycyjnego pn.: Poprawa dostępu kolejowego do portu morskiego w Gdyni; w ramach projektu nr 2015-PL-TM-0034-W”.

Zmiana dotyczy zakresu rozbiórki istniejącego oraz budowy nowego wiaduktu kolejowego

WK-05 w ciągu linii kolejowej LK 724 na działkach ewidencyjnych nr:

- w obrębie 0026 Śródmieście: 390, 391, 392, 422,

- w obrębie 0018 Leszczynki: 160, 173,

jednostka ewidencyjna: 226201_1 Gdynia – gmina miejska.

Jednocześnie informuję, że ww. decyzja posiada rygor natychmiastowej wykonalności.

Z wyżej wymienioną decyzją oraz aktami sprawy można się zapoznać w Wydziale Infrastruktury w Pomorskim Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku, przy ul. Okopowej 21/27, po telefonicznym uzgodnieniu terminu pod nr tel. 58 30 77 372.

Treść decyzji została również zamieszczona na okres 14 dni licząc od dnia 18.12.2025 r., w Biuletynie Informacji Publicznej na stronie podmiotowej Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego:

<https://www.gov.pl/web/uw-pomorski/obwieszczenia-wojewody-pomorskiego-2>

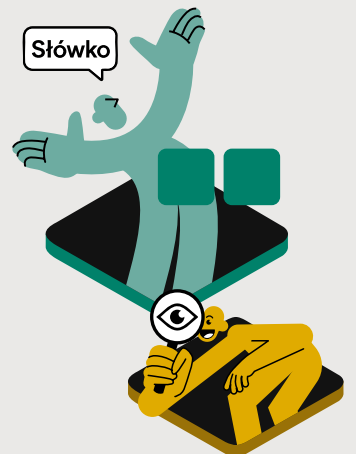
Zgodnie z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie 14 dni od dnia publicznego ogłoszenia.

Od niniejszej decyzji stronom służy odwołanie do Głównego Inspektora Nadzoru Budowlanego w Warszawie, w terminie 14 dni od dnia, w którym czynność zawiadomienia o wydaniu decyzji odnosi skutek prawny. Odwołanie wnosi się za pośrednictwem Wojewody Pomorskiego, ul. Okopowa 21/27, 80-810 Gdańsk.

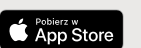
Gdańsk/34413471

Slówko
Literówka
Quizy
Sudoku
Krzyżówki

Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację



**W SPRZEDAŻY,
RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ
DO PACZKOMATU**

Podróż do legendarnej pisarki Ursuli Le Guin

Dlaczego troje najlepiej sprzedających się na świecie polskich pisarzy to fantaści ?

Czego się można dowiedzieć, oglądając graficzną oprawę nowych książek

10 książek roku 2025 oraz Superdycha 2025, czyli najlepsze książki roku dla dzieci i nastolatków

Pomysły na książkowe prezenty

Denise Johnson - supermoc Ameryki Cherezińska o królu wyklętym

KSIĄŻKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Ursula K. Le Guin

SŁOWA DAJĄ WŁADZĘ NAD ŚWIATEM

10 KSIĄŻEK ROKU 2025

Prof. Andrzej Dragan o AI: Jednak zmieni się wszystko

Sponsorka numeru: **Hildegarda z Bingen**

MNÓSTWO POMYSŁÓW NA DOBRY PREZENT

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**



**Szanowni Państwo,
Drodzy Łodzianie,**

**z okazji Świąt życzę Wam spokoju, bliskości i radości,
która zostaje na dłużej niż tylko na kilka dni.**

**Niech ten czas da wytchnienie
i pozwoli choć na chwilę zwolnić tempo codziennych spraw.**

**Niech Święta będą pełne dobrych rozmów, mądrych decyzji
i energii do wspólnego dbania o siebie nawzajem i naszą Łódź.**

Hanna Zdanowska

HANNA ZDANOWSKA
PREZYDENT MIASTA ŁODZI

To jest wyprawa przez pół świata, w ciągu równo roku od bieguna południowego przez Atakamę, Andy, Kalifornię, Nową Funlandię, Grenlandię, na biegun północny. I to tylko część historii, bo Marek Kamiński patrzy na swoje wyprawy inaczej – jak na podróż w czasie. W przyszłość człowieka. Kamiński, podróżnik i filozof, ma za sobą sprawdzanie własnych możliwości fizycznych – 30 lat temu osiągnął obydwie bieguny bez pomocy z zewnątrz. Teraz chce w trakcie wyprawy wczuć się w życiowe role różnych ludzi – nomadów na pustyni w Chile, najsuchszym miejscu na naszej planecie; dzieci gorącej, wilgotnej dżungli Amazonii; bezdomnych w Los Angeles; strażnika zimowej krainy na Grenlandii; na koniec być świadkiem tego, jak zmienia się Ziemia – na topniejącym biegunie północnym.

Na początku będzie po prostu ojcem.

Z bieguna południowego w stronę wybrzeża pójdzie ze swoim 18-letnim synem Kayem. Zgodnie z planem postawili pierwsze kroki w kierunku Zatoki Herkulesa. Czekają ich 1200 kilometrów marszu.

ROZMOWA Z

MARKIEM KAMIŃSKIM

filozofem, podróżnikiem ekstremalnym, biznesmenem

RADOSŁAW LENIARSKI: Chcesz przysłać z wyprawy swoim kibicom krótkie filmiki. Będzie w nich też próba odpowiedzi na pytanie: „Co robić, gdy nie wiesz dokąd iść”. Nigdy nie wyglądałeś na człowieka, który ma wątpliwości.

MAREK KAMIŃSKI*: – Wiem dokąd idę w życiu, a wyprawy mają bardzo dużo wspólnego z życiem. Są życiem w pigułce. Na co dzień ni by wiemy, że mamy rodzinę, to, tamto, ale tak naprawdę nie wiemy dokąd zmierzamy. Na wyprawie mamy cel i mapę, ale i – tak jak w życiu – ona często nie ma wiele wspólnego z terenem. Powstają nowe szczeliny, nowe zagrożenia. Najlepszym przykładem była nasza wyprawa z Wojciechem Moskałem na biegun północny w 1993 r. Już w punkcie startu byliśmy opóźnieni dwa tygodnie, okazało się, że właśnie stanęliśmy przed szczeliną i nawet nie możemy wejść na lód. Pojawiły się wątpliwości, czy w ogóle zaczynać podróż i potem w zasadzie do samego końca nie wiedzieliśmy, czy biegun zdobędziemy. Większa część drogi to była pewność, że nie zdobędziemy, ale warto jednak iść, żeby dokądś dojść, żeby zdobyć doświadczenie.

*Wiem dokąd idę w życiu,
a wyprawy mają bardzo dużo
wspólnego z życiem*

MAREK KAMIŃSKI

Jak teraz patrzę na swoje życie, dla mnie cel jest tylko ważny wtedy, gdy wyznaczając go i dążąc do niego zdobywam doświadczenie. Oczywiście, każdy chciałby osiągać założone cele, ale jednak jeżeli na pierwszym planie postawimy bagaż przeżyć i wnioski, to niezależnie od tego, czy osiągniemy cel, czy nie, zdobędziemy ogromną nagrodę.

Obecna wyprawa ma jednak konkretny cel, trasę i czas – właściwie cały 2026 rok.

– Zaczęło się od projektu wojskowego, przygotowywanego ze sztabem generalnym. Miałem być przewodnikiem grupy żołnierzy z różnych rodzajów sił zbrojnych, zdobyć biegun południowy z polską armią. Ale, jak to w życiu i w armii bywa, różne rzeczy się wydarzają. Okazało się, że po prostu przygotowanie będzie zbyt długo trwało – różne procesy, procedury itd. Pomyślałem: czy armia jest mi potrzebna do pójścia na biegun południowy? A gdybym doszedł do celu, mógłbym pójść dalej? Często zadaję sobie takie pytanie, pewnie jak każdy. Z bieguna

Od bieguna do bieguna

Na biegun południowy miał iść ze specgrupą polskiego wojska, będzie na nim z synem Kayem.

A potem pójdzie na północ, na drugi biegun.



• Marek Kamiński na biegunie południowym FOT. MAREK KAMIŃSKI

południowego można pójść tylko na północ. A gdzie najdalej można dojść na północ, jeśli nie na biegun północny? Dlaczego nikt jeszcze tego nie dokonał?

I wtedy pojawił się pomysł wspólnej podróży z moim synem. Wielokrotnie Kayowi proponowałem wyprawy, ale dopiero teraz odpowiedział: „Tato, chciałbym z tobą pójść na biegun południowy”.

Fajnie, bo to spełnienie marzenia ojców o spędzeniu czasu z sam na sam z synami.

– Tak, to prawda, ale my spędzamy razem dużo czasu. Podróżowaliśmy wspólnie już kiedy Kay był mały. Oczywiście marzyłem o wspólnym biegunie, jednak pomyślałem, że jest to zbyt trudna wyprawa. Sam nigdy nie byłem na Everest, ale Kuba Patecki [podróżnik], który miał porównanie, stwierdził, że wyprawa na biegun była dla niego dużo trudniejsza niż na Everest. Podjęliśmy rękawicę. Na początku wyprawa z Kayem miała być dodatkiem, ważnym, ale jednak dodatkiem. Teraz to jej najważniejsza część. Dojdziemy na biegun, a potem Kay wraca do domu, a ja zostaję sam i idę dalej, na północ.

Za Viktorem Franklem uważam, że to my nadajemy sens drodze, która sama często jest pusta. Ten biegun z synem oczywiście może teraz dać mi nowe życie. Nie wiem, co to będzie, ale generalnie bieguny są tajemnicą, magicznym miejscem – Ziemia kręci się przecież wokół nich. Bieguny nauczyły mnie najwięcej

nił samobójstwo. Przyjechała, żeby zmierzyć się z tragedią, której nie rozumiała.

Wymyśliłeś dla swojej wyprawy inny wymiar.

– Pole2Pole jest podróżą w przyszłość człowieka, przez różne wcielenia. Inspiracją podróży był mit Ulisesa-Odyseusza. Według jednej z interpretacji, Odyseusz przemierzył drogę z Troi do Itaki – na trasie krótkiej, a dla niego trwającej dekadę – żyjąc w różnych światach i różnych życiach. To było dla mnie inspiracją: że mogę się wcielać w różne postacie po drodze, być kimś innym na Atakamie, kimś innym w dżungli, jeszcze innym w Kalifornii.

Mieliśmy rozmawiać wcześniej, ale okazało się, że opóźniło wam się pakowanie. Zabawnie to brzmiało, bo żyjemy w czasach, gdy ludzie czują, że muszą być spakowani, bo nie wiadomo co się zaraz wydarzy.

– No tak. Chodzi o to, że znajdziemy się wkrótce – ja i Kay – w pustce. Gdy coś zawiedzie, czapka będzie niewystarczająco ciepła, felerny okaże się karabinek, albo prymus przestanie działać – to może być koniec wyprawy. A jednocześnie możemy mieć z sobą rzeczy o określonym ciężarze. Cały czas trzeba po prostu coś mierzyć, przymierzać, przesywać, redukować. Pakujemy się od miesięcy, ale tak być musi, bo sukces ekstremalnych wypraw – w życiu też – polega na tym, że jest się przygotowanym. Oczywiście, jak jadę na przykład na Madagaskar, jestem w stanie spakować się przez dzień, a resztę kupić na lotnisku.

Teraz ubrania spakowałem w godzinę czy pół godziny. Byłem przy tym zdziwiony, bo miałem nowy sprzęt na wyprawę: czapkę, kurtkę, ale gdy zacząłem to wszystko przymierzać, zobaczyłem, że w zasadzie kurtka, którą miałem dwadzieścia lat wcześniej jest lepsza, bardziej funkcjonalna niż ta, którą mam teraz. Czapka, którą miałem trzydzieści lat temu, też jest lepsza niż ta, którą mam teraz. Efekt ekonomiczny. Jak firma robi kurtkę z kapturem, nie opłaca się jej robić modelu specjalnie na wyprawy na Antarktydę. Ona musi być i na wyprawę, i do miasta – dla zwykłych ludzi. To jest kompromis. Ludzie wolą mniejsze kaptury. Wielki kaptur na co dzień nikomu nie jest potrzebny, a na wyprawie jest.

Czy my jesteśmy narodem podróżników? Patrząc na ciebie i myślę tak, ale czy Polacy są?

– Spójrz na polskich himalaistów, lodowych wojowników. Na Jurka Kukuczę, który – gdyby nie ograniczenia czasów PRL-u – być może jako pierwszy zdobyłby Koronę Himalajów i Karakorum. Spójrz na wyczyny Andrzeja Bargieła, zjazd na nartach z K2, Everestu. Albo na polarną historię Arctowskiego, Dobrowolskiego. Polacy naprawdę mają w sobie ogromnego ducha odkrywcości i przedsiębiorczości, są super kreatywni. Dawniej pomyślałbym inaczej, studiowałem w Niemczech i wtedy wydawało mi się, że gdzieś indziej jest lepiej. A teraz jestem dumny z tego, jakie rzeczy robimy. I że Niemcy mogą nas naśladować w wielu dziedzinach. Podobnie jest z podróżnikami. Możemy śmiało powiedzieć, że jesteśmy narodem podróżników. ●

Marek Kamiński, polski filozof i podróżnik ekstremalny, biznesmen i autor książek. W 1995 r. jako pierwszy na świecie zdobył oba bieguny Ziemi bez pomocy z zewnątrz

• **Cały wywiad przeczytaj 24 grudnia na wyborcza.pl i sport.pl**

wyborcza

REDAKCJA
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00
(czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik

PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wielński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
KOLPORTAŻ: Michał Szalański
Problemy z dostępnością „Wyborcza” lub z właściwą mutacją lokalną: kolportazj@wyborcza.pl
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marek Wilk
Biuro reklam i ogłoszeń: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Polska Press
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

34410403